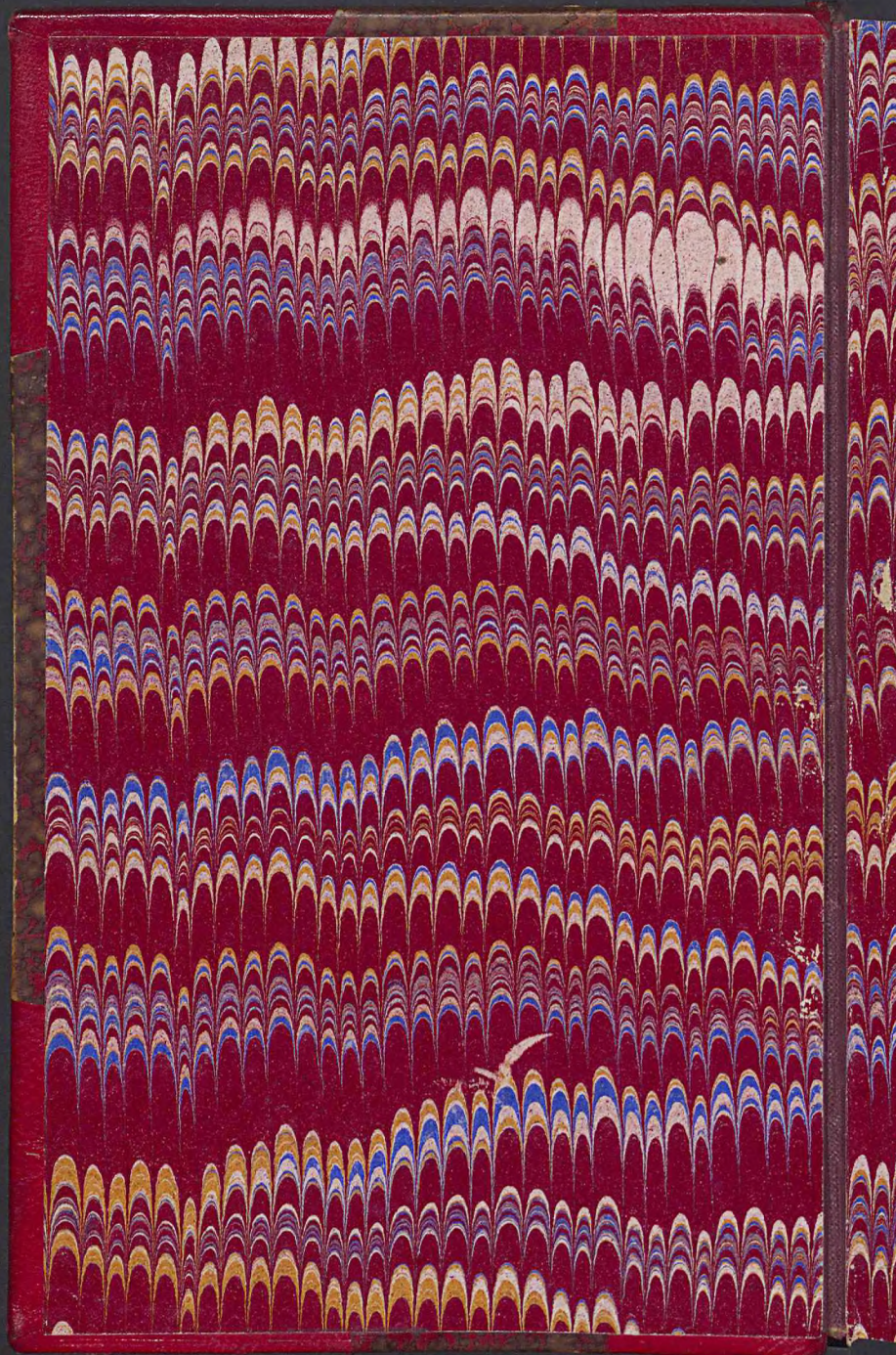
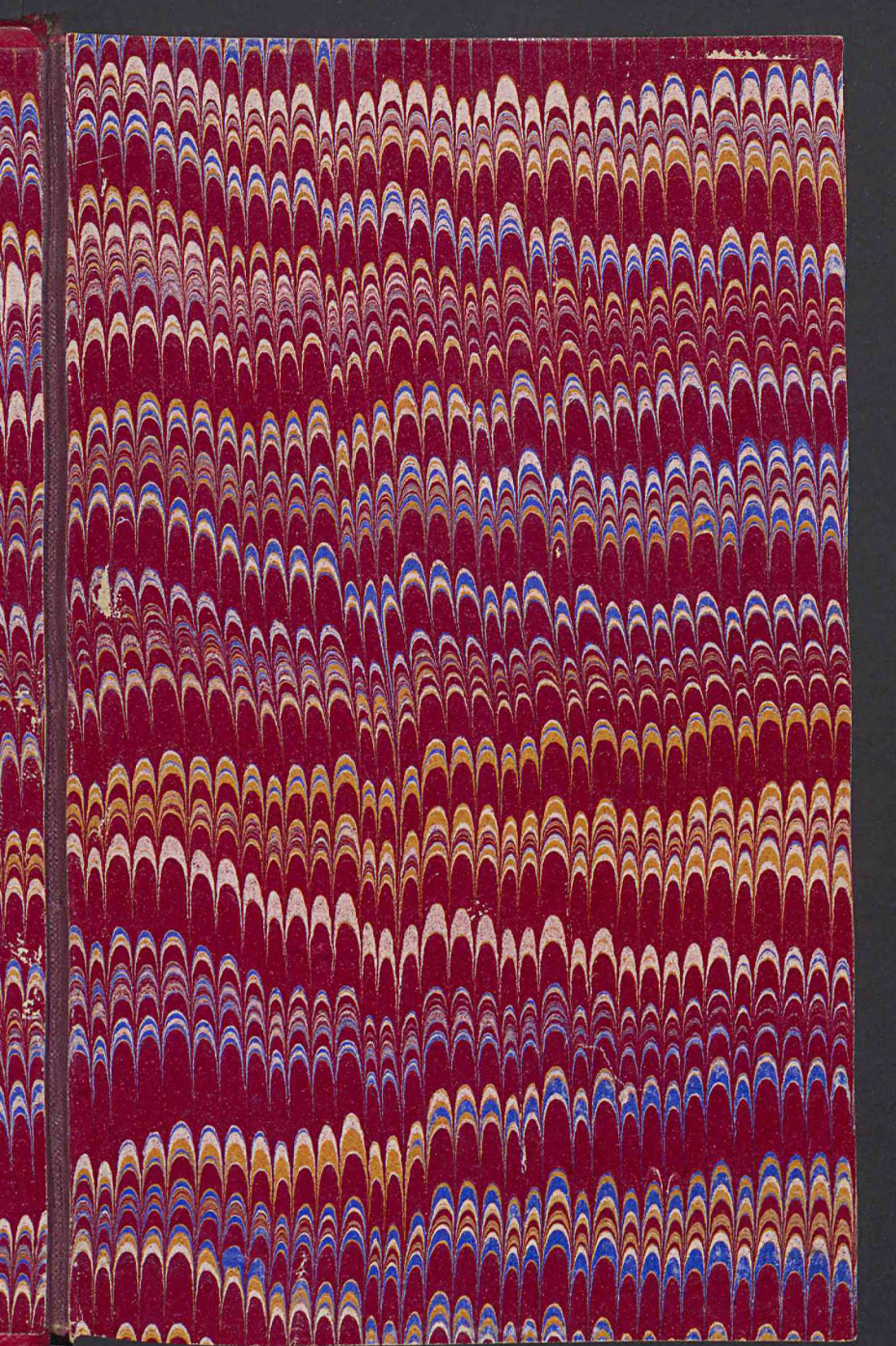
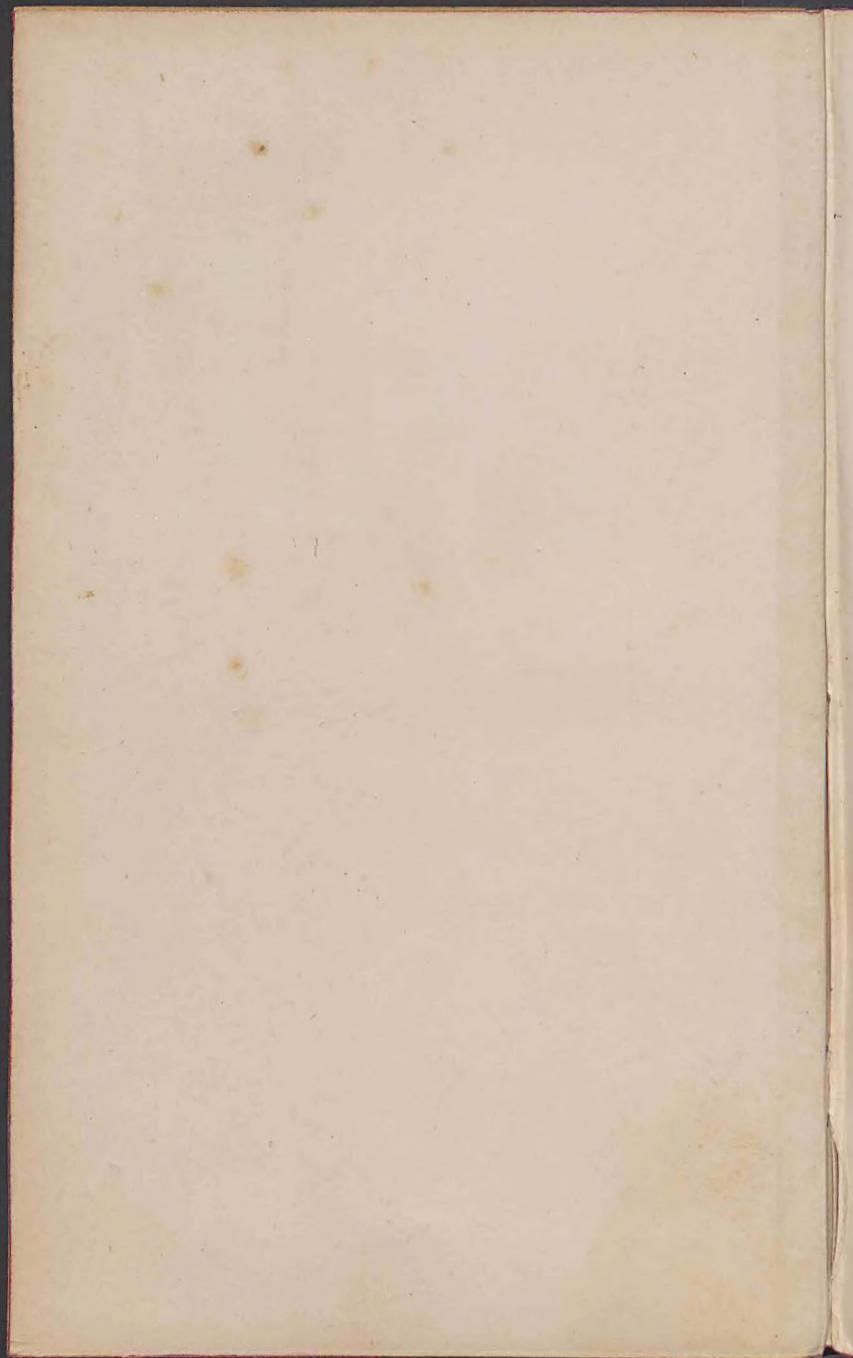


SKI
NIKI

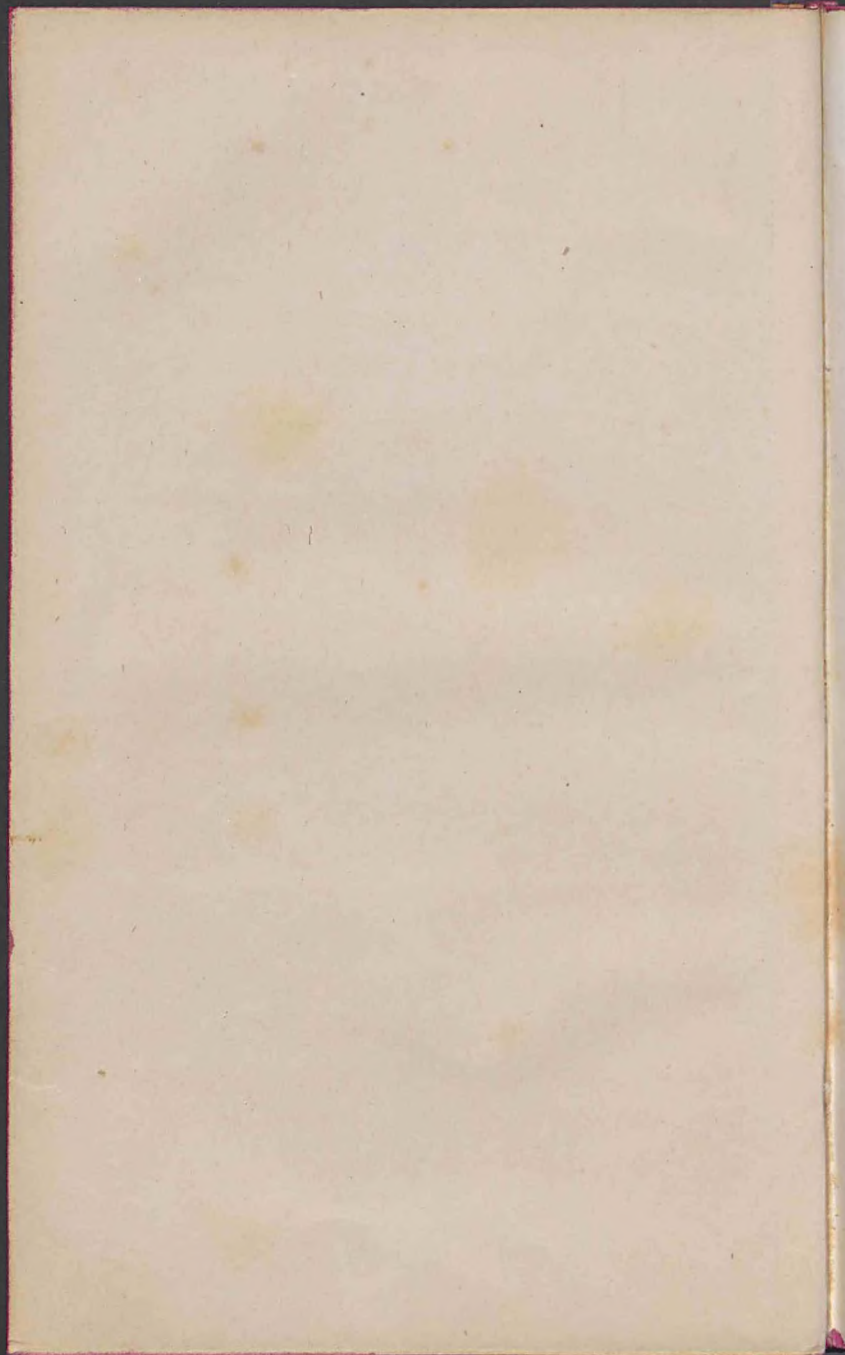








477



PAMIĘTNIKI
JANA DUKLANA OCHOCKIEGO.



PPH/V



V/477

477/III

PAMIĘTNIKI

JANA DUKLANA OCHOCKIEGO,

z pozostałych po nim rękopismów
przepisane i wydane

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Qui audiunt audita dicunt, qui vident
plene sciunt.

Plautus.

TOM TRZECI.



W I L N O.

Nakładem i Drukiem Józefa Zawadzkiego.

1857.

PAMIĘTNIKI
JANA DUKLANA OCHOCEJEGO
pozostających po nim rękopismów
wzręczanie i wydanie

Pozwolono drukować, z obowiązkiem złożenia w Komitecie
Cenzury, prawem oznaczonej liczby exemplarzy. Wilno,
dnia 19 Grudnia 1856 roku.

Cenzor: PAWEŁ KUKOLNIK.

I.

Wyjątki z notat opata Ochockiego.

GODZINY życia mojego, ubiegały w zajęciu ciągłym i porządnym, a porządek ten wiele stanowił dla samotnika. Ten, który nie robi planu dziś jeszcze na ciąg spraw jutrzejszych, nie żyje, ale wlecze za sobą ciężar życia, a dowodem, że ono jest brzemieniem dla niego, nieustanne narzekanie i stękanie, które mu towarzyszy. Najskuteczniejszy sposób używania życia zapisał Kant w swój Antropologii, zalecając porządnie po sobie następujące ciągle zatrudnienie. Wstawałem zawsze o godzinie czwartej i cały ranek poświęcałem sprawom i powinnościom chrześcijań-

skim, odprawując kapłańskie moje modlitwy. Następowало czytanie biblii i innych ksiązek, które miałem pod ręką. To zajęcie zabierało mi cały czas przedpołudniowy, potem wychodziłem z domu, a jeśli to był dzień, w którym nie mogłem mieć obiadu u horodniczego, musiałem sobie przerywać czytanie czuwaniem nad kuchenką. W te dni bowiem sam sobie na kominku jeść gotowałem, i odwiedzający mnie tutejsi mieszkańcy zostawali przy ogniu, jak Marka Kurcyusza posłowie Samnitów. W samęj rzeczy, przywłaszczałem sobie natenczas jego ducha i pychę; z jednego źródła czerpaliśmy oba: on gardząc darami ofiarowanemi przez posłów, ja upokorzeniem, którego doznawałem kucharzując. Po południu następowały odwiedziny, a wróciwszy z nich czytałem znowu i czytaniem kończyłem zajęcie dzenne. Do tych zabaw przyczyniało się przez sześć tygodni uczenie wnucząt pułkownika.

Tak czas mojego pobytu na obczyźnie upływał nie dając żadnej nadziei zmiany losu; nigdy sen nie skleił wprzód powiek moich, dopókim się nie umordował myślami natrętnemi o kraju i pozostałej w nim rodzinie, przyjaciółach i sobie.

Jedną z tych smutnych nocy bezsennych przybiega do mnie służący pułkownikowej Panajewej, natenczas już owdowiałej, zapraszając mnie do niej natychmiast i to jak najprędzej. Niezmiernie zdziwiło mnie to wezwanie o północy, wszakże domyśliłem się, że nadzwyczajna jakaś musiała być do tego pobudka, i po drodze wstąpiłem do horodniczego, który mi oświadczył, że on także jest wezwany wraz z wielą obywatelami i urzędnikami do pani pułkownikowej.

Przybywamy nareszcie na te zagadkowe zaprosiny—znajduję całe towarzystwo w jak najlepszym humorze, poncez i wino, które pułkownikowa miała z Rossyi sprowadzone, roznoszą i częstują, wszyscy weseli, postrzegam szeptu potajemne, jakieś niby przysposobienia mnie ostróżne do ważnej nowiny, naostatek dowiaduję się, że zostałem—oswobodzony!

W pierwszej chwili niemal straciłem przytomność, rozumiałem, że sobie żartują ze mnie, ale w końcu uwierzyłem temu szczęściu. Ten, który patrzy na miliony drobnych robaczków, na najlichsze stworzenia, miałżeby zapomnieć o człowieku? Ufność moja w Opatrzności i spokój

duszy znać podobały się Bogu, i dźwignął mnie prawicą swoją.

Pułkownikowa jak tylko z Permu odebrała wiadomość, natychmiast śpiesząc mi ją udzielić, nie zwlekła ani chwili i posłała po mnie chcąc o zmianie losu zawiadomić. Właśnie Paweł I Cesarz wstępował na tron Rossyjski, a pierwszym dziełem jego, było uwolnienie nas z Syberyi; łązy wdzięczności powitały rozpoczynające się panowanie jego.

Słodkie i miłe panowanie Alexandra I otarło już łązy moje, ale uczucia wdzięczności dla cesarza Pawła nie stłumiło, tę zachowam do zgonu.

Jeszcze urzędowój o naszym uwolnieniu nie było wiadomości, czekać więc musiałem na nią; w tydzień dopiero przyszło oznajmienie do horodniczego o oswobodzeniu i rozkaz dla mnie stawienia się do kompanii mojej do Tobolska. Łatwo się domyśleć, że napróżno i chwili jednej nie stracił, tyle tylko ile przyjaźń i wdzięczność kazały na pożegnanie z przyjaciółmi poświęcić. Pułkownikowę odwiedziłem najpierwszą; przyodziany w znaki dystynkeyjne, zaprosiłem wszystkich na pożegnalne zebranie, rozstałem się z nie-

mi i nagląc woźnicę, leciałem już do Tobolska. Wyrachowywałem czas mający upłynąć do powrotu na łono rodziny, ale prędzej jak w trzy miesiące, do swoich dostać się nie było podobna!

Przez Tunin przejeżdżając wstąpiłem do doktora, z którym poznałem się był w Turyńsku; serdeczne jego i sprawnika przyjęcie zabrało mi dzień cały. W ogólności, ludzkość i gościnność jest tu najpowszechniejszą enotą, z równą ona objawia się siłą w chacie ubogiego wieśniaka i mieszkaniach bogatych; niema prawie wyjątków.

Tatarowie nawet, przez których wioski przejeżdżaliśmy, dawali dowody téj enoty. Mylnie mieliśmy pojęcia o mieszkańcach tutejszych, wystawując ich sobie dzikimi i nieużytemi; mogło to być dawniej charakterem pierwszych téj ziemi osadników, ale dziś całkiem inaczej. Mieszkańcy Sybiru dzielą się na rossyjskich, jeszcze za Iwana Bazylewicza, Groźnym zwanego, zamieszkałych tu, i później tu już zsyłanych i osiedlonych; jakoteż autochtonów. Panujący ten, opierając się podbojami swemi o królestwa Astrańskie i Kazańskie, nową dla Rossyi zdobył

Amerykę. Tu znaleźli Rossyanie złoto, srebro, miedź, żelazo, kamienie drogie, futra kosztowne. Jeden zbieg z wojsk cesarza nazwany Jermak, stanąwszy na czele zebranej drużyny, podbił dla siebie Carstwo Tobolskie; czując jednak, że się sam nie utrzyma, listem prosił o przebaczenie posyłając łupy Tatarskie Iwanowi Bazylewiczowi. Udarowany został pałaszem i wodzem mianowany, ale przy zdobyciu Tobolska, gdy wojsko na płytach szykował, w Irtyszu w rzekę Tobol wpadającym, z tratwy skacząc utonął. Pamięć tego bohatera dotąd jest w Sybirze szanowana, i corocznie w dniu zaduszne, odprawia się zań nabożeństwo.

Porównywając powszechną prawie ciemnotę tu-tejszych mieszkańców z właściwą im prostotą i łagodnością obyczajów, wyznaćby potrzeba, że oświata nie wielki wpływ wywiera na uobyczajenie człowieka; lub jeśli tu zachodzi wyjątek szczególny, mieszkańca Syberyi postawić potrzeba w tym względzie obok najucywilizowanych narodów. Sposób życia spokojny, w towarzystwie uprzejmość, dla nieznanomych ludzkość, wsparcie dla biednych, przyjaźń połączona z otwar-

tością, najlepiej cechują obyczaje i charakter narodów tu zamieszkałych. Powszechném jest przysłowiem:— Jak ci nie wstyd robić to lub mówić? (Kak tiebie nie stydno)?

Tych wyrazów używają i do dzieci, chcąc w nich zaszczerpić uczucie wstydu uczciwego; w społeczeństwie z równemi sobie często się to także odzywa i świadczy dobrze o szlachetnych dążeniach narodu tego.

Przez czas pobytu mojego w Turyńsku, więzienia i polieya były całkiem puste. W całym zaś powiecie o dwóch tylko obwinionych słyszałem: jednym Saburowie, rodem z innéj prowincyi, który wypuszczony z wojska przybył tu na posilenie i zaprosiwszy do siebie dwóch tatarów wierzycielów swoich, miał ich zabić, drugim młodym człowieku, który swego sąsiada podpalił. Ostatni był sądzony na knuty.

Złodziejstwa między mieszkańcami Syberyi prawie się nie trafiają; występki ten jeśli się zdarzy, to chyba z powodu zesłanych na posilenie, których tu co roku znaczna liczba przybywa, sądzonych na katorhę, to jest do robót w kopalni. Wysileni ciężką pracą i chorzy, pospolicie po nie-

jakim czasie wypuszczani na wolność, żyją z jałmużny w łańcuchach gór Uralskich ciągnących się do Chin. Natura wysiliła się tu na zgromadzenie wszelkiego rodzaju bogactw, niezliczone są rudnie nie tylko skarbowe, ale i prywatne panów rosyjskich, Strogonowych, Demidowych i innych.

We wszystkich tych rudniach pracują skazani na robotę, dostając dziennie po dwie kopiejki. Miasto Ekaterynburg przeznaczone zarazem na skład droższych kruszców i kamieni i na ich obrabianie. Tu przy wielkim stawie z groblą mурowaną, w kuźniach kamiennych złoto i srebro przelewają na szyny; i tak przerobiony kruszec do Petersburga się odsyła, w porze zimowej, z pomocą koni pocztowych i obywatelskich. Wyprawy te zowią się serebranką; myśmy w naszej podróży zimowej uciekali od nich, gdyż spotkawszy je, koni dostać nie mogliśmy po stacyach, zwłaszcza gdy drugi transport nierównie większy z Nereczyńska z gubernii Irkuckiej o werst 5,000 od Tobolska położonego z pierwszym się połączył. Ponieważ żyły złote nie tak łatwo się znajdują, biorą więc ziemię zmieszaną z kruszczem

złote proszki w sobie mającym, przysypują do tego piasku, kładną tę mieszaninę w naczynia gliniane, polewają często wodą i bełcą. Złoto jako cięższe opada na dno, wtenczas osad wierzchni odrzuciwszy, znajdują pod spodem żądany kruszec.

Przy tym transporcie wysyłają się także drogie kamienie z obłasti czyli wielkorządztwa Ekaterynburgskiego, dobywane w górach Uralskich i tamże oszlifowane. Składają się one w szufflady materyami bawełnianemi i jedwabnemi wyklejane, rozdzielając na różne rodzaje. Jedne przeznaczone są na tabakierki, inne na pierścionki, pieczętki, dewizki, zapinki i koleczyki. Osóbno odkładają się inne, które użyć się mogą do orderów, podobieństwo mające do rubinów, szmaragdów i chryzolitów. Są niektóre mające po sobie żyłki złote, w ogóle póki to nieoszlifowane *in crudo*, niekształtne i brzydkie.

Widziałem to wszystko przygotowane do wyprawy petersburgskiej u dyrektora téj fabryki pana Rozderyszyna, który posłyszawszy o moim przejeździe, wraz z kolegą podróży mojej panem Polkowskim, zaprosił nas na obiad. Towarzysz

mój został dla straży naszych rzeczy, w których nie małe miewaliśmy szkody po stacyach—szczególniej żał mi było skradzionej suczyzny i kotki sybirskiej. Pan dyrektor darował mi kilka kamieni, z których później pamiątki przyjaciołóm moim w kraju porobiłem, jeden tylko szafir został mi w pierścieniu.

Można też było u jubilerów tutejszych zrobić nie drogo piękny zbiór kamieni, ale mając jeszcze przeszło 3,000 werst do przebycia z kassą dosyć szczupłą, nie mogłem na to szafować.

W dzień imienin jest tu zwyczajem, jak u nas, że się sąsiedzi schodzą sami z powinszowaniami, albo zapraszani bywają przez gospodarza. Jeśli przyjdą zrana, zastają stół zastawiony zakąskami, w dnie mięsne dają gęś nadziewaną, albo pieczeń pokrajaną, żwierzynę i pasztet po tutejszemu zwany pirogiem... W dnie postne zastawiają wielki pirog nadziany wątrową jesiotra, kawiozem, lub wybornemi rybami, sterletem i t. p. Niekiedy są także na talerzach rodzynki, migdały i figi, ale te bardziej służą do ozdoby stołu, i dobry ton dozwala ich ledwie pokosztować, gdyż owoce te przywożone zdaleka są drogie i rzad-

kie. Jeśli się trafią, również Europejskie gruszki (tych nawet nie widziałem) lub, co częściej, jabłka, dzielą się niemi po kawałeczku jak osobliwością. Zabawy tutejsze są dosyć smętne; płcie pospolicie rozłączają się w nich, między mężczyzn roznoszą tyle kubków z wódką ile jest osób, a po spełnieniu ich następuje obnoszenie na nowo tego trunku; co się i po trzy razy powtarza. Każdy wypiwszy swój kubek bierze stojąc zakąskę, po czém siadają.

Po kilkakrotném wychyleniu kubków wszeczyna się szmer i różne obojętne rozmowy lub żarciki następują, z wszelkiój jednak przyzwoitości zachowaniem. Gospodyni domu osobno damy częstuje czajem, a niektóre i bez cukru go piją. Do kawy nie mają gustu. Herbatę powszechnie robią na stołach w samowarach, na które się wysadzają co do kształtu i kruszcu, bogatsi mają te naczynia i czajniki srebrne.

Herbatę najwyborniejszą dostają z Chin, w buteleczkach czarnych z figurkami, ale ta rzadka i droga.

Taką mi darował dla osobliwości w Tobolsku vice-gubernator, przydając, iż podobną sam ce-

sarz Chiński zwykł pijać. Po piérwszój filiżance czaju, następuje pończ, i ten trunek piją już do rozejścia, rzadko go robią z arakiem, najczęściéj z wódką.

Nalewki rozmaite mają i dobre, to jest owoce europejskie nalewane winem prawdziwém, wódką albo arakiem. Orzechów obfitość, kształt ich i smak całkiem się różnią od naszych. Cedry Syberyjskie rodzą szyszki, podobne do sosnowych, a w tych znajdują się drobne orzeszki, delikatną odziane łupinką. Smak ich nie jest zły, używane są jednak w towarzystwie bardziéj dla zabawy rąk niż dla przyjemności gęby. Gdy nadejdzie chwila opuszczenia domu, kobiety najpiérwéj wychodzą, nigdy przez mężczyzn niewyprowadzane, a nawet przez mężów, chociaż wschoddy w każdym prawie domu wymagają téj usługi. Odchodząc kobiety zegnają całe towarzystwo ukłonem, ale się nie całują, przeprowadza je gospodyni domu. Mężczyzni zawsze bawią dłużej. W najtłumniejszych kompanijach, przy największój obfitości trunków, nie zdarzyło mi się nigdy być świadkiem swaru lub kłótni. W razie gdy się na to zanośli, horodniczy lub sprawnik, czy inna jaka

rządowa osoba, weześném pośrednictwem gorszym następstwom zapobiegać powinna.

Obiady wielkie rzadko się tu trafiają, zaproszonym w takim razie nie braknie jadła, ale mało w niém smaku. Wielcy nawet panowie nie trzymają kucharczów, ale mają kobiety kucharki, a gotowanych potraw same gospodynie kosztują. Najwięcej do tego wprawiają włościanki poddane, które się tu zowią powarkami. Po większej części, w piecach zalepionych jak u nas żydzi zwykli, jedzenie gotują. Gęś pieczona lub indyk, w pomniejszych domach po całych tygodniach trwa na stołach.

Wesela lub zapusty tak czasem obchodzą, że mężczyźni z kobietami wspólnie bawić się mogą, ale i tu krajowy zwyczaj mieć chce, że połączone płcie w jednej sali, oddzielają się obierając sobie jedną stronę, i mężczyźni między sobą, kobiety osóbnó tańczą. Jeden tylko widziałem krajowy jakiś taniec w używaniu, w którym dosyć zręcznie nogami przebierają.

Skromność jest pierwszą tych zabaw zaletą; nigdy młodzieniec niema przystępu do swojej

ulubionój, widuje ją tylko zdaleka na nabożeństwie. Całą wiadomość obyczajów, talentów, przymiotów, majątku czerpie od sąsiadów, wypytując się ich o to wszystko co się panny tyczy. Nareszcie przez swatów myśl swoją rodzicom odkrywa, a gdy zostanie przyjęty, wolno mu z panną widywać się i bawić przy rodzicach jój. Po szlubnych ceremoniach, które najczęściej w cerkwiach odbywają się publicznie, przy wprowadzeniu małżonki do domu rodziców, spotkani przez nich nowożeńcy, odbierają obraz na znak błogosławieństwa. Na ten koniec rodzice mający dzieci weześnie się zasposabiają w obrazy oprawne w srebro, sztucznie wyrabiane i pozłacane. Ściany mieszkań są pospolicie gęsto takimi obrazami pozawieszane, którym każdy przychodzący winien oddać pokłon i przeżegnać się przed niemi. W niebytności gospodarza domu, chociażby kto miał interesa, nie może wniknąć do pokoju, który jest zamknięty, póki nie zapuka. Wtenczas wychodzi służący i oznajmuje, że nie ma gospodarza, lub gospodyni sama czyni to, przededrzwia. Powinnością jest wrócić, wypytawszy o czasie, w którym jest spodziewany.

W cerkwiach, mówiłem już z jaką pobożnością i uszanowaniem zachowują się wszyscy. Przy nich mieszkają zwykle ci, którym straż jest polecona, w ocieplonych opalanych izbach na boku. Wieże mnóstwem dzwonów są napełnione dobranych tonami, na których dzwoniąc na nabożeństwo, jeden a najwięcej dwóch dzwonników wygrywają różne melodye za pomocą sznurów do rąk łokcia i nogi poprzywiązywanych. Wosk tu bardzo drogi, pszczoł bowiem w ulach niema, miód tylko praśny z Europy bywa dowożony, i ten w jednej jest prawie z cukrem cenie; ale niedostatek wosku nie wpływa wcale na oszczędzenie światła, które bardzo rześisto zapalają przy nabożeństwach. W dnie zaduszne, każdy przychodzący do cerkwi musi mieć w ręku świecę zapaloną woskową, toż samo przy pogrzebach i w wielkie święta. Posty tak obchodzą ściśle, że niektórzy przez cały wielki post od ryby się nawet wstrzymują, na pożywienie używając tylko jarzyn i chleba; ostatnie trzy dni zupełnie nie jedzą.

Względem ubogich niema granic szczodrobliwości; wchodząc i wychodząc z kościoła zwykli

dopełniać rozdawania jałmużny; oprócz tego, dom każdego mieszkańca jest pewnym zawsze dla ubogiego przytułkiem.

Wyżej się powiedziało, że święta najuroczystsze razem z religijnym ich obchodem, do południa tylko zajmują nabożeństwem; resztę dnia zwyczajem jest i zabawie i pracy nawet poświęcać. Kobiety piorą bieliznę. W téj robocie tak są wytrwałe, że największy mróz ich nieodstręcza. Dzieci także zawczasu do wytrwania na zimno przywykają. Niewiasty wystawione tak często na chłód przejmujący, winne mu są zapewna to zdrowie, czerstwość i świeżość, jakimi się odznaczają.

W domach swoich mają po dwa piece, ale ubrajanie się jak najstaranniejsze od mrozów, nie zapobiega nigdy marznieniu okien, które są zawsze lodem pokryte. Ten pospolicie tak bywa gruby, że dla zobaczenia czegokolwiek, potrzeba palcem rozgrzewać i robić otwór na pół cala głęboki. Dla niedostatku hut, szkła są drogie, u uboższych miejsce ich zastępują pęcherze, bogatsi mają szyby z przezroczyściego kamienia (miki),

który daje się łupać na listki, ale tafelki te waz-
kie i w ołów oprawiać się muszą.

Prócz łatwego sposobu do życia ze szczodro-
bliwości zwykłej mieszkańców, przybywający tu
z Europy, mogą mieć zysk z pracy własnej i u-
miejętności. Nauki i kunszt powszechnie są sza-
cowane, a umiejący obce języki, rysunek, mu-
zykę, mogą wychowując dzieci dobrą zarobić płą-
cę. Współtowarzysz mój, dawny przeor, dziś pro-
winicyał, ksiądz Siliez, z rysunku miał dochód dość
znaczny. Na wesele pana Tarczaninowa wyrysow-
wał stosowne godła, za które ofiarowano mu sto
rubli assygnacyjnych.

Drugą część mieszkańców Syberyi składają Ta-
tarowie, nazwiska ich hord wymieniłem już wy-
żej. Mieszkaniem ich są uarty, to jest budy po-
kryte grubemi lameami z wełny tutejszych owiec.
W tych budach całe pędzą życie, tu jeść gotują
w kotle, z którego nigdy reszty dawniejszego wa-
ru wyrzucać się nie godzi... Większa ich część
dotąd rekrutów nie daje, i podatków jeszcze nie
opłaca; liczba ich nawet nie jest dokładnie rzą-
dowi wiadoma, z powodu rozległości lasów, w któ-

rych się kryją. Rządzeni przez swoich kniaziów, dzielą się na różne pokolenia, podlegają ich władzy sądowniczej i im podatek w sobolach, popielicach i innych futrach składają.

Łowienie soboli jest rzeczą ciekawą: zima, która tu trwa dziewięć miesięcy najprzyzwoitszą ku temu jest porą, a pies niezbędnym pomocnikiem do tych łowów. On siedzącego na drzewie sobola, który jest wielkości kota, przewącha zdaleka. Wtenczas myśliwy przypatruje się, dopatrzy i wypuszcza strzałę z łuku, ażeby hukiem ognistej strzelby nie popłoszyć innych w bliskości znajdujących się soboli. Trafia się wszakże, że i ze strzelbą już to polowanie odbywają. Z zabitego sobola zdarta skóra idzie do torby, a mięso surowe żywi myśliwca i psa razem. Noce przepędzają oni wraz ze psami w lesie na grubych wojłokach. Zdaje się rzeczą nie do wiary, żeby nigdy przy tak straszliwych mrozach ognia nie rozniecali, przecież to rzecz pewna, że się bez niego obchodzą. Niezmierne zasy śniegowe, któreby odgrzebywać było potrzeba dla rozpalenia ognia, czynią niepodobnym prawie rozgrzanie w ten sposób. Żywności też ugotowa-

nój nigdy mieć nie mogą; wynoszą tylko z sobą tyle rybiego chleba ile go spotrzebować mają przez zimę, a ten wraz z mięsem sobola, stanowi pożywienie tatarów. Po ukończeniu polowania obciążeni skórami, w powrocie do swych nart nie mają innego przewodnika wśród tak wielkich lasów, nad gwiazdy nocą, a w dzień znaki po drzewach. Całą tę podróż swoją odbywają na rodzaju łyżw sankowych. Powszechnie końcem polowania jest czas, gdy śniegi topnieć zaczynają, wtenczas co najprędzej śpieszą do domu, aby w mięknących zaspach nie utonąć. Dowodem obfitości śniegów jest kilkakrotne ich przez zimę zmiatanie z dachów, gdyby nie to, najmocniejsze rusztowanie musiałoby się pod ciężarem jego obalić. Z traktu, chociaż na gościńcach pocztowych jest obszerny, zwrócić niepodobna bez nieuchronnego narażenia się na zagrzebanie w zaspach i sumiotach.

Tatarowie odleglejsi od kałmyckich plemion, mają fizygnomie polskich tatarów; strój ich wierzchni krótki, czapeczki na głowach noszą czerwone.

W domowém poźyciu jest to naród spokojny i skromny, czy ich poczytamy za gałąź téj Ordy,

która przez tyle wieków kłóciła spokój Chińczyków i w dzisiejszej dynastyi panującej króluje niezmiernemu krajowi, czy za potomków owych Tatarów co unizyli dumę Bajazeta, dzisiejsi porównani z tamtymi dziwnie się od nich różnią, brak im tego ducha wojennego, tej buty, która wygania z domowej zaciszy dla sławy i podbojów. Zdaje się, że nie mogą być dziećmi naddziadów tak sławnych pod Tamerlanem i Dzienghiskhanem. Lubo jednak skromni i spokojni, przecież młodzież ich często wypada na trakty dla obdzierania podróżnych. Skarga zanesiona przed ich wybornego czyli kapłana, powraca szkodę, czego sam na sobie doświadczyłem.

Niewiasty nie są u nich tak ściśle jak u Turków utrzymywane, mają wolność chodzenia po wsiach i rozmawiania z mężczyznami.

Przejeżdżających wpuszczają do domów swoich, a że języka rosyjskiego mało jeszcze rozumieją, dla tego przy pocztach są tłumacze i zwozyczcy ich językiem mówiący. Meczety ich bez wież, o dachu tylko wzniesionym wysoko z galeryą.

Strój kobiet jest dowodem, że próżność i chęć podobania się na całym świecie panują słabszej połowie rodu ludzkiego; całe czoło ozdabiają blaszkami kruszcowymi, dużemi jak półzłotówki, na głowie noszą też haftowane czapeczki. Znakiem niewiasty zamężnej jest warkocz z cudzych zapewne włosów przypięty i niżej pasa spadający, w pośrodku klamrą zaciśniony. Wszystkie noszą spodnie od wierzchniego dłuższe. Świeżo za mąż wyszłe ubierają się w kaszkiety jakies z piórami na głowę. W ogólności fizyognomie ich są dosyć przyjemne; mężczyźni na zimę noszą po kilka futer, wierzchni ubiór nakształt sukni kobiecej uszyty i wywrócony szerszcią do góry, takąż czapkę i rękawice, co ich zdaleka czyni podobniejszymi do niedźwiedzi niż do ludzi. W niektórych osadach zaprowadzono religię chrześcijańską, i wioski te na czas pewien od podatku są uwolnione. Zostawione w każdej chacie obrazy święte na deszczułkach malowane, często późniejszej Tatarów obojętnie na pokrywy do garnków obracają, co na moje oczy widziałem, gorliwe tylko apostołowanie i nieustanna piecza mogłyby ich trwale nawrócić.

Nie brak starania, ale niedosyć jeszcze miano czasu by na tę dziec podziałać. Dzieci różnych ord tatarskich brane bywają do seminaryów i szkółek krajowych dla nauki, ale tych wiele być nie może, a wychodzący ztąd z lepszym usposobieniem, najczęściej użyci zostają do posług rządowych.

Pożywieniem Tatarów jest mięso zwierząt, ryby i chleb z mąki rybięj; więcej ku południowi posunięci mogą mieć chleb żytni do tego, ale północniejszym zupełnie na nim zbywa. Mieszkańcy Syberyi nie jedzą zajęcy, mając je za rodzaj kotów; chrześcijanie także przez poszanowanie dla Ducha Świętego, którego gołąb jest symbolem, ptastwa tego nie tykają.

Mieszczanie są bogaci, handlują najwięcej sobolami i wszelkiem innym futrem, bawełnianami i jedwabnemi towarami, które im Baszkiry i Kirgisy z Chin przywożą, podróż odbywając na ujęzonych wielbłądach przez kilkanaście dni pustych stepów, w których wody nawet braknie. Towar ten dostawiają na juchtę czyli jarmark do granicy w miejsce umówione, i tu bez pośred-

dniectwa żadnej monety sprzedaż się odbywa sposobem zamiany. Mój gospodarz Sachanow, woził na ten targ skóry czerwone i żółto wyprawne, a za nie przywiózł bawełny i jedwabiu.

Tatarowie często wykradają ludzi nadgranicznych, którym nożem nasiekłszy podeszwy, wiozą ujuczonych na wielbłądach i w głąb kraju sprzedają. Niekiedy kupcy biorą za tutejsze towary od Chińczyków srebro, mające u nas wartość monety; są to czworograny lane, kilkadziesiąt rubli wartości mające, bez cech i herbów, literami tylko chińskimi oznaczone.

W Berezowie pod samym prawie biegunem położonym, gdzie natura roślinom niedozwala się utrzymać, karmią się ludzie najwięcej rybami i mięsem z reniferów, które tu stadami utrzymują. Działyński, który tam przebywał, miał już kilkanaście swoich reniferów i od nich przypłodek. Pisząc do mnie przez kupców handlujących skórami i jesiotrami użalał się, że mu niedźwiedzie wielką szkodę w stadzie czynią, przysłał mi nawet skórę jedną, którą z sobą do domu przywiozłem. Miewał on w Tobolsku o tysiąc wiorst dowożoną mąkę, do téj zaś z własnego stada

masło i sér, którego robieniem trudniła się niewolnica z Tobolska do posług mu dana.

Płacąc wdzięcznością jój usługę, w czasie gdy później wybrany został delegatem na koronacyą Cesarza Pawła Igo na miejscu Olizara, wyrobił dla niej uwolnienie przez księcia Kurakina, i na przejazd jój do kraju przesłał pieniądze. Po śmierci nieodżałowanego tego męża, kobiéta powróciła do Moskwy, miejsca, z kąd wprzód dekretowaną była na Syberya.

Zimna tu są takie, że latem ziemia się ledwie na pół arszyna rozmarza, i gdy w Egipcie sztuka, tu w Syberyi natura sama robi mumije.

W opisanii pobieżném tego kraju, strzegłem się stronności i przesady, ażeby do siebie nie dać zastosować przysłowia francuzkiego: *a beau mentir qui vient de loin*. Pędząc życie smutku i goryczy pełne w tym kraju, starałem się by uczucia osobiste nie na sąd o nim nie wpływały. Z drugiejj strony trudno mi było widzieć go pięknym; dla wędrownika przechodzącego z południa na północ, zaraz za Wołgą step i pustynia odarta ze wszystkich darów natury się poczyna. Dwa razy będąc w Wiedniu, przejeżdża-

jąc przez Tyrol, bawiąc kilka miesięcy w Wenecyi dla widzenia wspaniałej ceremonii zaślubienia morza, nakoniec pięć lat mieszkając w ojczyźnie Cycerona, Scypionów, Katona, możnaż mi było pokochać te lody i śniegi??

Przybyłem do Tobolska, a dopytawszy się o dom księdza Kulikowskiego, który mieszkał z dwóma dawniej przybyłemi Polakami, zastałem już u niego księdza Silicza, i razem z nim stanąłem u sędziego powiatowego.

Pierwszą naszą czynnością było stawienie się przed panem Tołstoj, jako gubernatorem i zastępcą namiestnika; namiestnik bowiem permski i tobolski umarł w Tuminie, rażony apopleksyą. Vice-Gubernatorem był nowo przybyły pan Roszelow. Musieliśmy się tu cztery tygodnie zatrzymać oczekując na hrabiego Działyńskiego, o tysiąc kilkadziesiąt wiorst oddalonego, jakoteż na Salomonowicza, o siedemset mieszkającego. Przez cały ten czas nigdyśmy u siebie obiadu nie jedli; ludzkość i gościnność tutejszych urzędników i obywateli ubiegała się o przyjęcie nas u siebie; parę razy byliśmy także u księdza archiereja, na którego celebrze znajdowałem się.



Sowietnik Mielnikow, który nas w rządzie popisywał i pasporta nam wydawał, do tego stopnia był dla nas litościwy i uczynny, że nie tylko sam z własnej kieszeni niektórych pieniędzmi opatrzył, ale się składką na ten cel zatrudnił. Tym sposobem każdy, oprócz Działyńskiego i mnie, został przyzwoicie opatrzonym na tę daleką podróż. Rosensas, dyrektor Ekonomii, przyjmował nas w swoim domu uprzejmie, i Działyńskiemu na drogę pieniędzy pożyczył, a on w części użył ich na wsparcie biedniejszych wygnańców. Miło mi tu wspomnieć te czyny pełne serca i miłości chrześcijańskiej, choć cnota nagradza się w samym swém źródle, wewnętrzném uspokojeniem się i pociechą jaką sprawia, wiśniśmy dodać jój blasku, gdyśmy się jój dotknęli i poznali ją.

Nie umiem nic powiedzieć o Tobolsku i jego pięknościach, bo prócz pałacu gubernatora i kilku kościołów, w których bywaliśmy, nicśmy z resztą obaczyć nie mogli dla nieznośnych mrozów, które tu około 26 stycznia tak były wielkie, że wylana ze szklanki woda, lodem na ziemię spadała.

Miałem tu zrzeczność rozmawiać po włosku



z panem Selifontowem niegdyś posłem we Włoszech, a teraz do Irkutska na gubernatora przysłanym, który nas wzywał kilka razy do siebie i gościnnie przyjmował.

Tobolsk napelniony był cudzoziemcami, niemcami i włochami zesłanymi na wygnanie; włoch piętnowany był antreprenierem teatru.

Żaden z wygnanych tu nie pobierał pensyi, sposobem do życia jest litość obywateli lub własny przemysł i praca. Jeśli który z nich grunt bierze, dają mu ze skarbu krowę, parę wołów lub konia i nieco pieniędzy na zaprowadzenie gospodarstwa.

Mówilem wyżej, że przyczyną naszego zatrzymania się w Tobolsku było oczekiwanie na Działyńskiego; z Berezowa nie mógł nadjechać tak prędko dla wielkich śniegów, i trudno mu było dostać tyle furmanek ile ich pod rzeczy potrzebował. Jelenie lub psy służą tu na pocztach w miejsce koni. Psy używane są sybirskie nie wielkie, ale na mocnych nogach i dobrze zbudowane, przywykły ze stacyi do stacyi kierować się same. Uprząż na nich lekka, wprzegają po

cztery lub sześć do sanek. Widziałem sam w Tobolsku, jak chłopak z dolnego na górne miasto wioził pod górę beczkę wody, sam siedząc na saniach, dwóma tylko psami. Konieczną ostrożnością jest przywiązać się do sanek, bo w przypadku wywrotu, podróżny wypada, i na pustym stepie zmarznąć lub łupem zwierza stać się musi. Psy utrzymywane są lejcami, te jednak nie służą ani do nadania kierunku, ani do zahamowania ich, osobliwie gdy lisa lub zająca postrzeżę. Naówezas zapominają o obowiązku i puszczają się w gonitwę za zwierzem. W takim razie dla naprostowania na drogę, rzucają się przed psy przygotowane na ten cel kije, a gdy i to nie pomaga, zapuszcza się w śnieg grot żelazny głęboko i tak zastanawia ekwipaż.

Cztery takie furmanki przywiozły Działyńskiego z wielkiem niebezpieczeństwem: wziął nawet żywe sobole, ale że na nie potrzeba było grubiej i ciężkiej klatki, dla tego je zostawić musiał. Sobole żywe widzieliśmy u gubernatora. Niedźwiedzie białe i czérwone nie są tu żadną osobliwością. Owce kirgiskie tak są duże jak cielećta roczne; wełna ich użyteczna tylko na wojłoki,

bo skóry nie grzeją. Po przyjeździe hrabiego Działyńskiego, tydzień jeszcze cały w Tobolsku przebyliśmy, i wypadło z naszej narady ażebyśmy razem nie jechali dla trudności dostania na pocztach koni. Ja więc piérwszy wzięwszy z sobą pana Polkowskiego, wyjechałem z nadzieją zobaczenia się w Moskwie z memi współtowarzyszami, bośmy to sobie przyrzekli.

Ale gdy oni nie pośpieszyli, a mnie poczynało braknąć grosza, ile żem za dwóch płacił, porzuciwszy tu Polkowskiego, który chciał oczekiwać na koronacyą Cesarza Pawła Igo, sam dalej ruszyłem z Moskwy. Czas mojego tu pobytu rozmierzyć musiałem stosownie do kieszeni, i żałuję żem z tego powodu lepiej téj stolicy nie poznał, i o tyle tylko ją widział, o ile krótkość czasu i niedostatek środków dozwalał.

W drodze spotykałem z naszych prowincyi współziomków na koronacyą Cesarza Pawła Igo jadących, to rozdrażniało mnie przypomnieniem kraju, do którego zbliżając się dostać wszakże nie mogłem, wstrzymywany nieustannie na każdój poczcie niedostatkiem koni.

W Nieżynie odwiedziłem chorego Olizara delegata na koronacyą, na miejscu którego za staraniem Poniatowskiego i księcia Kurakina, obrany został hrabia Działyński. Ostatniem miastem które dotknąłem po drodze, był już Kijów; tu zostałem cokolwiek opatrzony pieniędzmi przez ks. kanonika Steckiego, i minąwszy Dniepr, na obszer-nych przestrzeniach lesistych, powitałem ziemię moją rodzinną. Na pierwszój stopie jój, ukląłem z dziękczynną modlitwą.....



II.

Podróż do Smoleńska.

POWRACAM do toku moich własnych przygód, które rzuciłem na wyjeździe z Żytomiérza.

Powiedziałem tam, że wezwany zostałem do gubernatora we wtorek, to jest ósmego lipca 1794 według gregoryańskiego kalendarza, a z Żytomiérza wyjechałem we czwartek, to jest dziesiątego tegoż miesiąca, z panem Podolskim małosrosijaninem, sztabs-kapitanem od piechoty, który ze mną jechał w powozie, a żołnierze nam towarzyszący na perekładnej przy rzeczach. Takim sposobem jechaliśmy do samego Smoleńska. Poczty naówczas nie były jeszcze tak uregulo-

wane jak dzisiaj; stacye wyznaczone wprawdzie znajdowały się w Korostyszowie i Brusilowie do Kijowa, ale na nich stały tylko chłopskie konie po kilkadziesiąt... Rozumie się, że jazda niemi nie mogła być pośpieszna, stanęliśmy jednak w Jasnohorcie nad samym zachodem, gdzie właśnie spotkaliśmy księżnę Szujską z córkami i kilkoma osobami z gości, wychodzącą na przechadzkę. Byłem bardzo dobrze znajomy w tym domu, wypadało więc przywitać księżnę, domyśliła się łatwo położenia mojego i zaprosiła oficera wraz ze mną na kolacyą do pałacu. Ale ja będąc w stanie do opisanego trudnym, nie mogłem przyjąć téj grzeczności, a że od wyjazdu z domu nie jadłem, prosiłem tylko o kawę do austeryi. Przyniesiono nam kawę i wieczerzę, pierwszą wypiliśmy z niesłychanym smakiem, drugiej w usta wziąć nie mogłem. Skłopotany, zmęczony, od dwóch dób niewywezasowany, prosiłem oficera żebyśmy tu nocować mogli, na co z łatwością pozwolił i godzin dziesięć na jeden bok przespaliśmy, a towarzysz mój był tak grzeczny, że mnie budzić nie kazał. Księżna przysyłając drugą kawę o ósmój z rana, dołączyła do niej dwadzie-

ścia dukatów, których przyjąć nie chciałem, bom nie był w tak nagłej potrzebie.

Ruszyliśmy ztąd do Kijowa, ale z Białohorodki jechaliśmy już skarbową pocztą. Nie miałem dotąd o niej wyobrażenia, wiatry ścigaliśmy zaprawdę, tak nas wieziono, i stanęliśmy dosyć rano w Kijowie.

Oficer mój poszedł do gubernatora dla wizowania podorożnej, ja z nim także z Padolu na Pieczerskie, gdzie zostałem w ogrodzie przechadzając się, poczem wróciliśmy na pocztę. Oficer mi zaproponował, żebyśmy poszli co zjeść, gdyż ja obiadu cztery już dni nie jadłem i sam począłem czuć potrzebę pokarmu. Kijów natenczas nie był tém czém jest dzisiaj, nie było ani restauracyi żadnej, ani dobrego traktyeru, jednakże towarzysz mój obznajomiony z miejscowością zaprowadził mnie gdzie mieliśmy znaleźć co najlepszego.

Zastaliśmy gospodarza pilipona z dzieży wmurowanej w piec wyciągającego ciasto i piekącego bliny na oleju. Był to piątek, prosiłem go czyby ich dla mnie nie mógł zrobić na maśle lub

słoninie, ale odmówił nie chcąc za żadne pieniądze *poskromić* swojej chareczewni.

Spytałem go co ma więcej, odpowiedział, że tylko jesietrzną soloną gotowaną z kapustą kwaśną, łatwo się domysłéć, jak ta potrawa była urządzona. Wiedząc, że niezdrowa jadłem jéj przecie bardzo wiele, a po traktamencie niezważając, że wino po kapuście bywa trucizną, zaprosiłem oficera na nie, kazawszy dać parę butelek szampańskiego. Towarzysz mój ledwie trzy kieliszki wypił, ja resztę, alem był zdrów i nie mi to nie zaszkodziło. Nie wiedziałem już jakieśmy wyjechali z Rijowa, bom był bardzo pijany, ale nazajutrz na obiad stanęliśmy w Czernihowie. Oficer dogadzając mi szukał jedzenia, ale i tu lepszej traktyerni nie było, objedliśmy się tylko świniną gotowaną. Na piérwszej stacyi przykry przypadek nas spotkał: oficer wysiadł z powozu dla rozplacenia się na poczeie, wtém obejrzał się, że zgubił skarbowe pieniądze dane mu na prohoný. Z płaczem wypadł z pocztowej izby do mnie, narzekając na nieszczęście swoje, że pójdzie pod sąd i musi wracać ze mną do Czernihowa, gdzie mi innego zapewne

dadzą oficera. Jedną jego nadzieją było, że w bliskości miał jakiegoś krewnego czy dobrego znajomego o milę mieszkającego, do którego chciał wstąpić, czyby go nie poratował. Zboczyliśmy tedy do niego. Wieś to była ogromna do dwóchset osady licząca, w której ten pan mieszkał; drugą takąż miał o milę, ale dwór przed który zajechaliśmy mało się różnił od chałup chłopskich. Zastaliśmy gospodarza w chałacie, jejmość w dosyć brudnej spodniczce i koszuli, z chustką na głowie, w prostych butach. Przedstawił mnie mój towarzysz, musiałem tłustą babę ową w rękę pocałować, a ona mnie w twarz. Weszliśmy do izby, która była bez podłogi, a za cały mebl służył obraz w kacie suto srebrem okowany i przed nim takąż paląca się lampa oliwna; kilka innych ikonów, i waziotki stół, grubym obruskiem nakryty... Zabięrało się już ku wieczorowi, przyniesiono samowar, pić zaczęliśmy samą herbatę, potem z arakiem, robiąc znajomego mi niedźwiedzia, i ja nieprzyzwyczajony oblewałem się tym trunkiem, wreszcie począłem się od niego wymawiać i jakoś dali mi pokój.

Poczęły przechodzić bydła pana Bohusławskie-

go odstawnego porucznika i dziedzica wioski, ogromne trzody owiec, stada koni, wszystkiego mnóstwo co zdawało się objawiać dostatek i możność, nabrałem otuchy dla oficera, który z płaczem prawie przystąpił do swojego interesu. Ale gospodarz zaprzysiął się, że niema więcej gotówką nad sto rubli assygnacyjnych, które oddaje; to wystarczyć nie mogło, bośmy siedm koni brali na poczcie, a siedémdziesiąt mil mieli przed sobą. Wypadało więc wracać do Czernihowa aby stratę objawić. Myślę sobie, dadzą mi innego oficera, ten dobry i grzeczny, historia się zrobi, odpowiadać będzie, szkoda człowieka niewinnego. Wtedy odezwałem się do pana Podolskiego.

— Weź pan dla siebie na prohony te sto rubli, a ja już koszta pocztowe do Smoleńska przyjmuję na siebie i bądź pan spokojny. Trudno opisać jego radość i wdzięczność, i jak to zobowiązało go dla mnie. Jechaliśmy dalej jak najwygodniój, bez pośpiechu, tak, że ta droga dwa-naście dni się ciągnęła, nocując i odpoczywając gdzie było lepij.

Tymczasem podano u państwa Bohusławskich

wieczerzę: wystąpiła na stół jajecznicą na skowrodzie przez samą gospodynię pontyfikalnie wnie-
sioną, ale spalona i niemile woniejąca, tak, że
jesé jój nie było podobna, za nią pirogi, z któ-
rych każdy przynajmniej funt séra ukrywał w wną-
trzościach swoich.

Te przyniosła już córka państwa Bohusław-
skich, może piętnastoletnia dziewczynka, którą
raz pierwszy zobaczyłem, odziana w jakiś ogro-
mny szlafrok, zapewne z matki zdjęty, ani do fi-
gury, ani do wzrostu jój nie przypadający. Wbie-
gli za nią dwaj chłopaki może po roku młodszy
od siostry, powracający z lekei w szkółce u dia-
ka, a że to było ciepło, więcéj niż letnio ubra-
ni, bo w jednych koszulach i pludrach. Ojciec
strasznie się na nich ofuknął, że śmieli się tak
przy gościach przedstawić, cofnęli się więc dla
przebrania, i starszy powrócił w piestrowym cha-
łacie, a młodszy w jakimś siwym żupanie.

Na zakończenie wieczerzy wniosła znowu cór-
ka piezonego koguta, nie dobrze dla pośpiechu
oskubanego, ale za to przysmalonego na czarno...
choć z głodu mrzyj patrząc na te specyały.

Gospodarz w obyczaju, mowie, obejściu nie wiele się różnił od prostego wieśniaka, którego językiem i kantileną się odzywał, jejmość nie była paradniejszą od niego; z towarzyszem moim jednak wesoło się zabawiali, powtarzając libacye przed każdą i po każdój potrawie, od czego ja ledwie się potrafiłem wykręcić, ogryzając spalonego koguta, którego zwłoki na mój talerz się dostały.

Widząc, że wódka mi nie smakuje, gościnnie Bohusławski wysłał żonę do lochu, żeby mi flaszkę nalewki przyniosła. Wyborny to w istocie był trunek, wychyliłem go całą butelkę, i chwaliłem:

— Sama żona go moja robi, rzekł gospodarz z pewną dumą.

Jeszcze więcej chwalił znowu, a że z mojego postępowania z oficerem zyskałem u nich dość szacunku, za co mi i oboje gospodarstwo dziękowali, pan Bohusławski obdarzył mnie jeszcze czterma butelkami różnych nalewek na drogę. Podolski nie chciał ich nawet kosztować, żeby mi na dłużej wystarczyły.

Położywszy się dumałem długo, jak ślepo fortuna rozdaje dary swoje, i jak wielu z nich korzystać nie umie, jak mało człowiekowi potrzeba, a jak drudzy nigdy są nienasyчени? kręciło mi się po głowie co lepiej, czy taka prostota, czy nasze zbytkowne życie... ale nie rozwiązawszy sobie pytania, usnąłem.



III.

C h o ł o b l i n .

WYJECHALIŚMY od pana Bohusławskiego rano, ciągnąc dalej podróż naszą przez Mało-Rossyą. Drogi wszędzie były dobre, wyrównane, wysadzone drzewami, co trzy stacye, przy domach pocztowych dwu-piętrowe stały gmachy, pięknie i po monarchicznemu umeblowane, które pod przejazd Cesarzowej Katarzyny II do Kijowa, w roku 1787 umyślnie wzniesiono. Na tym zjeździe, jak wiadomo, znajdował się król Stanisław-August i Józef II, cesarz Austryacki. Takim uporządkowanym krajem jechaliśmy, nie bardzo się śpiesząc.

Wjechawszy w Witebską gubernią, o trzy staję pod Kryczowem, jedliśmy obiad, kiedy zaszła pocztowemi zaprzężona końmi piękna karéta, a z niej wysiadł młody krzyżem udekorowany oficer, w surducie wojskowym z galonami, co oznaczało sztab-officera. Grzecznie mnie powitał, ja nawzajem, a potem w drugiej izbie rozmówiwszy się z oficerem, powrócił do mnie z zapytaniem po polsku:

— Polak pan jesteś?

— Tak jest?

Spytałem go nawzajem, z kim miałem honor rozmawiać.

— Jestem Hołyński, rotmistrz gwardyi, powracam z Włoch z podróży do domu...

Krótkośmy z sobą rozmawiali o rzeczach obojętnych, po czém dobył z pularesu assygnat i z wyrazem najmocniój obowiązującym, tak, że mi się łzy z oczów puściły, usilnie prosił bym je przyjął.

— Dziękuję panu, odpowiedziałem przejęty, mam z sobą na moje potrzeby aż nadto może, przed tygodniem jeszcze sam byłem w stanie dawać drugim potrzebnym; dziś położenie moje, na

dobrém sercu jego wyjednało tę ofiarę. Rozczulasz mnie pan i przysięgam, że póki mego życia uczynku tego ludzkości nie zapomnę.

Cheiałem zaraz zanotować sobie jego nazwisko, ale sam zastanowiwszy się, że znaleziona przy mnie notatka mogłaby być powodem do fałszywych posądzeń, dałem pokój, tłómacząc mu się z tój myśli. Rotmistrz prosił mnie ażebym wstąpił do Chołoblina, gdzie mieszkali jego rodzice, zaraz za Kryczowem. Odpowiedziałem, że panem mojej woli nie jestem, ale po krótkiej rozmowie z oficerem, który rotmistrzowi gwardyi odmówić nie chciał, zgodę jego wyjednał i pożegnawszy się ze mną czule, odjechał. Myśmy nocowali w Kryczowie, i wahali się jeszcze co począć, obawiając odpowiedzialności, gdy zrana zaszły konie pod mój powóz z Chołoblina, z biletem zapraszającym do mnie i do Podolskiego. Musieliśmy tedy jechać do państwa Hołyńskich, gdzieśmy już zastali z piętnaście osób familii, zjeżdżającej się na powitanie pana Wincentego Hołyńskiego rotmistrza, przybywającego z dalekiej podróży. Dom był pański, wszelki pozór dostatku, muzyka nadworna liczna, przyjęcie

wspaniałe. Ojciec pana Wincentego do sześćdziesięciu lat mający, gubernski marszałek witebski, bardzo był miłym i poważnym człowiekiem, matka około pięciudziesiąt licząca, nosiła na twarzy ślady wielkiej piękności, którą czas oszczędził.

Przyjmowano mnie z nadzwyczajną gościnnością, niemal uroczystą, przymuszony byłem pierwsze miejsce zająć u stołu, a po obiedzie pod pozorem luki ojciec i syn zaprosili mnie do gabinetu marszałka. Pani marszałkowa z resztą towarzystwa i oficerem poszli się przechadzać po ogrodzie.

W gabinecie spytano mnie o położenie moje, a ojciec starszek kazał mi szczerze się z niego przed sobą wypowiedzieć. Nie miałem myśli, chęci ani powodu tajenia się, szczerze więc opowiedziałem o sobie i przyczynach, które się do rzucenia na mnie podejrzenia przyłożyły.

— Co myślisz robić? zapytał mnie stary pan Hołyński, a gdym mu jał jeszcze tłumaczyć się z dalszego zamierzonego postępowania, porwał się z krzesła i uściskał mnie wraz z synem.

— Bądź pan dobrej myśli, rzekł do mnie, wi-

dzę z jego sprawy, że choć są podejrzenia, dowodów nie ma winy, będziesz uwolniony.

Spytał mnie później czybym nie miał stosunków jakich z którym z panów rosyjskich, mogącym się wstawić i skrócić czas przykrój próby. Nie miałem żadnych osobiście, bo w Petersburgu nie bywałem, a od roku 1788 cała armija rosyjska kraj opuściła, wreszcie chodząc po głowie, przypomniałem sobie, że hrabia Rumiańców dziś feldmarszałek, gdy jeszcze był pułkownikiem, znał ojca mojego stojąc w Połonném, bywał w naszym domu, wiele nam okazywał życzliwości, a mnie naowczas pięcio czy sześciolatniego chłopca często biórał na ręce, w mundur swojego regimentu przystrajając.

— Wybornie! zawołał pan Hołyński, rossyjanie wszyscy mają tę cnotę, że lubią pomagać znajomym i szanują stare związki przyjaźni. Pisz WPan do feldmarszałka, a ja ręczę, dodał marszałek, za najlepszy skutek. Nie byłem w stanie pisać, oba panowie Hołyńscy z uprzejmością wyręczyli mnie w tém, ja im tylko okoliczności podyktowałem, i wnet wyprawiono z pismem

umyślnego posłańca do Faszan, ówczesnej feldmarszałka Rumiańcowa rezydencyi.

Włało to we mnie pociechę niejaką, krótką i słabą nadzieję. Drugi dzień jeszcze zabawiliśmy w Chołoblinie, a trzeciego ruszyliśmy i stanęli w Smoleńsku, w niedzielę, dwódziestego lipca, rzymskiego kalendarza, około godziny dziesiątej. Gdyśmy przejechali Małachowskie wrota, bramę murowaną, przy której z lewej strony był wielki obwach, zameldowano nas i posłano do miasta z oznajmieniem. Nadjechał plac-major i z nim razem udaliśmy się do przeznaczonego mi w wielkim jakimś domu mieszkania, gdzie resztę formalności dopełniono. Wszystkie rzeczy służące do wygody zostawiono przy mnie i książkę do nabożeństwa, o którą prosiłem. Nazajutrz znowu odwiedził mnie pan Ganiczew, plac-major, który z żołnierskiego syna dosłużył się sztaboficerskiego stopnia, ale człowiek najświetniej urodzony i najlepiej wychowany, grzeczniejszym; serdeczniejszym, pełniejszym uczucia być nie mógł.

Nazajutrz zaraz, ubrawszy się stanąłem przed kommissją, która się w dworcu agitowała. Pre-

zesem jój był generał en-chef Osipow, okryty orderami, rządca téj prowincyi, z tytułem namiestnika, co wówczas tyle ile generał-gubernatorstwo znaczyło; drugim po nim był senator Mamonów, trzecim Mizińców generał-porucznik, dwóch generał-majorów, dwóch brygadyerów, wszystko ludzie bardzo zaeni, wyrozumieli i dobrzy. Stół przed którym zasiadali komissarze, cały okryty był aksamitną karmazynową oponą, na nim leżały księgi praw w takiż aksamit oprawne i wspaniałe *zerkało*. Dwóch sekretarzy pracowali przy osobnych stolikach, znać mieli rangi wysokie, bo kapelusze ich były z plumażami.

Należał także do składu kommissyi Gawłowski major, polak, którego siostra była za generałem polskiej artylleryi Sierakowskim; ten stojąc zawsze przy stole, podawał pytania po polsku i tłumaczył odpowiedzi na język rossyjski.

Nie będę opisywał toku sprawy mojej i całego jej przewodu, który trwał dosyć długo i tém mnie najwięcej unużył. Dziesięć niedziel siedziałem sam jeden w mieszkaniu mojem, wyglądając zawsze niecierpliwie przyjscia pana plac-ma-

jora Ganiczewa, który był dla mnie aniołem pocieszycielem; grzeczny, miły, dodawał mi otuchy, jak mógł i umiał, najpoczciwsze mając serce.

Zachorowałem wreszcie, i pierwszy senator Mamonów wniósł aby mi inną dać kwatere, zmieniłem także jedzenie, poczynając brać u włocho traktyernika Czapy za własne pieniądze, co mi dozwolono. Te środki poskutkowały, uczułem się silniejszym i zdrowszym. Mieszkanie wyznaczonem mi zostało w domu brygadyerowej Swiejkowskiej, gdzie na dole dostałem bardzo porządne trzy pokoje, i kilku rekrutów dla posługi. Tu dopiero odżyłem znowu, gdym się mógł nieco obszerniej, wygodniej i czystiej roztaszować. Nie broniono mi ani okien na ulicę otwierać, ani też kupować sobie co mi się podobało. Gospodyni była tak łaskawa, że mi zaraz przysłała herbaty, i wieszak, a ja pomyślałem o pościeli i bieliznie; ale nim się zebrałem je odmienić, pani brygadyerowa wracająca z przechadzki, przybliżyła się do mojego okna i sama mi oświadczyła, że utrzymanie, herbatę, jedzenie, opranie, bierze na siebie.

Tego dnia był bal jakiś u pana Osipowa, na którym znajdowała się i pani Swiejkowska, obiecując mi na wyjeźdném, że się jeszcze wstawi za mną. Jakoż przysłano mi zaraz cyrulika, pozwolono pójść do kąpieli, opatrzone wszystkie potrzeby, i tak ażem odmłodniał, gdym znowu do wygod i czystości, do której byłem przywykły, przyszedł za pomocą i łaskawém pani Swiejkowskiej wstawieniem się. Jakoś mi się w oczach rozjaśniło; pan Ganiczew, dobrodziej mój, codzień przyjeżdżał odwiedzać mnie przywoząc czasem rubla, czasem dwa i trzy wedle tego jak żądałem, i pozwalając mi bywać na górze u pani brygadyerowej. Z pieniędzy, które miałem, opłacałem kamerdynera, praczki i inne sługi domowe. Niekiedy dla pokrzepienia wypiliśmy z panem Ganiczewem butelkę porteru lub wina szampańskiego, i choć mi źle nie było, tęskno tylko za domem i swojemi. Pocieszał mnie poczciwy placmajor, że rychło przyjdzie pozwolenie wyjazdu, ale się to przeciągało. Siedziałem w tym domu do dwódnastego piątego listopada, kiedy rano wchodzi pan Ganiczew z rozjaśnioną twarzą i woła:

—Pozdrawiam was najmiłościwszym rozkazem, jesteś pan wolny.

Nie jestem już w stanie opisać dziś radości, zachwycenia, jakie naówczas uczułem, pojąć to łatwo, ale wyrazić nie podobna... Prosiłem zaraz o pozwolenie widzenia się w obec kommissyi ze stryjem i bratem, o czém plac-major doniósł, i stawić mi się kazano. Miałem ten powód żądać widzenia się z kochanym opatem, ztem mu odjeżdżającemu dał był dwieście dukatów, i żądać mogłem lub rewersu, albo rozkazu do rządcy majątków aby mi je powrócono. Nie wzbroniono mi widzenia się z nim, alem go ledwie mógł poznać, tak zapuszczona broda go odmieniła, ścisnął mnie czule i popłakaliśmy się oba.

Spytany przez komissyą o tych dwieście czerwonych złotych, przyznał stryj, że je wziął u mnie i poleceno mu wydać mi dokument.

Pożegnanie nasze było rozezulające, tak, że szanowny i zacny senator Mamonów odezwał się patrząc na nie do generała Osipowa:—wzruszający to widok, i niemal podzielił uczucie nasze.

Prosiłem jeszcze o widzenie się z bratem, dla

którego dałem, składając w ręce kommissyi czterdzieści dukatów oraz potrzebne suknie i bieliznę, zostawiwszy sobie tylko tyle abym do domu dojechał. Otrzymałem potem z kommissyi opieczętowany pakiet do generała Szeremetiewa, oraz podróżną, a upewniono mnie, że inną drogą poszły już zawiadomienia do niego o mojem uwolnieniu i oddaniu mi majątku.

Poszliśmy potem na kwaterę moją, gdzie poczciwy Ganiczew obrachował się ze mną co do grosza, i oddał mi należną resztę, chciałem mu zrobić jaką ofiarę, ale za nie do przyjęcia jęj nakłonić go nie mogłem. Dałem mu więc złoty zegarek, który miałem od wojewody Kijowskiego na pamiątkę, i ten ledwie wziął z warunkiem, że mi swój oddał w zamian. Rzadko takięj jak jego delikatności i tyle szlachetności wrodzonęj. Muszę tu dodać jeszcze, że wszyscy zasiadający w kommissyi, jakoteż podwładni generała Osipowa, byli dziwnie przez niego wybrani, i odznaczali się łagodnością i sprawiedliwością prawdziwie przykładną.

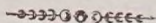
Pani Swiejkowskięj, Daniłowiczównie z domu, litewce, wdowie po brygadyrze Swiejkowskim

smoleńszeczaninie, naówczas lat trzydzieści kilka mającój, i weale przystojnej, a szczególniej najlepszego wychowania i serca, winienem był wygody domowe i tyle starania około mojego dobrego bytu przez pięć tygodni, żem nie umiał jój wdzięczności mojej na wyjezdném wyrazić tak, jak pragnąłem... Pożegnałem ją nie wygasłą unosząc z sobą pamięć jój dobroci.

Tak to opatrność wśród najprzykrzejszych często okoliczności życia zsyła niespodzianą osłodę. Nieskończoną liczbę razy doświadczyłem tego w ciągu przygód moich. Na wsiadaniu, że już było chłodno, z porady plac-majora kupiłem sobie czarny kozuch barani za osiemnaście rubli srebrnych, i w tym ruszyłem w drogę. Nocą dopiero rozstałem się ze Smoleńskiem, za bramą Małachowską znowu się znalazłszy, jak przed dwódnastu tygodniami, lecz z uczuciem swobody i pociechy, której tu przybywając nie miałem. Brama Małachowska od czegoby była nazwaną nie wiem, mówiono mi, że ją jakiś Małachowski murował, inni, że się w niej bronił w czasie jakiegoś szturm... Przy tych wrotach, pod szopką gontami nakrytą, stały dwie harmatki niesły-

chanej długości, bo pewnie po łokci dziesięć mające.

Noc była ciemna choć oczy wykol, gdym się znalazł w czystym polu. Czulem się w obowiązku naprzód najzaśniejszym państwu Hołyńskiem wdzięczność moją okazać, ich wstawieniu się i staraniom przypisując złagodzenie losu, naprzód więc do domu Michała i Barbary marszałkownstwa gubernskich witebskich śpieszyłem. W Witebsku zastałem marszałka i z nim razem pojechałem do Chołoblina.



IV.

Powrót do domu.

PRZYBYWSZY tu, przyjęty zostałem jak od rodziny, z uprzejmością, którą tylko ich serce wytłómaczyć mogło. Trzeciego dnia były zaraz imieniny pani Holyńskiej, Barbary, i ze dwieście pewnie osób zjechały się na nie, a obchodzono je trzy dni. Wszysey obywatele Białoruscy, których tu poznałem, okazali mi wiele współczucia i serdeczności. Siedm dni musiałem tu zabawić, i jam się od téj najzaciejszój familii oderwać nie mógł, i oni mnie puszczać nie chcieli. Nareszcie pożegnałem ich z wieczora chcąc bardzo rano wyruszyć, a żegnając płakałem, tak byłem dla nich

wdzięcznością przejęty, oni też z czułością tę oznakę mojego uczucia przyjęli.

Przyszedłszy do mieszkania, zastałem w nim dwa tłumoki, oprócz tego futro niedźwiedzie, kurtkę zieloną z siwemi barankami, i pugilares z dwóma tysiącami rubli assygnacyjnych. W tłumokach było sukni, bielizny i różnych przyborów mnóstwo; człowiek mój, (stryja mego, powracający ze mną do Owrucza), trzymał właśnie registr tych rzeczy, które mu kamerdyner oddał, z zapewnieniem, że to wszystko do mnie należy.

Spójrzawszy, ażem się za głowę pochwycił.

— Powiedz państwu, zawołałem do kamerdynera, że jutro nie jadę. To mówiąc dałem mu cztery dukaty, i choć brać ich nie chciał, siłą, mocą zmusiłem go do przyjęcia.

Nazajutrz rano pośpieszyłem z podziękowaniem do państwa Hołyńskich, wymawiając im ofiarę pieniężną i zapewniając, że wystarczało mi aż nadto na powrót do domu, z którego wyjechałem dostatnio, oświadczywszy przytém, że majątek chociażby chwilowo był odebrany, zwrócić mi kazano, jakoż miałem z sobą polecenie do je-

nerała Szermetjewa, które na dowód wskazałem. Nie chciałem tedy nie przyjąć z tych kosztownych rzeczy, i zatrzymałem tylko kurtkę z barankami, rajtuzy, jedną koszulę, ręcznik i frak na pamiątkę. Resztę uparłszy się zostawiłem. Chowałem to wraz z mundurami mojemu w poszanowaniu jak największém, ale gdy się palił stary dom w Halijowce, i to w nim spłonęło.

Wyjeżdżałem drugiego dnia po obiedzie, gdy przyszedł kamerdyner prosząc o tabakierkę dla nasypania tabaki, dałem ją, i oddał mi zaraz napakowaną, wraz z pudłem z prowiantami, które do powozu włożył.



V.

Żytomierz i Sidaczówka.

WYJECHAWSZY z Chołoblina ruszyłem na całą noc, o mil może piętnaście lub więcej, tobaka dobięrała się do spodu, patrzę, coś tam zawadza, a to te cztery dukaty, które ciężyły kamerdynerowi i włożył mi je nazad przysypawszy bym nie rychło zobaczył. Zacheiało mi się jeść, kazałem przynieść pudło, kiedy podniosę wierzch, patrzę na wierzchu owe dwa tysiące rubli z napisem: »Ofiary serc życzliwych odrzucać się nie godzi.

Temi tkliwemi dowodami współczucia na nowo byłem rozrzewniony do niewypowiedzenia; je-

chałem dalej dzień i noc śpiesząc do żony. Droga była dosyć ciężka, chociaż powóz mój nie opakowany i lekki; musiałem brać po sześć koni na pocztach, i czwartego dnia dopiero stanąłem w Żytomiérzu i wprost zajechałem do jenerała Szeremetjewa, który przeczytawszy papiéry i rozkaz zwrócenia mi majątku, natychmiast go z pod nadzoru i administracyi skarbowej uwolnić kazał. Żona moja, dzięki Bogu, nie ruszona jeszcze, pozostała w domu, jak mi to zaraz na wstępie jenerał objawił. Pobiegłem do państwa Morzkowskich dziękując im za okazaną jój w czasie niebytności mojej troskliwość i opiekę, prosiłem pana Szeremetjewa o pasport do Lwowa, a czynności te resztę dnia i noc zatrzymały mnie w mieście.

Nazajutrz już biegłem do domu, gdzie żonę moją powitałem uradowaną i zdziwioną; mieszkała jeszcze w starym domu, lecz tegoż dnia przenieśliśmy się do nowego. Dałem zaraz znać Antoniemu Giżyckiemu, Marcinowi Bukarowi, podkomorzemu Bierzyńskiemu i innym przyjaciołóm i znajomym; zbiegli się do mnie i przez trzy dni bawili. Gadania bez ustanku trwała od rana

do wieczora, nawypytywać mnie i nasłuchać się nie mogli dosyć przygód moich.

W kilka dni pojechałem z żoną do Berdyczowa, gdzie kupił kilka pięknych cacek u pana Chaudoira i odesłałem je natychmiast najętymi końmi do Chołoblina; dla przeciwnego kamerdynera, kazi-
mirku i sukna za kilkanaście dukatów dołączy-
łem, z pismem wyrażającym niewygasłą moją dla
całej rodziny i domu wdzięczność. Nowemi mnie
znowu prezentami obłożyli, alem nie był wtedy
w domu gdy nadeszły.

Pojechałem na kontrakty do Dubna: jeden tyl-
ko pan Bierzyński oddał mi półowę procentu, ale
żem ztąd chciał być we Lwowie, nakupiwszy pre-
zentów dla żony, posłałem je przez Marcina Bu-
kara, a sam ruszyłem ze siedmdziesięcią tylko
dukatami w kieszeni.

Stałem we Lwowie jakoś raniuchno i wprost
zajechałem do brata żony, gdzie ich obu zasta-
łem; nie wierzyli oczóm zobaczywszy mnie, wie-
dzieli bowiem o losie moim, a nie jeszcze o po-
wrócie ze Smoleńska.

VI.

Lwów w roku 1795.

TRAFILEM do Lwowa na kontrakty, a razem taki seisk i zjazd obywateli z całej dawniej Polski, jakiego nikt z dawna nie pamiętał. Po ostatnich wypadkach wszyscy się tam ściągali i zamieszkiwali. Rząd miejscowy był łagodny i tolerujący, to przynęcało wielu, inni szli za przykładem i potrzebnie czy nie, ciągnęli za piérwszemi.

Po czułych przywitaniach z braćmi moimi, zaproponowali mi zaraz żebym z nimi jechał z wizytą do pana Potockiego wojewody bełzkiego, gdyż magnat ten za dni parę wielki bal dawał. Pojechałem w czarnym fraku, czarnych

spodniach, pończochach, kamizelee, chustec na szyi i włosami bez pudru, którego wówczas jeszcze używano. Przedstawił mnie Hilary panu wojewodzie opowiadając moją historią, niezmiernie grzecznie byłem przyjęty i wojewoda zażądał bym się żonie jego prezentował. Przyszła pani wojewodzina, której zostałem przedstawiony; znajoma jej grzeczność, nie potrzebuję rozpisywać się o niej szeroko, zaproszony zostałem na bal i bym jak najczęściiej dom ich odwiedzał.

Nazajutrz rano pan wojewoda zrobił mi wizytę sam: była to w samą rzecz grzeczność wielka, tém więcj, że w tak niewielkiem mieście cały świat o niej wiedział, i ona mi już za pasport do dalszych znajomości i stosunków służyła.

Więcj jeszcze uczynił pan wojewoda, odezwałem się z tém, że chciałbym być u gubernatora. Był nim naówczas węgierski magnat pan Jurmeni, bardzo poczciwy człowiek, trochę z węgierska, ale dobrze mówiący po polsku i lubiący polaków. Zaraz Potocki zaprosił mnie z sobą i powiózł naprzód do niego, potém do arcy-biskupa Kieckiego, do pani kasztelanowej Kamińskiej, do pani Humieckiej, miecznikowej koronnej i t. d.

Tymczasem robiono mi frak lepszym krojem, kamizelki, spodnie, garderobę całą, ale wszystko czarne jakem dysponował.

Przyjechałem na bal z braćmi mojej żony, już były pełne salony, wszedłem czarny zupełnie nawet bez pudru, i pośpieszyłem powitać panią wojewodzinę, która, jak wszystkie grzeczne i dobrego serca osoby każdego chciała postawić na dobrym stopniu i kilka minut rozmawiała ze mną. Poszedłem potem pokłonić się bliżej siedzącym damom, którym mnie prezentowała, witając panią Kossakowską i Humiecką, a nareszcie wyszukałem pana wojewody, i byłem przez niego łaskawie bardzo przyjęty i rozmową wstrzymany.

Nadszedł pan Jurmeni, któremu ukloniłem się także, a on jako już znajomy, chwilę ze mną pomówił.

Wszyscy poczęli się zaraz pytać co to za oryginał? kto? z kąd? szeptać i opowiadać sobie aż mnie *czarnym nieznanym* przezwano. Pomimo to znalazłem na tym balu kilkanaście osób z Warszawy mi znajomych, z Lublina, z obozu, a w mieście później odkryło się daleko więcej jeszcze znajomości starych.

Otworzył się bal, nie tańcowałem, po kilku polonezach pani wojewodzina skinęła na mnie, pobiegłem ku niej.

— Cóż to waćpan nie tańczysz?

— Nikogo prawie nie znam.

— Zaraz panu dam pasport do znajomości, proszę ze mną. I usiadła na krześle, na którym siadają damy w pierwszą parę zamówione.

Tańcowałem tedy z panią wojewodziną i już potem miałem prawo brać każdą damę. Prędkie na tym balu porobiłem znajomości; a że bardzo wiele, jak się rzekło z Warszawy, z Lublina, z Grodna, z obozu i z Rijowskiego było gotowych, zebrała się dobra gromadka.

Na drugi dzień pan wojewoda prosił nas, to jest mnie i Siemianowskich, na obiad, na którym mało więcej było nad dwadzieścia osób.

Zaproponowano wista po stole, wojewoda spytał czy gram? odpowiedziałem, że gra mi znajoma. Dają kartę, odezwałem się, po czemu?

— Po dukacie, a zakłady po trzy na partye... Miałem wszystkiego pięćdziesiąt dukatów w kieszeni i nadzieję, że procent od sumki żony od-

biore, a to co było w kieszeni przy grze naj-nieszczęśliwszój, wystarczało na zapłacenie, bo gra wista była naówczas simplex. Zasiadliśmy tedy do stolika, pan wojewoda, hrabia Tarnowski, pan starosta Kalinowski i ja, chociaż przyznam się że począł ze strachem. Z dziewięciu robrów wygrałem siedm większych i zakłady, co z górą czterdzięści dukatów wyniosło.

Nazajutrz był bal u arcy-biskupa, miałem już bilet, znowum siadł grać w tejsze partyi, i wygrałem jeszcze drugie tyle. Grałem tak codzien więcej niż przez rok, nigdy więcej, ale też nie mniej, jak po dukacie, i nie pamiętam żebym kiedy przegrany wstał od stolika.

Na balu tym było już z pięćdziesiąt może młodzieży w czarnych jak ja ubiorach, bez pudru, wszyscy znajomi i obadwa bracia żony mojej, poszło to szalenie w modę. W tydzień jużem się z całą prawie publicznością obeznał.

Znalazłem tu i ową grubę podkomorzynę lubelską, z którą odnowiłem znajomość, ale nie było kochanej Franusi, jej męża i brata; zjechałem się z niemi dopięro w Bardyowie. Przydać tu muszę, że Lwów nigdy bardzo nie słynał z o-

strości obyczajów, a wówczas wszystko było rozprężone. Kobiety z wielkiego patryotyzmu romansowały na zabój, mieniały kochanków, wyrywały sobie ludzi, odprawiały jednych jak lokajów, przyjmowały drugich, jak najemników. Mężowie ich nawzajem dopuszczali się niewierności bez końca, a gdy żony sypały co miały dla swoich kochanków, ci znowu rujnowali się zapalezywie, dla niewiedziéć jakich kobiet, które się im chwilowo podobały. Nie mieć kochanka było sromotą, najlichsza pani szewcowa, na birgier-baliku, lub weterani shehele, albo na wałach, nie pokazała się bez syżyzbea. Damy, pierwszego rzędu, pani Potocka wojewodzina bełzka, Koszakowska, kasztelanowa Kamińska, pani miecznikowa Humiecka i kilka innych, połączywszy się z arey-biskupem Riekim, chcieli koniecznie wpłynąć na poprawę ogólną obyczajów, ale ich usiłowania nie nie pomogły, był to straszliwy wylew, którego w téj chwili żadna tama pohamować nie mogła.

Puściłem się w otehłań, bo we dwódziestym szóstym roku życia, trudno być wstrzemięzliwym wśród ogólnego rozprężenia. Gra szcze-

śliwa i miłostki, tak podniosły moje finanse, że w miesiąc miałem własną moją karétę z pięknych bardzo parą koni angliczowanych, konia wierzchowego, drugiego pod masztalerza, kamerdynera, stangreta i dom na stopie najprzystojniejszej. Pograżony w bałwanach tego burzliwego morza, wyznać muszę ze smutkiem, zapomniałem o najpocześniejszej żonie, o dziecku i obowiązkach moich, i można było do mnie zastosować, co napisał Sarbiewski.

Daemon dum languebat monachus esse volebat

Ast uti convaluit mansit ut ante fuit.

Co po polsku bym wyłożył:

Diabeł chorując żądał mnichem zostać,

Powróciwszy do zdrowia, przywdział dawną postać.

Nie miałem ktoby mnie opamiętał: bracia mojej żony, młodzi ludzie, równie jak ja zabawy byli spragnieni, nie tylko więc nie odprowadzali mnie, ale mi jeszcze dopomagali do wszystkich szaleństw moich. Byłem jak Telemak na wyspie Kallipsy, ale mi brakło Minnerwy w postaci mentora, któryby wypchnąwszy z téj ziemi czarów, gwałtem do swój nawy zapędził. W czerwcu chciałem wyjechać do do-

mu, ale nagle sformował się, projekt kompanii mającej ruszyć do Trenczyna i Bardyowa: wciągniono i mnie do niej, czego kobiety z nami nie zrobią?

Mieliśmy dwa nasze powozy, karétę moją, drugą Hilarego, jechał z nami czwarty, Siemianowski major służby polskiej, stryjeczny brat moich szwagrów. Całe towarzystwo z mężczyzn i dam złożone, mieściło się w jedenastu powozach, a w liczbie tych były cztery karéty poczwórne. Stanęliśmy w Trenczynie: pierwsze twarze jakim tu zobaczył były pana Jana L.... pana Józefa Z... i żony jego Franusi. Za dwa dni mieli już odjeżdżać do domu. Franusia chorą była po dziecięciu, nie odstępowałem ich prawie, dopóki nie odjechali. Zabawiwszy dwa tygodnie w Trenczynie, ruszyliśmy do Bardyowa; w obu tych miejscach, miłostki i gra, zawsze mi szły jak dawniej, z obu zwycięzko wychodziłem.

W Bardyowie było kilku panów węgierskich, bywaliśmy u nich na obiadach jeździliśmy o mil dwie, trzy, cztery do nich na wieś, gdzie pałace równie były wspaniałe jak cały tryb ich ży-

cia kosztowny i wystawny. W niektórych domach przy deserze dawano wino węgierskie tak gęste jak galareta, które się łyżeczką jada, nigdzie potem nie podobnego kosztować mi się nie trafiło, smak niewypowiedzianie rokoszny.

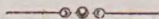
Powracając we wrześniu ze Lwowa, do kilkunastu domów jeszcze w Galicyi wstępowaliśmy, do hrabiów Olszewskich, do hrabiów Baworowskich, gdzieśmy byli na bardzo wspaniałem polowaniu, do domów dwóch Siemianowskich i wielu innych znajomych. W końcu dopiero listopada powróciliśmy do Lwowa, chciałem niby zaraz wyjeżdżać do żony, ale to się od tygodnia do tygodnia odkładało, zaskoczyły Święta, publiczność na nowo massami zwała się do Lwowa. Jedni powracali z Wiednia, drudzy z wód różnych i ze wsi, zgoła Lwów zappełnił się i zaludnił przybywającami, zostałem tedy na kontrakty, tém bardziej, że szczęście dotąd mnie nie odstępowało. Listy żony mojej dochodziły mnie regularnie, a chociaż w nich były uskarżania się na to, że długo siedzę, że ją samą zostawiam, że jój przykro, ale tak mi te wymówki robiła łagodnie, tak delikatnie, tak zeicha, że je zawsze

kończyła słowa:— Napisz mi tylko czyś zdrów, a będę spokojna.

Lwów naówczas nie tylko świetny i ludny, ale bardzo był pieniężny, przez lat dwa pobytu osób tyłu, miliony tu wpłynęły i pozostały. Książę Adam Poniński miał w kufrach leżących wygranych dziewięćdziesiąt cztery tysiące dukatów, oprócz wydatków niezmiernych na życie pyszne, stół wyborny, przestronne mieszkanie, w którym co dnia kilkadziesiąt osób na kolacyach się zbierało, a wina brodem płynęły szampańskie, burgund, stare węgierskie, co kto chciał.

Wszyscy mu wówczas perswadowali żeby przestał grać, ale się upierał, że dopiero, gdy sto tysięcy dukatów dopełni, porzuci grę na zawsze.

Tymczasem noga się powinęła, zaczęto go skubać, i z dwódziestu tylko tysiącami dukatów wyjechał. Kobięty szalały jak mężczyźni, darły magnatów, ale sypały ulubieńcom, nie żałując; taki stan społeczny, nie prędko zjawić się znowu może.



VII.

Stan Lwowa i społeczeństwa w latach 1795 i 1796.

Tu mimowolnie zastanowić się muszę, zwracając uwagę na to, że przed niedawnym jeszcze czasem, świeżo będąc w Warszawie, całe innego ducha, obyczajów i zajęć był świadkiem. Tak kobiety, jako mężczyźni, codziennym odmiennym wiodli życie. Tu we Lwowie, chociaż napływ Polaków ze wszystkich stron był niezmierny, tak, że do najciaśniejszego kąta całe zalał miasto, i zdawało się, że wszystkie prowincje słowo sobie dały, tu się zgromadzić; chociaż zbiorowisko to składało się z osób najmajątniejszych, najlepiej wychowanych, najlepiej ukształconych i

najwyżej stojących, nikt nawet o klęskach ogólnych, o kraju i sytuacji jego nowiej nie podniósł głosu, ust nie otworzył, zdawało się, że po za nami nie było żadnej przyszłości, żadnego jutra przed nami, nie coby opłakiwać można, nie czego by się trwożyć potrzeba, nie coby dokonać należało. Bawiono się bez końca, kochano na zabój jak mówiłem, grano w karty bez pamięci upijano się śmiertelnie, i szalano jak za dobrych czasów. Ale taka święta zgoda panowała w tym tłumie nienasyconych, taka miłość i jedność braterska, że chociaż tu blisko półtora roku przebyłem w tym odmęcie, nie spotkałem się, nie widziałem żadnej kłótni, pojedynku, sporu i awantury.

Kazimierz Rzewuski, pisarz polny koronny, i Michał Wielohorski generał, jakoś nad całą młodzieżą i męzkim towarzystwem objęli władzę i kierunek, a jeśli się nieporozumienie trafiło, zaraz występowali jako rozjemcy, gasili niewczesne zapalenia, jednali i zbliżali ręce zwaśnionych z zadowoleniem stron obu. Wiele było znakomitych domów otwartych, jako to, gubernatora pana Jurmeni, księdza arcy-biskupa Kiekiego, państwa

Potockich województwa bełzkich, pani Humieckiej, pani Kossakowskiej, hrabiów Mierów, hrabiów Baworowskich, pani Gołaszewskiej, Dominikowstwa Dulskich, Kazimierza Rzewuskiego, Michała Wielohorskiego, hrabiów Zabielskich, hrabiów Olszewskich i t. d. Wszystkie te domy miały swe koterye, które nie tylko jedna drugiej nie szkodziły, ale zawsze łączyły się do jednego celu, aby się dobrze bawić i bawić bez przerwy. Żaden pasztet nie miał miejsca ani między koteryami, ani między osobami.

Ta stagnacya, to zobojętnienie na losy ogólne zda mi się ztąd poszło, że chwilowo wszyscy zdawali się tu znajdować schronienie, przytułek spokojny, opiekę, a swoboda zupełna czynności, dozwalała zapomnieć, co się gdzie działo na świecie. Ideje człowieka są często jak sprężyny hartowne, im silniej naciśnięte, tém mocniej odskakują i rażą.

Od roku 1791 po tę datę o której piszę, widziałem świat nasz, ciągle zmieniający twarz swoją wedle okoliczności zewnętrznych i uczuć jakie nim władały.

Wiadomo, że po Maciejowickiej bitwie, pomawiano księcia Adama Ponińskiego natenczas generała, iż w porę nie przybył z posiłkiem Kościuszcze, a przeto przegranę tę przypisywano księciu. Książę Adam Poniński przybył do Lwowa prawie razem ze mną, o jednym czasie, zrazu nie był dobrze widziany, nie tylko go nie zapraszano, ale w niektórych większych domach grzecznie unikano jego bytności, młodzież także stroniła od niego.

Nie wiem czy panowie Rzewuski i Wielohorski proszeni byli o to przez niego, czy sami to ze swego uczynili natchnienia, dosyć, że jednego razu na wielkim obiedzie u Kazimierza Rzewuskiego, podniesiono tę materję.

Rzewuski odezwał się, że gdyby zgoda powszechna była za tém, on z panem Wielohorskim zaprosiliby oficerów dawniej służby znajdujących się we Lwowie, do roztrząśnienia kwestyi téj i stanowczego jój rozstrzygnięcia—była li wina czy przypadek?

—Prosimy! zawołali wszyscy.

Po obiedzie gdy coraz gęściej pukały butelki,

wszedł Poniński, a pan Rzewuski i Wielohorski zagaili przy nim ten przedmiot.

Poniński nie tylko poddał się temu sądowi, ale wszystkich w powszechności prosił za arbitrów do przysłuchiwania się sprawie, i nazaczył na nią dzień następnny, w ogromnej sali u Hechta.

Nazajutrz co się tylko w tym wielkim gmachu pomieścić mogło, wszystko tam było, tak dalece, że ścisk dam na galeryach niezmierny, wpuszczać już więcej nie dozwalał. Ze dwadzieścia osób oficerów wyższych stopni, obsiedli stół wielki; Poniński wykladał sprawę swoją głośno, złożył dane mu ordynanse, kontr-ordynanse i wszelkie dotyczące się téj rzeczy papiéry, które najdrobniejsze okoliczności wyjaśniały; w cichości największej słuchano go. Następnie, po rozważeniu faktów, ogłoszono decyzją, że Poniński sprawił się we wszystkiém podług rozkazów Naczelnika, i w niezém nie był winien, zachowując nieposzlakowany honor wojskowy. Damy klaskały w ręce, mężczyźni okrzyknęli: winszujemy!

Zaczęła się pijatyka, która do późnej trwała nocy, z pewnością zaręczyć mogę, że najmniej tysiąc butelek wina szampańskiego wyszło, oprócz

tego jedzenia, kotletów, sérów, pieczystego różnego rodzaju, ostryg moc niezmierna; nie pojmuję jak tego mogli dostarczyć. Noszono kilka godzin bez ustanku co kto zażądał. Dzień ten pewnie księcia Ponińskiego najmniej dwa tysiące czerwonych złotych kosztować musiał.

Następujących dni zaraz, pan Rzewuski lub Wielohorski na przemiany, obwozili z wizytami Ponińskiego; wszedł zatem w towarzystwo, otworzył dom i grając szczęśliwie bardzo, utrzymywał go na zbyt kownej i wystawnej stopie. Takiemu to wypadkowi i tym dwóm przyjaznym sobie ludziom, winien był książę swoje uniewinnienie zupełne i postawienie na widowni. Szczęśliwszy jednak kto ani się oczyszczać, ani tłumaczyć nie miał potrzeby.

Z Rzewuskim pisarzem polnym koronnym miałem dobrą znajomość jeszcze z Warszawy, z racy stosunków moich z kasztelanem witebskim, a teraz po powrocie ze Smoleńska mieszkając we Lwowie zbliżyłem się do niego. Ja dobrze jeździłem na koniu, on był wielkim koni amatorem i jazdy wierzchowej, to mi dało wstęp do łaskawych jego względów. Co dzień prawie z innymi

młodymi ludźmi jeździwał, a gdy się raz odezwał o mnie :

— Gdybym nie jeździł tak konno jak jeżdżę, chciałbym konia tak dosiadać jak Ochocki; dało mi to renomę niezmierną.

Oprócz tego żem zawsze śmiało i dobrze jeździł, brałem jeszcze ciągle lekye od sławnego berejtera, który tu bawił z trupą swoją. Nieraz w tym samym maneżu i pan Rzewuski jeździł; płaciło się trzy złote od godziny za lekye, ale taki ścisk bywał, że w wigilią potrzeba było obstalowywać bilet i numer. Pan Rzewuski prawie codzień bywał na maneżu, był to czas popularności, której i on się musiał poddać, jednakże na tle tym przystępności przebijała się duma wrodzona, chociaż tak prędko ją tamował, że najbaczniejsze oko dostrzedz jój nie potrafiło.

Co do zabaw publicznych, różnego one były rodzaju; były dwa teatra, polski i niemiecki, grano na nich opery, komedye, balety, pantominy maryonетки; była galerya figur woskowych w trzech salach ustawiona, antrepyza pana Matiego, szeczwalnia i wielka menażerya zwierząt dzikich, a wszędzie w tych miejscach nacisk niezmierny.

Pan Bogusławski z całą swoją trupą polską z baletnikami, z próżnej naówczas Warszawy, do przepelnionego przybył Lwowa i na zimę ułożył się z niemiecką antreprezą tak, że na przemiany przez dzień grywali po polsku i po niemiecku. Na polskich przedstawieniach taki był nacisk, że pewnie półowa osób odchodziła nie dostawszy biletów, gdy niemieckie widowiska zazwyczaj były próżne. Koniec końców przedsięwzięcie niemieckie za dosyć znaczną sumę odstąpiło wszystkie dni Bogusławskiemu na całą zimę, grywał więc i codziennie, ścisł jeszcze tak był wielki, jak gdyby pierwszy lub ostatni raz grać miano. Dwie sztuki szczególniejsz zwabiały tłumy ciekawych, *Azur król Ormus* świeżo przetłómaczony, lubo amatorowie i znawcy mówili pokaleczony, i polskie teksty niestosownie pod muzykę miały być popodkładane, przecież ze dwadzieścia razy był powtarzany; druga, *Krakowiaczy i Górale*, oryginalna i z wielkim przyjmowana zapalem. W tych obydwóch reprezentacyach dekoracya i garderoba, wysilone i bardzo kosztowne, często może zastępowały brak talentu w niektórych artystach, publiczność jednak oklaskami ich okry-

wała, forami dręczyła. Do krakowiaków i do innych podobnych sztuczek zebrał Bogusławski kilka bardzo ładnych dziewcząt, które nie znając prawideł mimiki, pantominy, deklamacyi, nie umiejąc śpiewać i nie wiele tańcować, służyły raczej za figurantki niż za aktorki, bo nawet najkrótsze role subrotek z trudnością i niewielkiem powodzeniem wykonywały, ale że były bardzo piękne i młodziuchne podobały się publiczności męzkiej.

Przez całą zimę grywano na teatrze miejskim, z kościoła niegdyś karmelitańskiego na ten cel z polecenia rządu przerobionym, który, jak się rzekło, przedsięwzięcie niemieckie panu Bogusławskiemu odstąpiło. Na wiosnę pan Bogusławski za pozwoleniem rządu, wybudował w pojezuickim ogrodzie ogromną szopę, płótnem pokrytą na teatrum. Wiadomo każdemu, że w teatru budowie, architekci starają się tak rozporządzić gmach, by w nim głos dobrze się wszędzie rozchodził, a widzowie ze wszech stron dobrze i wygodnie patrzali na scenę; tu zaś o to chodziło tylko, żeby jak najwięcej spektatorów pomieścić, a o reszcie zapomniano. Więcej niż trzecia część

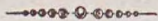
widzów pod gołém niebem na ławkach siedziała, i lada dészcz ją rozpędzał, jednakże niedogodność ta niezrażała publiczności: kto się opóźnił i zabierał miejsce w ławkach na końcu, ten aktorów nie słyszał, i siedział jak na pantomimie. Nie być jednak w teatrze było grzechem przeciw powszechnemu obyczajowi czasu. Pan Bogusławski powinien był zrobić ogromny majątek, ale prawda, że miał liczną bardzo trupe, z którą się dzielił, kosztowną garderobę, opłacał się sowicie niemieckiej antrepryzie i miastu; może nie tyle mu zostało, ileby było powinno.

Zimą przez całe kontrakty i zapusty, codzien bywała reduta, codzien piknik, codzien birgelbal (bürgerbal)? wszędzie zapchano, wszędzie młodzież z miejsca na miejsce po dwa razy przechodziła; dodać do tego partykularne zabawy, w kilku przynajmniej domach prozione wieczory, po magnackich pałacach bale, a wszędzie pełniuteńko—wystawić sobie będzie można z tego, jaką wówczas ludność i jak ochoczą Lwów obejmował.

To co się po kontraktach rozjechało nie postrzeżonym prawie było ubytkiem, w Wielki Post wszystkie kościoły rano były napchane, a w pięć-

dziesięciu może domach zapraszano na wieczory pod imieniem:— *Na grzanki* znane. W Wielki tydzień na pozór zamykały się domy, ale co tam się działo przy obchodzeniu grobów, kościółby się zaparł tych bezpamiętnych niezbożników. Tam spójrzienia nowe wiązały miłostki, dawano sobie rendez-vous, u ołtarzów zaprzysięgano wierność, którą na kilka może godzin dawano, bo płochość tego tłumu była niepojęta, zepsucie nieopatrzone, niesłychane.

Po świętach sala redutowa służyła za Foxhall, piknik lokal swój i nazwisko zatrzymywał, otwierały się zabawy w po-jezuickim ogrodzie, na wałach przechadzki wieczorne, w ogrodzie za miastem *Veteranische Halle* nazwanym, w wielkich salonach tańce, pod drzew cieniem spacer, illuminacye, fajerwerki. Pojąć dziś nie mogę jak tę publiczność na to wszystko wystarczało, były to nasze nieszczęśliwe zapusty, któreśmy później długim postem i dyscyplinami odpokutować musieli.



VIII.

Powrót do domu.

JEDNEGO dnia miałem dwa wypadki, które narzecznie zdeterminowały mnie do porzucenia Lwowa i jak najprędzszego zeń wyjazdu. Byłem już może i znudzony tém wszystkiém co mnie otaczało, a może i sumienie zakołatało, zmagając na drogę powinności. Następujące przygody przyspieszyły ostatecznie wyruszenie ze Lwowa.

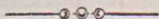
Z rana poważniłem się z moją ostatnią kochanką, a w zwyczajnej porze siadłszy do wista, wszystkie dwanaście robaków wciąż po sobie następujących z zakładami przegrałem. Uczyniło to sto jedenaście czerwonych złotych, poznałem,

że mnie szczęście w obu zawodach opuszcza; sprzedawszy więc konie od karéty i wierchowé, odprawiwszy niepotrzebnych ludzi, powróciłem powozem, a że wielką miałem ilość garderoby, sprawunków, fatałaszek różnych, nająłem bryczkę i furmanów do karéty. Oprócz tego, co się przejadło, straciło, przehulało, zmarnowało i rozdało na wszystkie strony, miałem jeszcze do pięciuset dukatów w kieszeni, a przez tych kilkanaście miesięcy, śmiało powiedzieć mogę do osiemdziesiąt tysięcy złotych przez ręce moje przeszło. Ale lekko nabyte pieniądze, łatwo się też rozchodzą. Jechał ze mną Euzebi Siemianowski brat mojej żony. Stanęliśmy w Sidaczówce ostatnich dni marca. Nie mogła się zobaczywszy mnie utulić poczciwa moja, kochana żona, zrozumiałem przyczynę tych łez, które dla mnie były najsroższym wyrzutem i karą. Napróżno zarzucałem ją prezentami, przyjmowała je z widoczną obojętnością, a nawet z niechęcią. Przyniesiono czyli przyprowadzono raczej Emilkę już gadającą, wziąłem ją na ręce, odwróciła się odemnie przestraszona i do matki wyciągnęła ramiona, bo nie poznała ojca, było to drugie za-

służone upokorzenie. Ale co wycierpieć musiałem od pani sędziniej Bukarowej, od jenerałowej Karwickiej, Bogu tylko wiadomo.

Spuściwszy uszy, potrzeba było znosić karę, na którą się zarobiło. I dziś jeszcze karzę się sam tą moją spowiedzią, aby ona przynajmniej doprowadziła na drogę, równie jak ja płocho i roztrzepanego człowieka, co mnie czytać będzie.

Zona moja po kilku dniach przyszła do właściwego sobie humoru, przebaczyła mi uchybienia moje, a anielska jej dusza, na nowo z dawną, właściwą sobie dobrocią i przywiązaniem, zaczęła czuwać nademną.



IX.

Dzieje prowincjonalne.

PODZIAŁ kraju zmienił zupełnie wewnętrzne jego stosunki i życie. Kraków dostał się cesarzowi Austryackiemu, Warszawa królowi Pruskiemu, po Bug przyłączono do Rossyi, w granicach jakie i dziś trwają; Stanisław-August złożył koronę, któremu w początku Grodno za rezydencją zostało wyznaczone wraz z pensją trzech kroć sto tysięcy czerwonych złotych, po sto tysięcy od każdego dworu. Jenerał Dąbrowski przy poddaniu się Warszawy uprowadził z sobą około siedmiu tysięcy wojska, i z hazardem a trudami wielkimi przewiódł je z sobą do Francyi, gdzie

z nich uformowały się tak zwane Legiony. Jaki im później nadano kierunek, gdzie się one oparły, historia zaświadcza, ja tylko wspominam tu o tém pobieżnie, dla toku rzeczy, oddając hołd sprawiedliwy naczelnikowi tych sił, i wracam do naszej prowincyi. Jeszcze w roku 1793, Cesarzowa Katarzyna II po powtórny podziale kraju, który zajął po Warkowicze, pozwoliła była wysłać delegatów do tronu z nowo ustanowionych namiestnictw. Jakoż wybrano z Izaśławskiego, dzisiejszej Wołyńskiej gubernii, księcia Antoniego Jabłonowskiego kasztelana krakowskiego, książąt Sanguszków, Hieronima wojewodę wołyńskiego i syna jego Eustachego generała wojsk polskich, księcia Michała Lubomirskiego generał-majora, Józefa-Augusta Ilińskiego szefa regimentu swojego imienia i Michała Walewskiego wojewodę sieradzkiego. Katarzyna II raczyła przyjąć delegatów z największą dobrocią, a razem wspaniałością, obdarzyła ich rangami, orderami, prezentami, zapraszani bywali ciągle do Ermitażu, gdzie wielka Monarchini zrzucając koronę ze skroni, była tylko jedna z najmilszych i najświatlejszych osób swojego czasu, usuwając na stronę

etykietę i pozwalając do siebie przystępu wszystkim dworu swojego osobóm i dystyngwowanym cudzoziemcóm. Sanguszkowie obadwa dostali rangi, wojewoda generała od piechoty, książę Eustachy generał-majora w czynnej służbie, Iliński, radzcy tajnego rzeczywistego i kamerhera, przytém każdy z nich otrzymał jeszcze różne prezenta i dary.

Po uspokojonych w kraju zamieszaniach w roku 1794, jakem wyżej wyraził, przy drugim podziale to jest od roku 1793 wszystkie jurydykcyce dawne ziemskie i grodzkie, na miejsce konfederacyi targowickiej zostały podniesione, co trwało do 1797 roku, to jest do ustanowienia gubernij, według zakresu dawnych powiatów. Namiestnictwo zaś Izaławskie pod względem administracyjno-policyjnym podzielono na piętnaście okręgów, a rząd wyznaczył do każdego z nich, tymczasowego naczelnika szlachty i okręgowego naczelnika. Powróciwszy z delegacyi, kamerher Iliński był w cudnowskim okręgu wyznaczony od rządu, takim naczelnikiem szlachty czyli marszałkiem, a naczelnikiem okręgowym major od kirysyerów Wsiewołoski. Powróciwszy do Lwowa

zastałem już porządek ten wprowadzony, i wkrótce po przyjeździe moim zwołano zostało obywatelstwo na zjazd do Cudnowa, któremu kamerher Iliński miał przewodniczyć. Miałem niejakię pojęcie czém są w Rossyi marszałkowie gubernscy i powiatowi, zagailem więc w zgromadzeniu, aby, gdy się podobało rządowi wyznaczyć predwodytelów okręgowych, żeby szlachta prosiła i o gubernskiego, na to miejsce przedstawując kamerhera Ilińskiego, o co radziłem podać prośbę do namiestnika jenerała Tutolmina, a drugą do Izasławskiego gubernatora Szeremetiewa. Obywatele na podany przezemnie projekt jednozgodnie przystali, i pana Ilińskiego kamerhera zaproszono, aby przyjął to miejsce. Kazano mi napisać te prośby, podpisali je wszysey, a mnie do jenerała Tutolmina do Nieświęża z jedną jechać w delegacyi zobowiązali. Miałem do tego i swoje interesa jeszcze z racyj Smoleńskich. Drugą prośbę do Szeremetiewa powiósł pan Marcin Bukar. Jenerał Tutolmin przyjął prośbę z ukontentowaniem, bo był osobistym przyjacielem Ilińskiego, mianował go zaraz marszałkiem gubernskim Izasławskim, i na miejsce jego napisał do

pana Szeremetiewa polecając mu naznaczyć jednego z obywateli, okręgowym Cudnowskim marszałkiem. Został nim, pan Jan Karwicki generał służby polskiej, dziedzic klucza Karpowieckiego, przez rząd wyznaczony.

Łatwo sobie wystawić, że przy wprowadzeniu nowego porządku tysiące było trudności i nieporozumień, pana Ilińskiego nieustannie oprymowano prośbami, ale tak się dobru publicznemu poświęcił, że wszelkim żądaniom obywateli z największym ich zadowoleniem umiał zadość uczynić, co mu zjednało powszechny szacunek i usłało drogę do rzeczywistego marszałkowstwa gubernskiego, gdy gubernia ustanowiona została. Chociaż z bardzo możnych i znakomitych familii wielu było pretendentów, szlachta jednomyślnie za Ilińskim głosowała. To było początkiem późniejszego jego tak wielkiego wzniesienia się, do którego dójść potrafił.

X

Feld-Marszałek hrabia Rumiańców.

WCZASIE mojej w kraju niebytności zdarzył się tu przykry wypadek, którego szérzój opisywać nie chcę, nadmienając tylko, że w Krasnopolu u Giżyckich się to stało, a sprawcą był pan Bartłomiej, którego żywość charakteru do szparkiego postąpienia z osobą stanu duchownego nakłoniła... Sprawa ta rozmazana, ciężka, przykra groziła mu wielką odpowiedzialnością: jako też już był sądzony. Ciągnęło się to z półtora roku, gdym ja powróciwszy z zagranicy został to złe w jak najgorszym stanie. Cała rodzina Giżyckich znajdowała się w Mołoczkach, kiedy tam

przybyłem, i wszystkich przez pana Bartłomieja zastałem zbiedzonych, nie będących w stanie obmyślenia środków ratunku. Wśród gawędy o tém przez trzy dni się ciągnącej i narad różnych przyszło na pamięć moje ze Smoleńska za wstawieniem się jenerała feld-marszałka Rumiańcowa u wolnienie.

Hrabia Rumiańców, który długo stał w Polsce, z wielą tu obywatelami miał stosunki i znajomość; matka panów Giżyckich pani chorążyna Kijowska, oraz stryj kasztelanie zapewniali, że hrabia dawniej dla nich i ojca, szczególnie dla młodych Giżyckich wiele okazywał życzliwości.

Powstał ztąd projekt jechania do hrabiego Rumiańcowa, i Antoni wziął na siebie ten obowiązek, ale prosił ażebym ja z nim jechał. Miałem dwie powinności, podziękować za siebie i nieodstąpić przyjaciela, jakoż nie namyślając się tegoż dnia siadłem z nim do powozu.

Hrabia Rumiańców mieszkał natenczas w Taszanach w dobrach swoich w Mało-Rossyi, o dwaście lub czternaście mil od Kijowa. Pasportów w kraju niepotrzeba wówczas było, bo się o nie nikt nie pytał; piątego dnia przyjechalśmy

do Taszan, a w godzinę byliśmy w gabinecie hrabiego. Jak tylko mu doniesiono, że jest oczekujących dwóch polaków, kazał nas zaraz wezwać; jam sobie w głowie weześnie ułożył czułe podziękowanie za protekcją.

Gizycki zaprezentował się jako syn dawnego znajomego, mając order na sukni, ubrany po formie, uściskał go hrabia bardzo przyjaźnie, i mnie się toż dostało. Że było trzech jenerałów w gabinecie, którzy to widzieli, zrobiło to między nimi wrażenie. Bardzo grzecznie odpowiedział nam, że ocenia przybycie nasze dla odwiedzenia go, i cieszy się, że będzie miał zręczność mówić z nami językiem, który lubi, którego nie zapomniał równie jak kraju, gdzie przyjemnie czas przepędził. Zadzwonił zaraz, rozkazał przywołać dworeckiego i dać nam kwatere w pałacu, co dalszą rokowało pomyślność, a humor nasz stał się jakoś weselszy. Rozpytywał potem o wiele polskich familij, godzin pewnie ze dwie byliśmy w gabinecie, nakoniec zaprowadzono nas do mieszkania bardzo paradnego, gdzie już zastaliśmy ludzi naszych rozpakowanych.

Gdy hrabia miał wychodzić na pokoje dano nam

znać, przyszliśmy i my, obu nam podał rękę i obróciwszy się do przytomnych generałów rzekł, że to są polacy, synowie dobrych jego przyjaciół.

Do partyi z nim obu nam dano karty, trzy robry etykietalnie przegraliśmy po rublu assygnacyjnym. Na wieczery hrabia się nie znajdował. Między generałami byli: Biszow, Czczeryn, Bezborodko, Saburów i ksiązę Daszków. Ci oba byli mi dobrze znajomi, a między oficerami rang niższych z tych co byli w naszych prowincyach, znalazło się dosyć znajomych także.

Powróciwszy do siebie myśleliśmy jeszcze jak rozpocząć Giżyckiego interes, gdy sam z siebie poszedł jakoś bardzo łatwo. Nazajutrz przy raporcie salon był pełen, hrabia wyszedł o dziesiątj z rana, bardzo grzecznie nas przywitał, minut kilka mówił z nami, potem przyjmował raporta, oglądał obluz warty, wreszcie otwarto drzwi do salonu, gdzie ogromne śniadanie zastawiliśmy. Hrabia zapraszając obrócił się do nas, potem do swojej świty, poszliśmy zaraz za nim. Gdy się śniadanie kończyło, rzekł do nas:

— Proszę do mnie do gabinetu!

Poszliśmy za nim znowu.

Gdyśmy tam stanęli, obróciwszy się do mnie zagadnął.

— A co waćpan po polsku wysiedziałeś więzę, *in fundo*.

— Protekeya hrabiego wybawiła mnie z niéj, odpowiedziałem.

— I od czegoś gorszego może, dodał.

Tu, wpadłem w zapał dziękczynny, i do łzów się rozczuliwszy począłem oświadczać wyrazy wdzięczności, jakie mi serce dyktowało, hrabia dawał łagodnie napomnienia.

— Jeśli chcecie, rzekł, pozyskać łaskę N. Pani Cesarzowej JMci, a utrzymywać się przy nadanych wam prawach, siedźcież spokojni, nie szalejcie.

Długo rozprawiał w téj materyi, nakoniec dodał:

— Miło mi jest, że dałem polakowi dowód mojej życzliwości dla całego narodu, w szczególności przez pamięć na stosunki z ojcem waćpana.

Tu była chwila w której należało interes Giżyckiego rozwinąć: zaczął też sam pan Giżycki,

ale fakta obwijał w bawełnę, skutki ich tylko dotkliwie i z energią opisując.

Hrabia to kiwał głową, to powtarzał.

— Nie dobrze! bardzo źle!

Nakoniec rzekł te słowa:

— Nie jako do wielkiej monarchini, ale jako najłaskawszej naszej matki napiszę, a napiszę gorąco, ale chcę wiedzieć szczegółowie całą rzecz, ze wszystkimi najdrobniejszymi tyczącemi się jej okolicznościami. Proszę przeto, rzekł obrażając się do mnie, szczerze mi opowiedzieć interes, bo z tego co Giżycki mówi, jeszcze nie widzę potrzeby mojej instancyi, tylko przedstawienie ucisku przechodzącego winę. Przeczuję, że to być musiało inaczéj, a fałszywego przedstawienia robić nie mogę, bo by ono tylko Giżyckiemu zaszkodziło, dla tego potrzebuję wiedzieć prawdę całą, a z niej wyciągnę wniosek czy mam prosić o przebaczenie, czy o sprawiedliwość.

Giżycki stał jak wryty, jam podchwycił:

— O przebaczenie prosić trzeba, panie hrabio!

— Mówże mi waćpan całą rzecz jak było, ale samą prawdę nie nie tając.

Nie było sposobu, wszystko com tylko wiedział, co odkryły śledztwa, jak najwierniej opowiedziałem, hrabia krzywił się, tupał nogą, powtarzał— szaleństwo, rozpusta, nareszcie podchwycił.

—Taki był i ojciec jego pan Kajetan, i stryj Tadeusz, których znałem bardzo dobrze.

— Ha, dodał, spodziewam się, że pani moja nie odmówi mi tego o co ją prosić będę, wyszlę jutro kuryera, a wam rad będę do jego powrotu, i proszę zostać.

Dwanaście dni byliśmy tak wśród nadziei i trwogi kołysani naprzemiany; widzieliśmy, że kuryer wyjechał, ale z czém miał powrócić? Tu choć słaby dam rys życia w Taszanach.

Hrabia Rumiańców ubielony już wiekiem, był człowiekiem najmilszej fizygnomii, prawie zawsze uśmiechniętj i pełnej słodyczy, a tak każdego umiał ku sobie natchnąć miłością i szacunkiem przez swą powagę i obejście się, że go z otaczających wszyscy kochali i szanowali, ja przynajmniej uczucia te dla niego w krótkim czasie przejąłem.

Pałac miał ogromny z kilką oficynami umebło-

wany bogato i gustownie, kuchnię wyborną w sposobie rosyjsko-francuzkim. Obiady zwykle naj-
mniej na sześćdziesiąt osób podawane bywały,
kolacye stojące, win dosyć i bardzo dobre.

Na ogromnym dziedzińcu rota z chorągwiemi zaciągała na wartę, gdzie i kilkanaście dział stało. O dziesiątej godzinie cała świta feld-marszałkowska, której pewnie było ze sześćdziesiąt osób, z temi co przychodzili z raportami i przy obluzie warty, zostawali na śniadaniu. Po niém hrabia odchodził do swojego gabinetu, do którego schodzili się sekretarze. Tymczasem na pokojach grano w karty, do czego ja ciągle należałem, ale choć bez zysku przynajmniej bez straty. O drugiej podawano obiad. Po prawej stronie feld-marszałka siadał generał-lejtnant Biszow, dalej Bezborodko, książę Daszków, ja, z lewej strony Giżycki, jako kawaler orderu wyższego stopnia, po nim generałowie sami, pułkownicy, adjutanci, ordynanse i t. d.

Nigdy w tém żadnej zmiany nie było; po obiedzie hrabia szedł zasnąć na parę godzin, o piątej jechano na przechadzkę, zachodziły powozy, czyli dwie ogromne linie sześciokonne, na któ-

rych się po kilkanaście osób mieściło. My zawsze jechaliśmy w tój co hrabia, ale ja często też na koniu towarzyszyłem, bo ich kilkanaście zawsze wyprowadzano osiodłanych.

Powróciwszy poczynął się wist etykietalny, herbata, dalej wiecezra. Ten tryb życia niezmienny, ani razu przy nas nie został nadwerżony. Przy pałacu był wspaniały ogród, w którym hrabia często o godzinie piątej zrana się przechadzał, i tam pierwsze śniadanie raune jadał. My oddawaliśmy i odbierali wizyty, bawili się i patrzali. Niepodobna opisać z jaką dla nas uprzejmością i grzecznością była świta. Codziennie musieliśmy być w trzewikach i pończochach, ja tylko do konia brałem buty, ale powróciwszy z przechadzki zaraz je zmieniałem.

Hrabia nigdy ani słówkiem nie odezwał się o interesie Giżyckiego, jakby o nim nie wiedział, lub wiedzieć nie chciał, mnie tylko często lubił drażnić u stołu, naprzykład pytaniami, co jadałem w Smoleńsku? w jakim bywałem tam towarzystwie, lub tym podobnemi żarcikami. Czasem powtarzał jaką anegdotkę z czasów pobytu swego w Polsce, nie wymieniając przecie osób

przez delikatność. Tak nam jednostajnie i dość miło dnie schodziły, gdy dwónastego dnia zrana, po powrocie z ogrodu dowiedzieliśmy się, że kuryer z Petersburga powrócił. Nie wypadało nam dopytywać po kancelaryach jaka tam nadeszła rezolucya, bo może i kancelarye nie wiedziały ale niepokój nasz był nie do opisania. Byliśmy na pokojach, nie wzywano nas do gabinetu, codziennie przy obluzie warty hrabia się znajdował, tymczasem dziś nie był przytomny, a wiedzieć nie mogliśmy dla czego.

O piérwszej otworzyły się podwoje, hrabia wyszedł w paradnym mundurze feld-marszałkowskim, okryty orderami, za nim sekretarz i pułkownik. Wszystko schyliło głowy, wtém obrócił się do Giżyckiego:

— Odebrałem, rzekł, odpowiedź od Najj. Monarchini wraz z ukazem w interesie waćpana, — i skinął na sekretarza trzymającego papiery, rozkazując czytać.

Ten począł reskrypt, który się poczynał od wyrazów:

— Ojcu ojczyzny odmówić nie można (отцу отечества, нельзя отговорить); daléj w przyłą-

czonym rozkazie zawarte było przebaczenie zupełne, i polecenie aby nie wchodząc w dalszy rozbiór dzieła Giżyckich, Bartłomieja szczególnie uwolnić od wszelkiej odpowiedzialności, dobrze oddać i sprawę wiecznej niepamięci przekazać, a przyczynę pierwszą tego niepokoju surowo ukarać i t. d.

Ten szczęśliwy obrót rzeczy do łez nas obu rozrzewnił i napełnił wdzięcznością, co widząc hrabia rzekł:

— Bądźcie tylko przychylnymi dla wielkiej naszej monarchini, a ona was ukocha jak dzieci.

Otworzono podwoje do sali jadalnej, w której stół był przybrany starannie i przyozdobiony jak na uroczystość, obsiedliśmy go pewnie w sto osób najmniej. U stołu wzniesiono toast za zdrowie N. Pani, i działa się przy tém odezwały. Po obiedzie spał hrabia, a Giżycki przyjmował powinszowania, potem przechadzka, wist etykietałny, i schwyciliśmy porę nadmienić hrabiemu zarazem o wdzięczności naszej i żądaniu wyjazdu nazajutrz.

— Nie, rzekł, zabawicie tu jeszcze dni dwie — jutro wyszlę kuryera do Nieświęża do je-

nerała namiestnika Tutolmina i do pana Szere-
metiewa, poszlę im kopią reskryptu i ukazu, aże-
by zaprzestano wszelkich dalszych czynności.
Pisz panie Giżycki przez tę zręczność do matki i
familii, a sami zostańcie jeszcze; chcę wziąć od
was jeszcze kilka lekyj waszego języka i życzę
sobie żebyście byli przytomni uroczystemu nasze-
mu narodowemu i prowincyalnemu obchodowi ro-
cznicy zwycięztwa pod Połtawą, który dwódzie-
stego siódmego czerwca wypada.

Zostaliśmy na rozkaz, i było nam jak w nie-
bie, pan na nas łaskaw, przeto i otaczający u-
przedzali się z grzecznościami, tryb życia i zwy-
czajów w niczém się nie zmieniał.

Na trzy dni przed obchodem rocznicy przysły
dwa regimenta piesze, i dwa konne, park artyl-
leryi i wszystko to obozem stanęło pod Taszana-
mi na obszérnej równinie, nad rzeczką zdaje mi
się Taszanką. Nazajutrz feld-marszałek lustro-
wał to wojsko i my przy nim byliśmy, robiono
ewolucye różne i trwało to od czwartéj do jedę-
nastéj zrana, kilkudziesięciu oficerów z jenera-
łami byli na obiedzie dnia tego. W sam dzień
uroczystości weszło to wojsko do Taszan i mię-

dzy pałacem, a cerkwią piechota i kawalerya wy-
ciągnęła się linią. W cerkwi pięknej i obszerniej
w czasie liturgii doborni śpiewali piewcy kościel-
ni, a gdy rozpoczęto Te Deum działa sto i jeden
razy ognia dały. Przy processyi cała piechota
otaczająca cerkiew ciągnionym ogniem plutono-
wym grzmiała. Celebrował przybyły z Kijowa
archierej, który z processyą nazad do cerkwi po-
wrócił, a piechota i kawalerya pomaszerowały
przed pałac i ustawiły w dwa szeregi, między
którymi feld-marszałek ze swoją świtą przecho-
dził. Wojsko salutowało go, muzyki regimen-
tów grały. Mnóstwo pań, żon obywateli, które
się na ten akt zjechały, zostały na bal wieczor-
ny zaproszone. W pałacu przygotowano illumi-
nacyą i fejerwerk, a obiad uroczysty odbył się
pod kilką połączonemi z sobą namiotami, w któ-
rych przynajmniej osób dwieście siedziało. Był
tu dobrze mi znajomy brygadyer Saburów, który
stał dawniej w Cudnowie, już teraz podniesiony
do rangi generała, i korpusny generał Chruszczow.
O mroku zaczęły się zjeżdżać damy, po większej
części ni z pierza ni z mięsa. Między niemi by-
ły bardzo piękne, ale zaraz znać było brak wy-

chowania, manieri i stroje najosobliwsze. Dziecię może przyzwoicie się jakoś ubrało, i umiało znaleźć, reszta, panie odpuść, koczkodany. Zapalona illuminacya była prawdziwie monarchieczną: ogród cały gorzał od niej, w nim pełno było świątyń i godeł, Świątynia Sławy, Zwycięstwa, Pokoju i t. p.

Gdy się tańce poczęły, dokazywałem, bom miał lat dwadzieścia osiem i krew gorącą. Około pierwszej kompania wyszła do ogrodu, i zasiadła znowu około końca niemającego stołu zbytkownie zastawionego z ogromnym przepychem. Hrabia i może czwarta część mężczyzn nie siedli do stołu, wskazywał tylko piękności, do których mnie z komplementami posyłał: musiałem prawić grzeczności jak umiałem.

Gdy się wieczerza kończyła, zapalono śliczny i wspaniały fejerwerk, aż i dzień zaczął się robić. Nazajutrz zwyczajne tylko były pokoje, i do pierwszego trybu życia wróciliśmy. Drugiego dnia po ewolucyach wojska się rozeszły, i my też do wyjazdu się zabierali. Giżycki poszedł do sekretarza pułkownika Malców po ekspedycyą, ja

tymczasem ułatwiałem się ze służbą, bo sama grzeczność wymagała, żeby jej starania i gościnność o ile możności zawdzięczyć. Dalśmy więc na stajnie, na służbę i *honeste* pożegnaliśmy dwór feld-marszałka.

Z czułą wdzięcznością i żalem przyszliśmy na rozstaniu pożegnać hrabiego, który ściskając nas powiedział:

— Kocham Polaków, ale więcej waszych figłów nie róbcie, bo nie będę wam już pomagał.

Powtarzam, był to już wiekiem pochylony mąż, bardzo pięknej i extra miłej fizyognomii, która w obcowaniu poufałem nabięrała ożywienia i charakteru wzbudzającego ufność i poszanowanie bez granic.

Zgoła wedle Terencyusza i Cyncerona, była to prawdziwa *Facies liberalis*.

Ułożyliśmy się z panem Giżyckim, że on prosto pojedzie z Kijowa do Krasnopola, a ja na Żytomiérz. Hrabia kazał mi wydać podorożnę i dał list do generała Szeremetiewa. Wyjechaliśmy więc z Taszan, a ja stanąłem w Żytomiérzu, gdzie się dla interesu Giżyckich wstrzy-

mać musiał; bo nowe zaszły historye z czasowym administratorem majątku, które godzić i łątać było potrzeba. Ale się to jakoś skończyło i z niemi cała sprawa przykra, długa, która niepokojem i ambarasem nabawiła całą rodzinę.



XI.

Wołyń w roku 1797.

W roku 1793, po drugim podziale, jak się wyżej mówiło generał en chef Kreczetników mianowany został przez Cesarzową Katarzynę II namiestnikiem tych prowincyj, i zrobił ich podział następujący. Izasławskie namiestnictwo, którego metropolis naznaczona była w Zasławiu, Podolskie ze stolicą Kamieńcem, Braclawskie w Winnicy. Po śmierci generała Kreczetnikowa w roku 1795, nastąpił książę Dolhoruki, który bardzo jakoś wkrótce umarł w Międzybożu. Miejsce jego zastąpił Tymofiej Iwanowicz Tutolmin, a zamiast Zasławia, Żytomierz naznaczony był

stolicą, kontrakty zaś z Dubna przeniesiono tymczasem do Zasławia.

Żytomiérz usposabiając na stolicę namiestnictwa, zbudowano tu dworzec ogromnych rozmiarów, drewniany, dwópiętrowy, w tém miejscu, gdzie dziś nad brzegiem stoi dom Piotrowskich. Wyżej ku wałom, kładziono dęby łokciowe w ściany i mocowano je tejbłami żelaznymi i szworniami. Dwóchset sprowadzonych z Rossyi cieśłów (płatników) cały rok około téj budowy robili. Trzy sale były w niéj ogromne, jedna z nich trzydzieści sążni wzdłuż mająca, przez dwa piątra, w pośrodku domu urządzona, bardzo znacznie wznosiła się nad ściany korpusu tego gmachu. Miała obszerną galeryę dla muzyki; oprócz niéj sześćdziesiąt różnej wielkości pokojów, budowa ta mieściła. Sprowadzone zostały meble różne, zwierciadła, pajaki, ozdoby, srebro, co, jak mówiono, do trzechkroć stotysięcy rubli skarb miało kosztować. Z trzech kamienic po Lewandowskim prezydencie miasta, który w Smoleńsku umarł, przerobionych, utworzono domy na juryzdykcyę potrzebne. Gmach pojezuicki, gdzie dziś jest więzienie (ostrog), a dawniej były szkoły, prze-

formowano w części na namiestniczy rząd (dziś Rząd Gubernialny), inne części jego dla Izby Skarbowej, Kryminalnej, Cywilnej, Wyższego Sądu Ziemskiego i t. p.

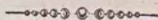
Dzień dwódziesiąty lipca 1797 roku był naznaczony na inauguracyą Namiestnictwa, a razem na wybory urzędników wedle nowego porządku. Zjechali się panowie, obywatelstwo i szlachta, co tylko ich było w prowincyi, z żonami i córkami. W sam ten dzień, wszysej znaczniejsi, gubernator, vice-gubernator, urzędnicy koronni, wyjechali do Staniszówki naprzeciw namiestnika Tutolmina; z obywatelskich synów, z każdego powiatu po jednym, wybrani zostali piętnastu młodzieży niby honorowych adjutantów, którzy jechali na pięknych koniach, w obywatelskich mundurach namiestnictwa. Mieli na sobie brązowe fraki, spodnie białe, kamizelkę takąż, kołnierze paljowe, podobne szerokie rabaty i łapki z haftem srebrnym na kołnierzu, rabatach, łapkach i około kieszeń. Oprócz tego, jako adjutanci mieli epolety z buljonami i akselbanty srebrne. Gdy przez przewóz na Staniszówece przeprawił się Tutolmin, adjutanci otoczyli jego ka-

retę posuwającą się ku miastu, po polsku zaprzęzoną pięknym cugiem koni gniadych. Pan Szeremetiew miał także ładny polski ekwipaż, z ciemno-wilczatemi końmi. Więcój sta powozów za temi dwóma. Zaczawszy od rogatek aż do dworca, we dwie linie wyciągniona była piechota, która nieustannym plutonowym ogniem sypała, w dodatku odzywały się działa na wałach starego zameczyska, i sto jeden raz dla reprezentanta Panującego dały ognia.

Do tysiąca osób obywateli oczekiwali w dworcu, trzy do czterechset jeszcze przybyło z panem Tutolminem; wszystko to się pomieściło i nie było nawet ciasno.

Ja wprzód byłem już znany generałowi Tutolminowi, gdyż widziałem go w Nieświeżu, później w Romanowie, gdzie cztery dni bawił u hrabiego senatora Ilińskiego. Było to w czasie ślubu panny Ludwiki Ilińskiej, starościanki żytomiérskiej i siostry dzisiejszego senatora, która wychodziła za pana Bartłomieja Giżyckiego. Codziennie grywali na teatrze w Romanowie amatorowie, do których ja, Euzebi Siemianowski brat mojej żony, Maryan mój brat, pani Ilińska, i pani Bartłomie-

jowa Giżycka należeliśmy wraz z innemi. W świecie generała Tutolmina był młody natenczas człowiek, honorowy adjutant z Mińskiej gubernii, Michał Andrzejkowiec, który z nami zrobił znajomość, a później był gubernatorem wołyńskim, jak o tém niżej.



XII.

Ustanowienie Namiestnictwa Izasławskiego.

NAZAJUTRZ po tym uroczystym wjeździe, ogłoszona była inauguracya z całym ku niej porządkiem przepisany w weześnie. Było dwóch guberni-
 skich mistrzów obrzędów, z laskami takimi jak u nas mieli marszałkowie wielcy, trzydziestu powiatowych mistrzów z podobnemi insygniami, i do tych należało utrzymanie jak najściślej-
 szego porządku.

Naprzód ruszono do cerkwi na nabożeństwo: najmłodszy powiat z poprzedzającemi go mistrzami obrzędów rozpoczynał pochód, za niemi parami szli wraz z obywatelami urzędnicy od ko-

rony, dalej postępował vice-gubernator ze swemi zasiadającymi, gubernator, sowiecnicy Rządu, na ostatek generał Tutolmin w paradnym mundurze, okryty wszystkimi swemi orderami. Cała ta parada szła między dwoma szeregami ustawionego wojska, które dawało ognia z ręcznej broni i z dział. Z cerkwi szliśmy do kościoła, a ztamtąd do dworca. Zabrało to kilka godzin czasu, zastaliśmy wróciwszy zastawione po salonach wyborne śniadanie, do którego zasiadło najmniej półtora tysiąca osób z numerami odpowiednimi krzesłom. Nimeśmy się ztąd rozeszli rozdano znowu bilety na jutrzejszy obiad także numerowane i na bal dla całej gubernii.

Z trudnością wystawić sobie żeby przeszło dwa tysiące osób, mogło się pomieścić wygodnie; przecież tak było, że każdy miał miejsce i najmniejszego zamięszania nie doznaliśmy. Sala tańców mieściła w sobie z obu stron trzy rzędy krzeseł, po sto sześćdziesiąt w każdym rzędzie. Nad głównym miejscem stał portret Cesarzowej Katarzyny II, w bardzo szerokich, insygniami otoczonych ramach, pod nim na trzech wschodach krzesło wyłacane, karmazynowym aksamitem, z galona-

mi obite, z poręczami, nakształt tronu, którego nikt nie zajmował. Krzesła w trzy rzędy ustawione pod ścianami, tak były rozporządzone, że wygodnie pomiędzy niemi przechadzać się było można. Około stu par stawały do angleza, który zawsze sam namiestnik otwierał, po dwanaście kół rozpoczynały mazura lub kadryla. Na galeryi w wielkiej sali, ze dwóchset muzyków i śpiewaków wybornych umieszczono. W drugich dwóch mniejszych salonach podawano wieczerzę, a cztery ogromne, wspaniałe i przybrane wytwornie pokoje z dwóma gabinetami dla grających w karty służyły. Grano nie tylko w gry komercyjne, ale i w faraona, a na kilku stołach ogromne kupy złota leżały. Mnóstwo pań i panien z rodzicami przybyło do Żytomiérza; to wszystko na balach znajdowało się, a co w mieście ulokować się nie mogło, zajmowało mieszkania w Kroszněj, Staniszówee, Sokołowėj-Górze. Przypominam sobie, że książę Czartoryjski, stolnik litewski, i Sanguszko wojewoda wołyński, zajmowali dom w Kroszněj.

Na drugi dzień pojechaliśmy na obiad razem, tak jak staliśmy w dworku moim, to jest Antoni

i Bartłomiej Giżycey, Marcin Bukar i ja. Mieliśmy numera kolejne wszystkie jeden przy drugim, aleśmy ich ledwie mogli na krzesłach odszukać.

Przeszło trzysta osób zasiadło do stołu, z powiatów zaproszono tych tylko, którzy mieli urząd lub rangi polskie, i po dwa powiaty na każdy obiad wzywano z kolei. Stół był wyborny, zastawiony srebrami cesarskimi, wina doskonałe, usługa i liczna i bardzo dobra. Tym trybem ciągnęło się przyjęcie przez dni osiem, codzień był dla innych powiatów dwóch obiad, codzień śniadanie dla całej gubernii i bal także. Dziewiątego dnia według programu obwieszczono nam, byśmy o godzinie dziesiątej byli w dworcu. Zjechawszy się zastaliśmy krzesła przez całą salę, z numerami poustawiane dla powiatów, najmniej tysiąc dwieście wszystkich. Dla generała Tutolmina przy tronie i portrecie Cesarzowej krzesło osobne, po salach i pokojach znowu zastawione śniadanie obfite i doskonałe. Po śniadaniu weszliśmy wszyscy do wielkiej sali, zabrał miejsce namiestnik, z nas każdy szukał swojego numeru, czego z wielką pilnością strzegli mistrze obrzędów, potem Antoni Bohdanowicz czytał urzędze-

nie dla Namiestnictwa, po polsku przetłómaczone. Było to przygotowanie do wyborów, które się zaraz nazajutrz rozpoczęły po powiatach, w gmachu na ten cel wystawionym, którego dziś śladu nie ma. Zaczynał się wybór od sądów niższych. Byliśmy wszyscy dosyć ślepi co do znaczenia urzędników, których wybierać mieliśmy; Giżyccy i inni przyjaciele moi chcieli żebym był kapitanem-sprawnikiem, czego ja nie odmówiłem. Pretendentami do téj funkeyi byli Buszezyński, Krajewski, i major Perekładowski. Buszezyński się później cofnął, a z tamtymi dwóma kréskowaliśmy się i ja się utrzymałem. Obierano potem marszałków powiatowych, i żytomiérskim został wybrany Iliński późniejszy senator, który przy drugim powszechnym wyborze na gubernskiego marszałka postąpił; Bierzyński zaś w jego miejscu zajął powiatowe marszałkostwo. Wszędzie po powiatach obierano ludzi dostojnych; w Cudnowskim okręgu został książę Mateusz Radziwiłł, sędzią okręgowym Aleksander Piotrowski, Antoni Woronowicz i major Przekładowski zasiadającymi. Ja kapitanem-sprawnikiem, Omieciński dziedzic Motrunek, Szaszkiewicz dziedzic Szczer-

bin, Trypolski dziedzie części Wołosowa zasiadającymi w Żytomiérskim. Ludwik Trypolski kapitanem-sprawnikiem (bardzo zacny człowiek) zasiadającymi też ludzie majątni, osiedli. We wszystkich powiatach do niższych sądów ziemskich wybrano ucziwych osiedlonych obywateli, naprzykład w Nowogrodzie-Wołyńskim (Zwiablu) Omiecińskiego Antoniego później marszałka, w Rowieńskim Wacława Borejkę, później marszałka także, w Łuckim Czarnołożkiego tak samo, we Włodzimierskim Radziwińskiego kawalera orderu Ś. Stanisława. Tacy byli sprawnicy pierwsi. Na tym zjeździe z początku zaraz, wedle dawnego naszego obyczaju, ułożono się o przyjacielskie mundury dla namiestnika Tutolmina; frak granatowy z kołnierzem seledynowym i łapkami haftowanymi srebrem, guziki, spodnie i kamizelki białe. W tych mundurach, kto był już panu Tutolminowi przedstawiony, bywaliśmy na obiadach i balach, ale nie inaczej zawsze jak w trzewikach.

Gdy się skończyły wybory okręgowe, wotowano na urzędników gubernialnych w owój wielkiej sali w dworcu; zastaliśmy na nowo krzesła po-

ustawiane tak jak były do czytania prawideł, ale cała massa wyborców zaczęła naprzód od śniadania, w drugich salach i pokojach rozłożonego. Po skończonój przekasce weszliśmy do téj ogromnój sali, a mistrzowie obrzędów w każdym powiecie doziérali porządku, generał Tutolmin przytomny zajął krzesło swoje. Kandydat na którego wotowano, stawał w pośrodku sali przed generałem Tutolminem, skrzynki zaś do wotowania roznoszono po krzesłach. Trwało to trzy dni całe; wybrano gubernskim marszałkiem hrabiego Augusta Ilińskiego, szambelana dworu, prezesów do izby kryminalnój, hrabiego Platera z Dąbrowicy, do cywilnój Pawła Bejzyma, sędziego Krzemienieckiego, do głównego ziemskiego sądu, Józefa Morzkowskiego. Deputatami zostali Stanisław Czajkowski, Tadeusz Teleżyński, Stefan Grudziński, mecenasowie z Lublina, Stanisław Umiński, zgoła wszystko ludzie prawo znający, zaeni, dobrze osiedli, niezależni, którym miło oddać tę sprawiedliwość w pół kończącego się wieku, że pięknie przyjęty spełnili obowiązek. Równie po sądach okręgowych, dziś zwanych powiatowemi, wybrani byli ludzie zaeni i zamożni. Dla

potwierdzenia wszyscyśmy byli zarazem zgromadzeni do dworca i prezentowani przez marszałków; na drugi dzień z taką samą paradą jak przy zaczęciu otwarcia gubernij poprowadzono nas do kościoła dla przysięgi i Te Deum, przy którym działa sto jeden raz ognia dały. W wigilią dnia tego, wszyscy urzędnicy dostali bilety z numerami na obiad do dworca, znów mistrze obrzędów sadzali nas, a bal ogromny zakończył te ceremonije.

Zaraz nazajutrz wszyscy kapitanowie sprawniicy odebrali od namiestnika ordynanse, przywdziać takie mundury jakie mieli adjutanci, to jest szlify z buljonami i akcelbanty srebrne, i mundury te nosiliśmy do śmierci Katarzyny Cesarzowój, także rozkaz wyjeżdżania do okręgów swoich i czekania na otwarcie ich.

Na tych samych wyborach za pozwoleniem Cesarzowój byli wybrani delegaci do tronu, a na czele ich jako marszałek gubernialny hrabia Iliński, który z niemi wyjechał. Pan Bierzyński zastępował jego miejsce, do czasu, jako się to niżej powie. Na otwarcie powiatu Cudnowskiego

zjechał gubernator Szeremetjew z powiatowemi mistrzami obrzędów, i odbyło się to wszystko jak w Żytomierzu przy otwarciu gubernii, ale na daleko mniejszą skalę. Wojsko i tu assystowało z artylleryą, przez dni pięć trwania uroczystości. Musiałem ja dać jeden obiad dla jenerała Szeremetjewa, obywateli i urzędników. Zamieszkałem zaraz w Cudnowie i moja żona ze mną aż do czasu skassowania tego powiatu, to jest do 25 kwietnia 1798 roku.

Mówiono, że na otwarcie gubernii, przeznaczono ze skarbu Cesarzkiego, dwakroć pięćdziesiąt tysięcy rubli assygnacyjnych, coby nie było wiele podług mnie, zważając koszta jakie to pociągnęło za sobą. Oprócz zbytkownego codziennie traktamentu we dworcu, w sam dzień inauguracyi na wielkim placu przed nim, wystawionych było kilkadziesiąt kadzi napełnionych wódką, miodem i piwem dla pospólstwa. W pośrodku leżał całkowity wół pieczony ze złoconemi rogami, od którego łeb cały odciawszy, Piliponi ponieśli go namiestnikowi i dostali sto rubli assygnacyjnych. Oprócz tego było kilkanaście wieprzów całkowitych pieczonych i kilkaset może sztuk

różnego piezonego drobiu ułożonego w piramidy, a kilka stért bułek, piérogów piezonych, chle-bów i t. p. Za danym przez trąby znakiem na rozpoczęcie traktamentu, wszyscyśmy wyszli na dwór z namiestnikiem nawet przypatrywać się temu ciekawemu widokowi, ale jaki powstał rwe-tes i co za grabież, tego opisać niepodobna.



XIII.

Wstąpienie na tron Cesarza Pawła Igo.

POWIEDZIAŁO SIĘ wyżej, że hrabia Iliński jako marszałek gubernski i delegowany do tronu, pojechał do Petersburga, a z nim brat mojej żony Euzebi Siemianowski; lecz Iliński nie powrócił już na swoje miejsce. Był on od Cesarzowej Katarzyny II dobrze przyjmowany, i miał nieraz honor znajdować się na prywatnych w Ermitażu wieczorach, później począwszy się starać o indemnizacyą za szefostwo pułku swego imienia, nie wiem z jakiego powodu, uczuł zmianę. Następnie zbliżył się do następcy tronu, późniejszego Cesarza Pawa Igo prywatnie mieszkającego w Gat-

czynnie i przy nim sprawiał służbę szambelana, któremu się całkowicie poświęcił i potrafił sobie zjednać jego łaskę.

Po śmierci Cesarzowej Katarzyny II, gdy Paweł Iszy przybył do Petersburga dla objęcia władzy, przyjmowania homagium i przysięgi, Iliński był przy nim nieodstępnie. Spytany o coby prosił i czegoby żądał za dowody swego poświęcenia Cesarzowi okazane, nie nie pragnął tylko uwolnienia więźniów, współrodaków swoich. Ta szlachetność i bezinteresowność podobała się Cesarzowi, i ręką swoją włożył nań ozdoby orderu Ś. Alexandra Newskiego. Wiadomo, że później sam pojechał do więzienia generała Kościuszki, ze swych rąk pałasz mu oddał i wszystkich jego współziomków uwięzionych lub zesłanych z powodów politycznych, jako też jeńców wojennych, uwolnił.

Dobra nawet niektórym zwrócono, jako Czackiemu, któremu oddano klucz Brusilowski, a że ten już był darowany przez Cesarzową Katarzynę II generałowi Tutolminowi, w zamian mu ofiarowano Raszowiecki klucz na Podolu, do pięciu tysięcy dusz naówczas obejmujący;— także córce

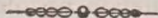
starosty Bohusza, który powracając był na koronacyi Cesarza Pawła Igo w Moskwie dokąd zjechała i żona jego z domu Pruszyńska kasztelan-ka żytomiérska, osoba bardzo piękna i dobrze wychowana. Ta podała z początku prośbę do Cesarza, na którą nie było rychło odpowiedzi, i zmarła, a dopiero córce klucz Uszomierski zwrócony został.

Uwolnieni byli w Petersburgu Ignacy i Stanisław Potoccy, Niemcewicz i wielu innych, tylko Ignacy, na którego silniejsze jakieś padały podejrzenia, nie mógł być zaraz liberowany bez poręki. Żądano aby kto ją dał za niego, czego, smutno powiedzieć nikt z familii nawet własnej dać się nie ośmielił, dopiero Iliński, gdy się o tém dowiedział, bez wahania najmniejszego, pierwszy ten akt podpisał ręcząc honorem, życiem i majątkiem. Czyn ten jeszcze go piękniej postawił w oczach Cesarza Pawła Igo i podniósł znaczenie jego niezmiernie, a Potocki został uwolniony.

Energiczne środki przedsięwziął nowy panujący dla wewnętrznego urządzenia państwa: spalono zaraz kilkaset milionów rubli w assygnatach co ich

kurs tak podniosło w jednym miesiącu, że za sto rubli papierowych, sto srebrnych z małą łażą płacono.

Ja sam dla brata mojego posyłając do Tobolska pięćset rubli płaciłem sto za sto i po złotemu za wymianę. Kurs ten trwał tak do dwóch lat, później nieco spadły, nie niżej jednak osiemdziesięciu srebrnych za sto assygnacyjnych. Dopiero w czasie kampanii Austerlickiej, do dwódziestu pięciu zeszły, a w roku 1812 były przez dwa z górą miesiące po siedemnaście rubli srebrnych, za sto, potem lat dwadzieścia kilka po dwadzieścia pięć za sto.



XIV.

Nowa gubernija Wołyńska.

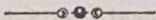
JAK wyżej wspomniałem, po wstąpieniu na tron Cesarza Pawła Igo, wiele rzeczy zmieniło się i nowy wprowadzać zaczęto porządek; ja to tylko powiem o tém co się odnosi do prowincyi od Polski przyłączonych, a szczególniej o Wołyniu. Dawne tedy namiestnictwa nazwano gubernijami, Braclawskie zostało zupełnie skassowane, część jego przyłączono do Kijowskiego, część do gubernii Podolskiej. Zamiast Izasławską nazwano gubernię naszą Wołyńską, a z piętnastu powiatów zrobiono dwanaście, podług dzisiejszych ich granic. Język i prawa zostały jak były przedtém,

i na zasadzie dawnych prawideł sądy ziemskie i trybunały osadzono. Radość jaką to rozbudziło, opisać się nie dozwala, a wdzięczność w sercu wszystkich dla monarchy, najżywszemi oznakami się objawiła; dotąd jeszcze w zgrzybiałych i zastygłych na inne uczucia piersiach moich, trwa ona niewygasła. Powiat, w którym ja byłem kapitanem-sprawnikiem został skassowany, część ta przyłączona do Żytomiérza, a wszystkich urzędników od korony odmieniono. Na miejsce jenerała Tutolmina namiestnika, z tytułem jenerał-gubernatora przysłany był pan Bekleszów, mąż wielkiej zacności charakteru. Mieszkał w Kamieńcu Podolskim, później posunięty został na kancle-rza. Po jenerale Szeremetjewie jeszcze przed Bożém Narodzeniem nastąpił Michał Iwanowicz Mikłaszewski, młody człowiek, niemający ledwie lat trzydzieści, u którego byłem w wielkich łaskach. Trzymał do chrztu w Sidaczówce nieboszczyka Józefata syna mojego, który się po Emilii urodził. Najzacniejszy to był człowiek, bezinteresowny i bardzo na swe lata czynny. Ja, po śmierci Cesarzowej jeszcze przez miesięcy cztery byłem kapitanem-sprawnikiem, a że Ber-

dyczew należał do okręgu mojego, tam pierwszą z panem Mikłaszewskim zrobiłem znajomość.

Wybory w nowo naznaczonych powiatach naznaczone były na 1 dzień maja, ja poszedłem na podsędka, do sądu ziemskiego Żytomińskiego, sędzią był Trypolski, drugim podsędkiem Antoni Woroniecz, pisarzem Jan Baranowski. Śmiało to wyrzec mogę, że sądowi naszemu nikt nie zarzucić by nie umiał, taki był skład jego.

Marszałkiem gubernskim obrany Iliński, Żytomińskim Bierzyński i ci potwierdzeni zostali. Bierzyński zawsze zastępował gubernskiego. Dawnych prezesów, Platę i Beyzyma, uprosić nadal nie było można, wymawiali się wiekiem; wybrano więc do pierwszego departamentu Ignacego Ledóchowskiego, do drugiego Michała Korzeniowskiego, na prezesów. Pierwszy z nich zyskał pamięć i wdzięczność u współziomków, drugi nie tyle był szczęśliwy. Odmieniono nam mundury, dano zielony frak z kołnierzem paljowym i łapkami, bez haftów, białe spodnie i kamizelki, a z kapitanów-sprawników zdjęto szlify i akselbanty.



XV.

Dziejowe wiadomości.

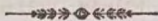
Po wstąpieniu na tron Cesarza Pawła Igo, Stanisław August z Grodna przeniósł się na mieszkanie do Petersburga, gdzie wyznaczono mu pałac marmurowym zwany, później Cesarzewicza W. Ks. Konstantego Pawłowicza; z którego podobno przed śmiercią miał się przeprowadzić do starego pałacu na Wozneseńskim placu przy Sinym Moście.

Poniatowski należał tu ciągle do wszystkich uroczystości dworskich, któremu honory stosowne robiono, ale zawsze nie na równiej z panującym był stopie. Miał swój dwór liczny, świątę i wszędzie wojsko przyjmowało go jako głowę panującą

lub członka rodziny Cesarskiej. Euzebi Siemianowski brat żony mojej był przy nim w jego orszaku. Nie długo jednak żył król tutaj; samo położenie jego przyczynić się musiało do skrócenia mu żywota; pochowany w Petersburgu u księży Dominikanów w kościele Ś. Katarzyny, przy wejściu po prawej stronie.

Hrabia Iliński dostał starostwo Ułanowskie, które wprzód trzymał Jan Aleksander Kraszewski—do czterech tysięcy dusz wynoszące, krzesło senatorskie, a co najwięcej, nieograniczoną łaskę monarchy. Ustanowione zostały przez Cesarza cztery pułki ułańskie, pierwsze w Rossyi w tego rodzaju mundurach i kolorach, których gaza, autorament, musztra, namiestnicy, towarzysze, były na sposób polski urządzone. Zwały się polski ułański pułk, wołyński z białemi gznikami i szlifami, litewski ułański, wileński z temiż kolorami, ale guziki i szlify miał złote, jak dawna kawalerja narodowa litewska. Litewskie pułki stały w Litwie, a wołyński i polski na wołyniu.

Iliński zawsze się liczył marszałkiem gubernialnym, chociaż go ciągle zastępował Bierzyński.



XVI.

Książd Józafat Ochocki, Opat owrucki.

W roku 1798 powrócił stryj mój, z którego notat powyżej dałem wyciągi, z Syberyi z Turyńska. Spotkałem go między Berdyczowem a Kordnią, jadąc do Żytomiérza, a zdziwienie i radość moje były niewypowiedziane. Wróciłem z nim na Berdyczów do Sidaczówki; (było to ostatnich dni marca) i przyjmowaliśmy go u siebie zarazem jako ojca, dobrodzieja, krewnego i wygnańca. Chociaż zapas miał pieniędzy niewielki, poprzywoził pamiątki z gór Ekaterynosławskich, w kamieniach bardzo ładnie szlifowanych znacznej ceny, ubrania jakie tamte narody nosić zwykły,

sobole dla mojej żony i t. d., ale ogień w Hali-
jówce wszystkie te pamiątki zniszczył. Jechał
on już z Owrucza, w którym stawił się z pas-
portem i ukazem powrotu do dawnego stanowi-
ska, ale koadjutor jego ksiądz Strojnowski, do
dóbr ani do intrat z nich dopuścić go nie chciał.
Jeszeze w roku 1790 Strojnowski, natenczas pod-
komorzy bohski, z drugiego obioru poseł wołyń-
ski, z adwokata łuckiego i plenipotenta przez
ożenienie z panią Jałowicką, matką zacnego Mi-
chała Jałowickiego, osobą możną, wzniósł się i
zbogacił. Ten pan podkomorzy dla brata swego
stryjecznego księdza, do czego nawet królewskiej
użył instancyi, koadjutorią opactwa Owruckiego
na stryju moim wymógł.

Nie chciałem na to pozwolić, pan Stempkowski
wojewoda kijowski naówczas żyjący byłby do te-
go nie dopuścił, ale dobroci stryja mojego na-
dużyto, związane go słowem, obiecał i cofnąć
się już nie chciał. Zrobiono wszakże komplana-
cyą, że do żywota stryja mojego lub postąpienia
na inne miejsce, do intraty i zarządu dobrami
żadnego prawa mieć nie ma, a będzie się konten-
tował pensją natenczas wyznaczoną. Tak było,

dopóki stryj mój nie wyjechał do Smoleńska i Turyńska. Po wyjeździe jego ksiądz Strojnowski za staraniem brata podkomorzego, w duchownym i świeckim zarządzie uzyskał rezolucyę odebrania na siebie dóbr i intraty. Powrócił mój stryj z rozkazem zwrótu do posady dawniej, ale go ksiądz Strojnowski z mocy jego do władania dobrami nie dopuścił. Potrzeba się było ratować i odzyskać majątki przeszło sto tysięcy intraty czyniące, ale to i pracy i wydatków niezmiernych wymagało. Jam nie miał tyle w rękę pieniędzy, żeby z niemi przedsiębrać podróż do stolicy, wszystkiego zebrałem około tysiąca dukatów, chociaż się i bez tych obeszło. Nadchodziły bowiem wybory na 1 maja naznaczone, nie tylko marszałkowie się zjechali ale cała gubernia, z powodu wstąpienia na tron Cesarza Pawła. Stryj mój podał do koła marszałkowskiego memoriał, z dobitnym wykładem całego tego interesu, prosząc o wstawienie się gubernii do generał-gubernatora, do ministra, i do hrabiego Ilińskiego marszałka gubernskiego, o zwrót do dóbr i praw sobie należnych. Pomagali mu silnie Giżycey, Bukar, oba generałowie Karwicy, Bierzyński, wielki naów-

czas kredyt mający, tak, że w prędkim czasie całą gubernią usposobiono jak najlepší dla księdza opata. Przytomny naówczas pan podkomorzy Strojnowski nie tylko temu zapobiedz nie potrafił, ale narażony został na nieskończone szkany, tak, że przed końcem wyborów z Żytomiérza wyjechać musiał.

Zrobiono więc uchwałę i doskonały wykład całego interesu, a z niego trzy adresa do generał-gubernatora Bekleszowa, z którym nieoszacowany Bierzyński wraz ze mną do Kamieńca pojechał; drugi do ministra naówczas księcia Bezborodko, trzeci do hrabiego Ilińskiego jako marszałka gubernskiego o instancją do tronu. Z temi dwóma, kuryerem pojechał sekretarz pana Bierzyńskiego. Generał-gubernator natychmiast zakreślił rezolucją oddać dobra Ochockiemu, a Strojnowskiego zostawić przy jego prawach i tranżakeyi dopóki odpowiedź od Cesarza nie nastąpi. Ten wyrok wysłał od siebie kuryerem z pismem dobitném. Przyjechał do Kamieńca i podkomorzy Strojnowski, działał także w tym interesie, ale równie bezskutecznie jak w Żytomiérzu. W miesiąc później przyszedł imienny ukaz Cesarski, na

przedstawienie senatora Ilińskiego, jako marszałka gubernii wołyńskiej, którym rozkazano oddać dobra Ochockiemu, a księdza Strojnowskiego zostawić na dawnych prawach jego.

Nowy z tego wypadł i wielki ambaras: ksiądz Strojnowski pozadłżał te dobra, bratu podkomorzemu szambelanowi, dał na Zubkowieze i Żubrowieze kontrakt zastawny za wiedzą i pozwoleniem biskupa, w dwóchkroć sto tysięcy złotych, innych długów było do sta sześćdziesięciu tysięcy na tych majątkach.

Sprawa o ważność tych długów poszła do biskupa i kollegium, do jenerał gubernatora, na koniec stryj mój oddać musiał Zubkowieze i Żubrowieze na lat dziesięć do wytrzymania, a sto sześćdziesiąt tysięcy rozłożył na raty, ale więcej dwóch lat mieliśmy z tém kłopotu wiele.



XVII.

Hrabia Działyński.

JENERAŁ Działyński, który siedział w Berezowie i ztamtąd powrócił ze stryjem moim, znajdował się w czasie koronacyi Cesarza Pawła w Moskwie, miał zaszczyt być mu przedstawionym i dosyć się podobał, a słabość zdrowia tylko nie dozwoliła mu przyjąć stopnia w wojskowej służbie rossyjskiej. Majątek jaki miał w kraju tutejszym, jako własność jego żony, nie był zabrany. W Moskwie wyrobił pozwolenie powrotu z posielenia kobiécie, która mu w czasie niewoli jego posługiwała; jak to było wyżej.

Działyński szczęśliwie bardzo obdarzony od na-

tury miał przymioty sobie właściwe, wielką znajomość świata, uczucie honoru, władzę łatwego zniewolenia sobie każdego do kogo się zbliżył, rozum bystry i obejmujący łatwo, nauki wiele, ale przytém w charakterze niedeterminacją, słabość, która wszystko psuła; z powodu jój często nie tak zrobił, jak był powinien i popsuł sobie interesa. Kobięta, o której uwolnienie prosił w Moskwie, zesłana była z Moskwy za otrucie męża, wzięwszy knutem; gubernator tobolski wyznaczył mu ją był do posługi.

Widziałem ją później, była to baba lat do czterdziestu mająca, a wiek i pijaństwo śladów na niej wdzięku jeśli jaka miała, nie zostawiły. Żona pana Działyńskiego użyła tego za pretext żeby się z nim nie widzieć i nie przyjąć go po powrocie.

Przybywszy do kraju, Działyński żył bardzo krótko. Przyjechał do Żytomiérza, byliśmy u gubernatora na obiedzie, wracamy od niego, Działyński, Bukar, Ledóchowski prezes, Felix Zaleski i ja, odprowadzamy generała do jego kwatery na Cudnowskiéj ulicy. Stanęliśmy w bramie zajezdnego domu, wtém on kamerdynerowi ka-

zał sobie dać kieliszek wódki, padł i już w nim duszy nie było,—lewa tylko skroń posiniała. Przybiegli doktorowie, ratunku już nie znaleźli, arterya pękła w głowie i krew mózg zalała.

Żałowaliśmy go wszyscy, a szczególnie ja, którego on ufnością swoją zaszczycał. Sprawiono mu wspaniały pogrzeb w Żytomierzu, a zajmował się nim generał-major Karwicki, zebrał ze trzydziestu sztab i ober-oficerów polskich, sprawił im nowe mundury i ci assistowali téj smutnej uroczystości.



XVIII.

Książę Kondeusz.

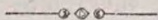
W TYM CZASIE Cesarz Paweł I przyjął do kraju swego księcia Kondeusza, potomka dynastji zwalonój z tronu francuzkiego, otoczonego książętami krwi, jako to: Duc de Berry, książę d'Enghien. (potém z rozkazu Napoleona rozstrzelany) i innemi.

Kondeusz miał ze sobą grono jenerałów i do siedmiu tysięcy exulantów, proskrypcyonistów, rodowitej szlachty francuzkiej, która formowała mały korpus pod nazwiskiem armii księcia Kondeusza. Szlachta najlepszego rodu, arystokracja najpiérwsza i ober-oficerowie poszli w szeregi, oni otaczali mniemanego Ludwika XVII, jako króla

francuzkiego, który miał swój dwór, urzędników koronnych, kanclerza, marszałków wielkich, szambelanów, czysta to była komedia. Cesarz Paweł dawał żołd temu wojsku i króla ich karmił. Stolicą jego było Dubno, a chociaż wojsko należało do księcia Kondeusza, zostawało jednak pod wyłączną władzą Cesarza, i do niego szły co miesiąc raporta.

Był jeden wypadek, że z wojska tego żołnierz przebił na śmierć bagnetem towarzysza; raportowano o tém Cesarzowi, który dekret wojenny kazał sobie przysłać na aprobatę. Skazany został na rozstrzelanie, ale na zasadzie téj, że pod jakimi prawami stał się występki, wedle nich karany być powinien, zmieniono karę śmierci na zesłanie do Syberyi.

Książę Kondeusz przeprowadził się potem do Anglii, ale wielu jenerałów i sztab-oficerów z armii jego przeszli do rossyjskiéj, mianowicie Duc de Richelieu, którego rachować można za założyciela Odessy, hrabia Langeron, St. Priest, i inni.



XIX.

Dzieje Wołynia.

NIM jeszcze nadjechał pan Miączyński do Żytomiérza, mianowany dożywotnim marszałkiem gubernskim, dla objęcia urzędowania swego, najzaśniejszy gubernator Mikłaszewski został zmieniony i naznaczony do Czernigowa, a miejsce jego zastąpił pan Głazenapp. Mówiłem już wyżej że miał zachowanie i łaski u pana Mikłaszewskiego, proponował mi żebym z nim jechał do Czernigowa, gdzie na urządzie jakim chciał mnie widzieć przy sobie, ale dla interesów moich zrobić tego nie mogłem. Z kijowskich kontraktów, z Adryanem Bukarem jeździłem do Czer-

nigowa odwiedzić znajomego, nieskończenie był mi 'rad, postawił mnie w dworcu u siebie, i ledwie po dwu niedzielach najgościnniejszego przyjęcia wypuścił.

Była to chwila w której Iliński wznosił się coraz ogromniej, obsypany darami Cesarza Pawła I, majątek jego rósł nadzwyczajnie; oprócz starostwa Ulanowskiego darowanego mu, kupił księstwo Ostrogskie od generała Fersena, a miliony szły na wzniesienie pałacu Romanowskiego. Zwożono meble, obrazy, marmury kosztowne, zaprowadzano stado angielskie, muzykę z wirtuozów złożoną, teatr z niepoślednich aktorów i t. d. Niziej obszerniej powiem nieco o Romanowie. Hrabia Iliński wyznaczony został inspektorem naszych gubernij; wola Cesarska była pełną najpiękniejszych dla nas nadziei, chciał wiedzieć jak administrowano temi prowincjami, a przez kogoż lepiej mógł być uwiadomiony o tém, jeśli nie przez mieszkańca kraju, posiadacza dóbr ogromnych, niezawisłego położeniem swoim i zaszczyconego ufnością Monarchy.

Obwieszczono nam o tém, czekaliśmy niecierpliwie na dzień przybycia jego. Nadszedł wre-

szenie: dałem o tém znać przyjaciółom, zjechali Antoni Giżycki, Bukar, Czajkowski, Dunin, Jukowsey i t. d. W sam dzień przybycia inspektora, byliśmy wszyscy zebrani w dworcu od godziny drugiej, przybiegł kurjer, że w Bobryku przepręgają mu konie. W ulicach od Czernigowskich rogatek do dworca, rozciągnięte były cechy z chorągwiami i świecami, oczekując na przybycie. Mrok zaczął padać, gdy drugi kurjer nadjechał, że jest już w Czernigowie; rozstawiona policya dała później znać że jest już u rogatek, i dzwony się też ozwały, i działa na wałach starego zamku.

Toczyła się powoli pochworna karéta, dziesięć końmi zaprzężona, przy niej sprawnik, zasiadający w Rządzie, horodniczy, kwartalni; stanęła przed wschodami dworca, a gubernator i gubernski marszałek rzucili się do drzwiczek. Wsparty na nich P. Iliński, wprowadzony został na wschody i galeryą, za nim szła żona prowadzona przez Bierzyńskiego. Wszyscy orderzy mieli na wierzchu, jak na przyjęcie panującego. Pan Iliński był w mundurze komandora maltańskiego orderu, jako świeżo nim przez Cesarza kreowany. Przyjechał

z nim Bartłomiej Giżycki z żoną w drugiej karcie, niezmierna liczba swity, assystencyi, kancelaryi. Wszystko to wysiadło w dworcu, a potem rozmieszczone zostało po kwaterach. Między assystentami znalazłem dwóch panów Hołyńskich, syna najmłodszego mojego zbawcy i synowca; tych zaraz zaprosiłem do mego domu, i przez cały ten czas stali u mnie. Pan Iliński etykietalnie przeszedł przed stojącym kołem obywateli, ja nie nabiegałem mu w oczy, jako podsędek z daleka z całym kompletem; postrzegł mnie nareszcie hrabia, przybliżył się i podawszy mi rękę, raczył przemówić do mnie życzliwie, co wszystkich uderzyło w oczy. W kilka minut i P. M... który na mnie wprzód patrzeć nie chciał, u którego też i ja ani razu nie byłem, przystąpił do mnie.

—Możeś pan dobrodziej nie odebrał jeszcze biletu na jutrzejszy obiad do mnie, pozwól bym go sam zaprosił.

Nie rzekł i słowa do stojącego przy mnie Trypolskiego sędziego i jego kolegów.

Przystąpiłem już sam do pani Ilińskiej, do pani Giżyckiej; pierwsza zawsze grzeczna, rozmawiała ze mną uprzejmie, druga także słowiczym, choć

słówko odezwała się głosem. Pan Iliński miał mieszkanie w domu Hańskich; nazajutrz około dwunastój, Giżycki, Bukar i ja pojechaliśmy do niego. Fryzował się godzinę może w bawialnym pokoju, był gubernator, marszałek gubernjalny, powiatowi, nieco obywateli. Jużśmy odbywszy etykietałną wizytę odchodzili, gdy na mnie zawołał:

— Zatrzymaj się no trochę...

To na wszystkich znowu, jak uważałem, zrobiło niemałe wrażenie.

Powychodzili inni, został Giżycki i ja, hrabia odezwał się do nas.

— Wiecie, że jestem inspektorem znacznej części kraju, zesłanym tu dla obejrzenia jego stanu, i sprostowania nadużyć, jakieby się wkraść mogły; cobyście chcieli mieć poprawioném, podawajcie mi na piśmie, a razem współobywatelom swoim o tém powiedziecie.

Prawdę powiedziawszy, hrabia Iliński lekko i grzecznie się obszedł, zamykając oczy na wszystko i usiłując delikatnością swą wymódz poprawę, gdzie mu się zdawała potrzebna. Oglądał wszyst-

kie juryzdykcyjne, bawiąc dwa tygodnie w Ży-
mięrzcu, i wyjechał...

Ja, moich panów Hołyńskich jednego dnia za-
wiozłem do pana Bierzynskiego, oznajmiwszy mu
kto oni są i jak wielkie mam dla nich obowiązki,
potém do szanownego prezesa pierwszego departa-
mentu, Ledóchowskiego. Oba ci zacni mężowie
dawali dla nich wielkie obiady, na których bywał
i hrabia Iliński. Potrzeba było i mnie to zrobić,
jakoż w domu wyborowym dawałem obiad na o-
sób sześćdziesiąt.

Rano przyjechałem do pana Ilińskiego, mówiąc,
ze nazajutrz chcę dać obiad dla Hołyńskich, a
nie śmiem go nań zaprosić.

— A gubernator i gubernski marszałek, będą?—
spytał.

— Jeszczem nie prosił.

— Proś-że ich.

Hrabia, któremu opowiedziałem jakie miałem
obowiązki dla imienia Hołyńskich, przyrzekł być
na moim obiedzie; musiałem prosić gubernatora i
marszałków. Rozumie się że zaczął od zdrowia
hrabiego inspektora, ale po nim zaraz wniosłem
drugie marszałka witebskiego i jego familii, po-

szły potem rześiste kielichy, które dodały wesołości.

Miałem wprawdzie koszt znaczny, nie na podędkowską skalę, ale i satysfakcją wielką, z tem obowiązku dopełnił. Dwa tygodnie przeszły na tych spezach, pan Iliński wyruszał do Romanowa, dokąd wiele osób z sobą zaprosił. Pojechaliśmy na dni cztery wszyscy razem: Bierzyński, Giżycki, Bukar i ja.

W Romanowie prawa strona i skrzydło pałacu były już na dokończeniu, umeblowane po monarszemu, muzyka wyborna, teatr doskonały, stół zastawiony przepysznie paryzkimi srebrami, działa huczały, lały się wina strugami. Trzy dni trwały te festyny, czwartegośmy się rozjechali, nie bez smutku z powodu przypadku Bartłomieja Giżyckiego, który trochę podchmielony, trącił kieliszkiem jednego ze znaczniejszych i urzędowych gości. Byłoby to może miało nie dobre dla niego następstwa, gdyby hrabia Iliński wcześniej swoim raportem do hrabiego Palena nie zapobiegł temu skutecznie.

Na miejsce generała Głazenapp, naznaczony został gubernatorem w tym czasie Kurys, który

był wprzód sekretarzem jenerała Suworowa. Korzeniowski, prezes drugiego departamentu, i nowy marszałek gubernijalny, o władli wszystkiém w Żytomiérzu, o czém obszerniej pisać nie chcę, przechodząc do innego przedmiotu.



XX.

B o n a p a r t e .

Gdy się to działo u nas, spójrzmy co miało miejsce we Francyi, na którą kraj nasz jak na barometr zwykł się był zawsze zapatrywać. Tam, z jednéj strony znakomite zwycięstwa generałów Pichegrue, Moreau, Jourdana przerażały cesarza Austryackiego, króla Pruskiego, Włochy, a zaborem Hollandyi całą Europę; ale wewnątrz panujący terroryzm niszczył siły i jedną partję przez drugą pochłaniał. Zmieniały się ciągle rodzaje rządów i osoby stojące na czele, które pospolicie pod gilotyną, urządowanie i żywot kończyły; pławiło się wszystko we krwi, lub duszone stryczkami ulicz-

nej tłuszczy. Konwencyę Narodową zastąpiła Rada pięciuset; równy jak wprzód panował nieład, a ofiary terroryzmu mnożyły się tylko. Zaczęto nakoniec wywlekać z kryjówek osoby do towarzystw sekretnych należące, które początkowo rozdmuchiwały same ten niebezpieczny płomień i nim kierowały, powleczono je na gilotypę i pod latarnie. Potrzeba było szukać środków do ugaszenia ognia, ale te tylko genjusz energiczny mógł znaleźć w samym sobie. Rzucono oczy na Bonapartego, dowodzącego naówczas wojskiem do Egiptu posłaném; przybył niespodzianie do Francyi, przyjechał do Paryża, wszedł na Radę pięciuset, gdzie go zabić chciano, grenadyerowie wpadli broniąc go i rozpędzili zgromadzenie. Tymczasem los czy niewidome dłonie, które go przeprowadziły rzucając mu kładkę bezpieczną na krwawym potoku, osadziły go zaraz w stopniu pierwszego Konsula z dwóma innemi u stępu, potem zrobiono go dożywotnim konsulem, nareszcie on już sam zasiadł na tronie i ogłosił się cesarzem.

Nowa dynastia wyrosła na popiołach i gruzach rewolucyi w zdumionych oczach Europy, która ani

jój przyjmować, ani odrzucić nie mogła. Wypadek ten spowodował powrót z Włoch generała Suworowa, który odebrał rozkaz wyjścia, chociaż armia jego skutecznie i dzielnie tam działała...



XXI

Wstąpienie na tron Cesarza Alexandra Igo.

P przed zgonem jeszcze nieodżałowanego Pawła Igo, Kurys przysłany tu na gubernatora, zmienionym został, a na jego miejsce naznaczony Grews, fiński, człek nie mający ale uczciwy, który do sterowania wraz z prezesem i marszałkiem wzorem poprzednika nie należał, i ci dwaj panowie pozostali osamotnieni.

Zgon Cesarza Pawła obleliśmy łzami, nieskończenie wiele mu będąc winni, i wielkie na panowaniu jego budując nadzieje, które, porobione w naszych prowincjach zmiany ku lepszemu, zapowiadały. Wojsko zostało urządzone nie tylko powierzchownie na sposób nowy, ale uregulowane silnie i w największym utrzymywane rygorze.

Ubior jego podobny był do mundurów pruskich Fryderyka Wielkiego, a nawet strój cywilny został zmieniony, gdyż frak z dwoma rzędami guzików, podobna kamizelka, kapelusz okrągły, trzewiki bez sprządek, buty z długimi nosami wyszły zupełnie z użycia, i już się ukazywać nie mogły.

Wstąpienie na tron rossyjski Cesarza Alexandra I, zrodziło nowe nadzieje i dało otuchę, obiecując pomysłości, które w istocie w ciągu panowania tego monarchy się ziściły. Najpierwszą rzeczą widzialną znamionującą zmianę, był powrót do dawnego stroju, okrągłych kapeluszków i fraków.

Jeszcze za panowania Pawła I, naznaczano razy kilka wybory; na jednych z nich obrany zostałem sędzią, Józefat Schabicki podsędkiem, Felix Rychliński drugi, Trypolski z Wołosowa pisarzem, a Bierzyński ciągle marszałkiem się utrzymywał. Nicco wprzód na generał-gubernatorstwo po generale Bekleszowie, nastąpił hrabia Gudowicz, którego w początku panowania Cesarza Alexandra zmienił generał Essen, a na gubernatora wołyńskiego przysłany był rzeczywisty radzca stanu Reszetów. Był to człowiek prawy, bezintereso-

wny, sprawiedliwy, którego dosyć wychwalić nie umiem, tak godnie spełniał posłannictwo swoje, i sumiennie starał się zarządzać tym krajem. Po prezesie pierwszego departamentu Ledóchowskim, wybrano Michała Głębockiego, którego ojciec mieszkał w Kodni. Miał on z pierwszej swjej żony dwóch synów, a żona z pierwszego męża dwie córki; pobrawszy się, ułożyli sobie i dzieci swoje pożenie. Syn Michał był prezesem pierwszego departamentu, a Michał Korzeniowski drugiego; Głębocki zaprosił kolegę aby z nim jechał do Kodni dla oświadczyn i umowy ślubnej, ale Korzeniowski z ochotą pojechawszy, przez trzy dni pobytu ujął sobie zupełnie pannę, wziął od niej słowo, że pójdzie za niego, rodzicom głucho się oświadczył z imieniem Michała, które obu było wspólne, zapito zdrowie i koniec. W drugie trzy dni, panna była jego żoną.

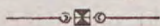
Marszałek gubernjalny Miączyński w wielkich boleściach życie skończył, i pochowany w Żyto-mierzu. Po nim sprawował urząd marszałka Wilga, marszałek kowelski, zaeny bardzo człowiek, ale go nam śmierć przed wyborami zabrała. Pół rokiem także przed wyborami skończył życie zaeny

bardzo obywatel, wielkie mający zachowanie w całej gubernii, Józef Bierzyński, z powszechnym zalem tych co go znali i nie znali. Zastąpił miejsce jego Hilary Chojecki, a w roku 1802 nastąpiły wybory bardzo dla nas zajmujące, które podniosły nieco znaczenie urzędów.

Na marszałka gubernskiego wybrano Stanisława Worcella, podstolego litewskiego, znacznych majątności dziedzica, okrytego orderami polskimi, a co najgłówniejsza, słynącego z nieposzlakowanej uczciwości; na prezesa pierwszego departamentu, Józefa Baczyńskiego, drugiego Tadeusza Teleżyńskiego, nie bogatego wprawdzie ale wielkich przymiotów i zacności człowieka. Szedł z nim Józef Dąbrowski, podkomorzy łucki, ale został tylko kandydatem. Marcina Bukara wybrano marszałkiem Żytomiérskim. Teleżyński wziął się szczerze do wykorzenia nadużyć i przekupstwa w swoim departamencie, zaczął od oddalenia sekretarza, zrobił rozporządzenie, które długo potem trwało, naznaczające dnie do brania spraw. Człowiek nie tylko doskonale znający prawo, ale obeznany z wielą gałęzmi nauk, przy wielkiej skromności i nieugiętej enocie, urzędnikiem był

jakich mało. Sprawiedliwie sława jego nienaruszenie do dziś dnia stoi, zasłużył bowiem na wdzięczną pamięć naszą. Sprzedał dwie wioski dziedziczne dla kosztów jakie za sobą pociągało urzędowanie, dzieci o dwakroć sto tysięcy zubożył, ale zostawił po sobie przykład i imię poczciwe. Prezes pierwszego departamentu Baczyński, choć równie był nieinteresowany i nienaruszonej poczciwości, wymówić mu tylko można, że się nie wiele swoim obowiązkiem zajmował; zresztą najzaćniejszy.

Z powodu urzędowania, Marcin Bukar zrobił ściślejszą znajomość z jenerałem Essenem, który, jakem powiedział, po hrabi Gudowiczu został jenerał-gubernatorem, zyskał sobie jego życzliwość i przyjaźń. Tą drogą i ja byłem znajomy panu Essenowi, który nigdy nie mijał Bukara w Lemie-szach, gdzie i ja zawsze dla dawnych stosunków bywałem. Pijaliśmy po polsku. Byłem też dwa razy w Kamieńcu z P. Bukarem, i mogę powiedzieć, że to był urzędnik miły, grzeczny, bezinteresowany, w ogólności bardzo przystępny, a dla nas życzliwości pełen.



XXI.

Sprawy osobiste.

Ja w ciągu tych lat trzech nie miałem żadnego obowiązku i nie zostawałem w urzędowaniu. Małe i uregulowane gospodarstwo w Sidaczówce, dozwalało mi prawie cały mój czas poświęcać zabawie. Rzadko bardzo bywałem w Żytomierzu, wówczas chyba tylko wstępowałem, gdym jechał do mojego stryja w Owrukie lub swego dopatrzeć majątku. Mieliśmy tu bardzo miłe domy, uformowała się rozległa koterya, której nieustanne zabawy były jedynym zadaniem; do niej należały: Karpowce jeneralistwa Karwickich, Lemiesz Marcin Bukara, Buraki matki jego sędziniej Bukaro-

wój, Mołoczki Antoniego Giżyckiego, Brailów Jukowskich, Liatka Felixostwa Zaleskich, Haleczyn Czajkowskich, Januszpol Dąbrowskich, Wyszezykury i Wygnanka Nudzyńskich, Bratałów Piotrowskich, Berdyczów księcia Mateusza Radziwiłła. Należeli do kompanii naszej bezzenni także, Czośnowski strażnik polny koronny, szambelan Kamiński, doktor Menich, dwóch Perekladowskich i bardzo wiele rozmaitej młodzieży tych stron. Dodawszy do tego karnawały w Lubarze i Maje liczne, na których niepotrzebując kuraeyi zawsze z żoną bywałem, przyznacie, że czas mieliśmy dobrze zajęty. Szczególniej zjeżdżaliśmy na karnawały i Maje dla towarzystwa i uceczenia państwa Krzysztofowstwa Karwickich, którzy na tenczas do Lubaru przybywali. Bawiliśmy się w najlepszych stosunkach przyjaźni, zażyłości i prawdziwie braterskiej zgodzie. Co roku bywałem na kontraktach we Lwowie, pod pozorem odbierania procentów od sumki mojej żony, lecz traciło się oprócz tego co się pokupowało, czasem, dwa razy tyle. Zawszem wywoził ztamtąd różnego rodzaju powozy Wiedeńskie, bo już z Warszawą w tym punkcie zerwane miałem dawne moje kommuni-

kacye. Miałem i konie ładne pod pozorem handlarstwa, ale porachowawszy koszta utrzymania potrzebnych do tego ludzi, wydatki jarmarkowe, przejażdżki, karm i różne expensa z tego powodu, chociaż na oko zdawało się że zyskiwałem wiele, w istocie na artykule tym strata była widoczna. Na powozach zarabiałem zawsze, głównie dla tego że miał ekwipaże jakimi się nikt nie pochwalił, a gdy kto się żenił lub potrzebował, do mnie jak w dym po powozy, po cugi i po wierzchowe konie. Tęj metody trzymałem się do 1812 roku. Żonie mojej, za każdą razą wyjeżdżając do Lwowa dawałem słowo, że nie wpadnę w podobne bałamuctwa o jakie sam się obwiniał przed nią wprzód, i — potrafiłem dotrzymać przyrzeczeń. Może też i okoliczności pomogły. Lwów nie był już tęp co wprzód, zaczęto powoli czepiać się do nas: czego dowodem byli Trzeciński, Raciborski i Dzeduszycki. Ostatni, ułomny i słabowity prosił o konsylium doktorów i chorobą tylko uwolnił się od najsroźszego z sobą obejścia, które innych spotkało, pozostał przecież w więzieniu. Z przyjezdnymi także nie bardzo się łagodnie obchodzono; jednego roku przybywszy na dni kilka

do Lwowa odesłałem pasport mój do dyrektora policyi. Nazajutrz rano wzywają mnie do niego, zastaję go trzymającego mój pasport w ręku.

— Wyjedziesz pan natychmiast ze Lwowa, rzekł do mnie, oto dwóch panów Landrathów, którzy go przeprowadzą. Wyszedłem i w godzinę dopiero za miastem nie miła ta assysteneya mnie opuściła.

Przecież Lwów jest miastem w którym zawsze przyjemnie zabawić się można; alem ja nigdy dłużej dni ósmiu teraz w nim nie mieszkał.

Brat żony mojej Hilary, ożenił się był z panną Rozniecką siostrą jenerała; była to osoba bardzo piękna, wybornie wychowana i niewymównie dobra. Wśród zepsutego Lwowa dochowała czystość obyczajów jak największą, i wierność mężowi do zgonu.

Wyjeżdżając ze Lwowa, kupiłem poczwórną karetę i karyolkę wiedeńską, i zabrawszy Euzebiego brata żony, powróciłem do domu z nim razem.

W r. 1803 z państwem jeneralstwem Krzysztofowstwem Karwickimi, z bratem Euzebim i moim rodzonym Maryanem jeździliśmy do Odessy, na Kowalówkę Potockich, gdzie była lieytacya remanentów Wincentego Potockiego. Znajomy to był

pan z ogromnych dostatków i rzadkiego swego gustu. Dom jego w Kowalówce był po magnacku we wszystko opatrzony, dla żony ks. de Ligne, ale co to był za rozbój przy sprzedaży! Zasiadający na tym zjeździe marszałkowie, sędziowie ziemscy frymarczyli temi remanentami, i czego jeszcze plenipotenci i komisarze pana Potockiego nie rozkradli, to oni roztrwonili. Państwo Karwicy licytowali kilka rzeczy, jako to: dwa zwierciadła wielkie angielskie, kilka bronzów paryzkich, coś z biblioteki, dzieł kilkanaście. Ja kupiłem eugniady, anglezowany, za który dałem dwieście pięć dukatów, a wziąłem za niego potem w Berdyczowie trzysta sześćdziesiąt. W Odessie bawiliśmy trzy tygodnie, a powróciwszy odwiedziliśmy stryja mego, który mi dał wówczas osiemset dukatów. Były to pierwsze po powrocie jego: przed same mi kontraktami kupił dla nas wioskę Medwidno na granicy litewskiej, za czterdzieści tysięcy. Raz w niej tylko byłem w roku 1808, i sprzedałem ją panu Trześniowskiemu, za pięćdziesiąt cztery tysiące, po śmierci stryja mego.

Żona moja życzyła sobie być we Lwowie, i poznać bratową od lat kilku zamężną, którą ja u-

wielbiałem; nie mogłem jój tego odmówić, pojechaliśmy z Euzebim bratem jój w końcu augusta. Przyjmowali nas Hilarowstwo jak tylko mogli najserdeczniej, dwie te zacne kobiety połączyły się jak najściślejszą przyjaźnią; przyjechał Józef brat trzeci mojej żony, który świeżo wyszedł z Terecianum, kończąc wychowanie. Był on naznaczony konsylijarzem do trybunału ślacheckiego we Lwowie. Panna Ignacya już wówczas nie żyła; objeżdżaliśmy familiję żony mojej pozostałą o kilka, i kilkanaście mil ode Lwowa mieszkającą, i w grudniu dopiero powróciliśmy do domu. Żona moja ostatni ten raz była we Lwowie, a bratowa jój w rok potém w zapusty umarła zaziębiwszy się, od całego miasta dla cnót swoich czezona i żalowana. Zostawiła po sobie córkę Laurę, późniejszą hrabinę Zabielską Józefową, która to u nas bywała z ojem, z panną Laurą Potocką, ciotką, siostrą przyrodną matki, i panią hetmanową Rzewuską Lubomirską z domu. Później wyszedłszy za mąż, osoba pełna talentów, prześlicznie wychowana, miła i obdarzona wszystkimi przymiotami płci swojej właściwemi, z gorączki grassu-

jącej we Lwowie bardzo wprędce umarła, zostawując po sobie syna z Józefem Zabielskim.

Na następujących kontraktach odebrałem z różnych rąk z niemalą trudnością sumek moich dziewięćdziesiąt tysięcy. Było to już jakoś pod koniec kontraktów; żem nie miał gdzie lokować tak, by bezpiecznie ra zawołanie mieć można, wolałem więc wziąć do domu i procent utracić. Z tych kontraktów wracając, doszła mnie w Berdyczowie wiadomość, że Antoni Giżycki z którym młodość spędziłem, życie razem ubiegło, przyjaźń najczulsza łączyła i okoliczności codzien ściślej wiązały, życie skończył.

Straciłem w nim prawdziwego przyjaciela, połowę samego siebie, i dziś bez goryczy wspomnieć o boleśnym tém rozstaniu nie mogę.

Tyle razy w przeciągu pisma tego, mówiło się o Antonim Giżyckim, zasługach jego osobistych w obywatelstwie i zaenności męża tego, żem niemal obowiązany objaśnić z jakiego rodu pochodził i co to była za familia.

Giżycey, herbu Gozdawa, w Mazowszu, a ztamtąd po innych województwach rozrodzeni, pochodzili od Krystyna wojewody plockiego, od Giżyc dóbr,

imienia tego nabywszy. Z tych Wacław Giżycki sędzia ziemski sochaczewski żył około roku 1400, którego z Elżbiety N... syn Paweł zajmował katedrę Płocką. W Pradze szkoły ukończywszy, gdy do ojezyny wrócił, został naprzód scholastykiem Krakowskim i Płockim, w krótkce potem, gdy zdatości swój w różnych sprawach dał dowody, na biskupstwo Płockie został wyniesiony, i przez Wincentego arcybiskupa Gnieźnieńskiego poświęcony na nie w Krakowie. Sprawiał to swoje dostojenstwo z taką godnością i wspaniałością, z taką u wszystkich powagą, że Władysław książę Mazowieckie umierając, w opiekę dwóch niedoroslých synów swoich, Ziemowita i Władysława, mu powierzył, naznaczając rządzcą pod ich niepełnoletność księstwa Mazowieckiego. Sprawiał ten obowiązek włożony na siebie z wielką pochwałą, osobliwie ziemianom mazurom miły przez to, że niektóre zbyteczne ciężary zniósłszy, nowemi prawami sądy zadworne okréślił. Gdy potem za sprawą kasztelana sochaczewskiego, młodzi książęta Mazowieccy trucizną zgładzeni zostali, a Kazimierz król polski do spadku po nich i księstwa Mazowieckiego podniósł swe prawa, mężnie zrazu

opierał się Paweł biskup broniąc niezawisłości Mazowsza, i na sejm Piotrkowski, dla powagi i większego bezpieczeństwa w osiemset koni przyjechał. Przecież cała ta sprawa nie orężem ale prawem się skończyła, a król Kazimierz spadkobiercą księstwa Mazowieckiego przyznany został, przez wysadzonych na ten cel sędziów. Nie tylko zaś Giżycki polityczną rolę swą godnie odegrał, ale i w administracyi powierzonego kościoła miał zasługi; wielką część dóbr biskupich on zapisał i na wieczność przekazał, założył kollegiatę w Pułtusk, gdzie przedtém fara była, i kościół tamże wymurował wspaniały. W dobrach swoich dziedzicznych, kościół i dwór z fundamentów z muru wywiódł. Z tego poznać jak to był zaenya prałat. To o nim pisze Łubieński w żywotach biskupów Płockich, lubo Długosz trochę inaczej. Zszedł z tego świata w r. 1463, pochowany w Pułtusk. Bielski powiada, że po zejściu książąt mazowieckich, Paweł ten do tego ziemianów Płockich był przywiódł, że omal nie stanęli oporem przeciw Kazimierzowi, i innego sobie chcieli wybierać księcia.

Okolo tegoż czasu żył, bodaj czy nie brat Pa-

wła, Wincenty Giżycki marszałek księcia mazowieckiego i ruskiego Bolesława, który się podpisał na jego liście 1458 r. w Statucie mazowieckim, i w 1463 i imieniem tegoż księcia jeździł posłem na sejm Piotrkowski. Dawniej jeszcze, za czasów Kazimierza Wielkiego, dwóch Giżyckich, Piotr i Paweł, w Węgrzech długo żywot wojenny wiedli i w rycerskich się dziełach wstawili.

Gdy do kraju powrócili, król Kazimierz niektóre im dobra w ziemi Sanockiej na pograniezu Węgier nadał, kędy osiadłszy, potomkowie ich jedni od dóbr Humnisk, Humniskiem, drudzy od Bierczy, Biereckiem się nazwali. Paprocki za czasów swoich wspomina dwóch braci, ludzi wojennych, z których Piotr za Zygmunta Augusta na Rusi pod Newlem siła i mężnie dokazywał, w harcach będąc szczęśliwy, i za Stefana króla pod Gdańskiem poległ. Drugi, bodaj czy nie brat Piotra, Stanisław rotmistrz pod Czezewem 1577. Dalej wspominają akta i dokumenta Jędrzeja w Sochaczewskiej ziemi poborcę w r. 1588. Marcina w Czerskiej 1593, Wojciecha wojewodę bełzkiego 1620 r. Jana sławnego rotmistrza, którego pod Małowastowem 1628. Władysław królewic nad kozakami Czer-

kaskiem i przelożył. Mikołaj miał za sobą Annę Cieciszowską, Stanisław Chodorowską, Mikołaj naprzód podkomorzy Czerski, poseł na sejm 1620 r., potem kasztelan 1627, deputat do kwarty Rawskiej 1633 r. Córka jego Raciborska chorążyna czerska, a synów dwóch, Krzysztof i Mikołaj. Wnuk tegoż kasztelana a syn jednego z tych dwóch, Jan Stanisław chorąży owrucki poseł ziemii Czerskiej podpisał konfederacyą jeneralną warszawską 1696 r.; żoną jego była Katarzyna Paprocka, z której miał trzy córki: Maryannę za Alexandrem Lewikowskim, wojskim stężyckim, Teresę za Prażmowskim, starostą nieszawskim, Katarzynę za Wybranowskim, chorążym podlaskim i synów czterech: Antoniego, Bartłomieja, Jędrzeja i Alexandra. Siostry Raciborskiej, chorążyny czerskiej były cztery: jedna Grzybowska, druga Parysowa, trzecia Żabička, czwarta Leśniowska. Michał sędzia rzeczycki 1674 i Mikołaj w ziemi Czerskiej. Konstacya zakonnica w Sączu 1701. Grzegorz dał do druku kazanie na pogrzebie Krasieńskiego, wojewody płockiego, miane 1717 r. w Warszawie. Inne, na pogrzebie Krasieńskiej, kasztelanowej płockiej 1724 tamże, na Wielki czwar-

tek 1720 r., na S. Antoni 1724 i t. d. W roku 1778 Michał Giżycki, miecznik miński; Stanisław podstoli owrucki, dalej chorąży żytomiński, z Rakowskięj zostawił potomstwo. Stanisław ma za sobą także Rakowskę, dziedziczkę na Skowrotkach. Antoni, miecznik kijowski. Z téj linii pozostał tylko Nepomucen Giżycki, imienia i majątku dziedzie, który był marszałkiem żytomińskim i spełniał ten urząd godnie, z zadowoleniem obywateli... Wypis ten zrobiłem z urzędowéj rezolucyi legitymacyjnéj.

Bartłomiej Giżycki, za Pawła jeszcze Cesarza przyjęty do służby, naprzód w Gruzji był półkownikiem huzarskiego pułku, potem z nim stał w Krzemieńcu; następnie przeniesiony został jako szef do pułku dragonów.

W roku przeszłym, będąc w Odessie z państwem Karwickiem, przypatrzyłem się tam nieco obrotom handlowym i skorciąło mi się spróbować téj gałęzi przemysłu, tém bardziej, że kapitał w domu leżał bez użytku. Skupiłem więc ze trzy tysiące korey pszenicy, najałem sobie podwoły czumackie, po siedém złotych od korea (pszenicę pła-

cać po dziewięć) i wyprawilem ten transport o Mikole do Odessy.

W tym roku dał nam Bóg syna, w sam pierwszy dzień Wielkiejnoey, i żona moja dała mu, jak życzyła sobie, imie ojea swojego, Antoni. Ja w maju wyjechałem do Odessy, a pan Buszczyński syna swojego Jana, i pan Antoni Budzyński Ignacego, powierzyli mi. Ci ludzie natenczas bardzo młodzi jeszcze, okazali wiele statku i zdolności. Cztery miesiące, w ciągu których mieszkałem w Odessie, dały mi sposobność dobrze się na nich poznać i ocenić. Transport mój nieszczęściem zagrzął w drodze, sześć tygodni lały deszcze bez ustanku, podwoły w Sewerynowce się zastanowiły, potrzeba było najmować stodoły, wietrzyć, suszyć, lecz już stęchlizny zupełnie wywabić nie było podobna. Był w Odessie kupiec pan Forheger, z którym dawniej w Warszawie bardzo dobrze się znałem; później osiadłszy w Odessie całe swe kapitały włożył w handel pszenny. Pokazałem mu próbki— stęchła! kupować nie chciało, nawet tanio, kto powąchał odstępował ruszając ramionami. Nająłem szpichlerz u pana Forhegera, trzeba było przerabiać i to kosztowało

wiele, codziennie ją szlifowano a szlifowano. Sypiać nie mogłem, szczęściem opatrzność zesłała mi cztery okręta z Marsylii na balaście dla skupienia w Odessie pszenicy przybyłe, gdy w magazynach nie było jój tyle ile potrzebować mogły. Pan Forheger przybiegł do mnie wołając:

— Badź pan dobrój myśli, przedamy pańską pszenicę.

Postąpiłem mu procent jeden, nie wdając się w żadne formalności: sprzedał ją za swoją, i zaprosił mnie dopiero do odebrania pieniędzy.... Jakżem się ucieszył! Po obliczeniu się ogólném, strąceniu kosztów podróży, bawienia w Odessie, drogiego najmu ludzi, szpichlerza, co się zjadło i wypilo, kapitał jeszcze ze czwórma procentami się wrócił.

Podziękowasz panu Bogu za tę jego łaskę, postanowiłem nigdy więcój do takich się nie rzucać przedsięwzięciom. Gdyby nie ten wypadek, że zamokła, zysk byłby wielki, ale mogła być większa jeszcze strata, jakby okręta z Marsylii nie nadpłynęły.

Powróciłem do domu, bawiliśmy się dobrze w sąsiedztwie, ja przywiozłem win drogieh ga-

tunków, jakoto: szampańskiego, burgundzkiego, oliwy prowanckiej kilka kies i rozprzedałem moim sąsiadom. Najwięcej kupił Dąbrowski do Janusz-pola; czterysta dukatów miałem w tym handlu. Piątą część każdego gatunku zostawiłem sobie w zysku, ale gdybym był za tysiąc czerwonych złotych przywiózł tego towaru, sąsiedzi moi byłiby go rozebrali pomiędzy siebie. Pojechałem na kontrakty z pieniędzmi i sam jeszcze resztę podobierałem. Miałem sto sześćdziesiąt tysięcy w mojej izbie, gotówką. Przyjeżdża do mnie pan Morzkowski proponując żebym u niego nabył zastaw za sto dwadzieścia tysięcy złotych, który on żonie swój Godlewskiej z domu, rozwiódłszy się z nią, lokował na Halijówce, Wolicy, Bejzymówce. Byli i państwo Karwicy z Karpowiec na tych kontraktach; ułożyłem się z nimi, że tę zastawę w stu dwudziestu tysiącach złotych przenoszę tylko na Wolieę z ostrzeżeniem dla siebie procentu. Morzkowskiemu wypłaciłem zupełnie, tysiąc dukatów lokowałem u Chodkiewicza, a dwadzieścia tysięcy u Krzysztofa Karwickiego. Powróciwszy z Kijowa pojechałem do Lwowa, żona moja skończywszy dopiero lat dwadzieście cztery dała

mi plenipotencyę do odebrania swojego posagu, który w Komissyi pupilarnéj był złożony. Ten, przytomnemu tam naówczas Krzysztofowi Karwickiemu oddałem, a sam powróciłem do domu.

Przyjechał wkrótce mój stryj, przywiózł dziesięć tysięcy, i to znowu u Krzysztofowstwa Karwickich zlokowałem. Była to już ostatnia jego dla nas ofiara; powróciwszy do domu, dostał rodzaju apoplexyi, odratowano go wprawdzie, ale niedługo już pożywszy, dnia 10 kwietnia 1806 roku życie skończył.

Jak obowiązki nasze tak przywiązanie i wdzięczność dla tego zacnego męża, i najlepszego z krewnych były bez granic, i żal nasz ledwie czas ukoił, długo płakaliśmy po ojcu i dobrodzieju. CzySTEMU jego duchowi, niech tych słów-kilka z pełni serea wyrzeczonych, będą pośmiertną ofiarą.

Przyszedłem do posiadania Wolicy, sprowadziłem nasiona potrzebne: taniość była, jak dziś, wielka, żyto najwyżej złotych cztery, a wszystko reszta stosunkowo. Pojechałem na jarmark na Pochwalną do Berdyczowa, mając z sobą pięćset dukatów. Wyleżyńscy Jan i Ignaey stali ze mną; Ignaey trzymał Samhorodek od Krzysztofa Kar-

wickiego, mnóstwo wielkie miał zboża, a kupca na nie nie było; moroczył mnie dni kilka żebym u niego kupił tysiąc korey żyta, potrzebował pieniędzy, ja kupować nie chciałem, ale mu się ofiarował pożyczyć dwieście dukatów. Żądał się cokolwiek pozbyć remanentu, przymuszony więc niemal od obu braci, kupiłem tysiąc korey żyta, tém bardziej, że stryj nadesłał mi kotły gorzelniane, które dla mnie kazał porobić. Po cztery złote zapłaciłem z dostawą do Wolicy, kontrakt formalny zrobiłem i dwieście dukatów zapłaciłem. Zima była okropna, śniegi wielkie spadły na niezamarzłą ziemię ośmnastego października i leżały do ośmnastego kwietnia; wiele hreczek w kopach na wieki pod tą nawałą przysypaane zostały.

Skutek był taki, że oziminy zupełnie wyprzały: gdy śniegi rozstały, pokazało się czarno, wszystkie więc pola ozime i jare, jęczmieniem, owsem, hreczką, prosem i grochem zasiałem. W dwa tygodnie po stajaniu śniegów, żyto poskoczyło do rubla, posyłam żeby je przystawiano, aliści przyjeżdża pan Ignacy z bratem Janem i przywożą mi moje dwieście dukatów, prosząc żeby z kontraktu spuścić. Długo nie chciałem, nakoniec zniewo-

lony, odstąpiłem pięćset korey, odebrałem sto dukatów, a pięćset musiał mi przystawić. I to była łaska z mojej strony. To samo żyto w końcu lipca po dwadzieścia pięć złotych sprzedałem, i tak na tej robocie zarobiłem dziesięć tysięcy pięćset, a mogłem zyskać dwadzieścia jeden tysiąc złotych.

Rok to był osobliwszy, ludzie co mieli zboża porobili majątki; pani Budzyńska w Wygnance i Przewalówce do czterechkroć sto tysięcy wzięła za zboże, pan Franciszek Giżycki coś około tego, ja w Wolicy ani snopka oziminy nie mając, poratowałem się jarzyną, która niesłychanie obrodziła. Owies był po czternaście złotych, hreezka i jęczmień po osmnaście, pszenica po trzydzieści, jagły i groch po czterdzieści, żyto po dwadzieścia sześć złotych. Jarzyna więc, oprócz wydatku domowego, do dwudziestu tysięcy mi zrobiła. Był i drugi taki rok nieurodzaju na oziminę i podobna cena zboża się utrzymała. Tegoż roku Cesarz Alexander dawał kontyngens Cesarzowi Austryackiemu przeciwko Napoleonowi, ale to są rzeczy publiczne o których zamilczam, bo te do mnie nie należą. Wspomnę to tylko, że Bartłomiej Giżycki będąc już generałem i w wojnie tej

czynnie służąc, dostał order S. Włodzimierza III klasy.

Pan Dąbrowski jeszcze z wiosny ułożył sobie świetnie obchodzić swoje imieniny, prosił mnie żebym się z nim wybrał objechać domy w Żyto-miérskim powiecie, gdyż on sam świeżo tu jeszcze był osiadły. Pojechaliśmy oboje i państwo Dąbrowscy także, z dwiema niezamężnemi córkami. Ta włóczęga od komina do komina więcej dwóch tygodni czasu nam zabrała. Będąc u Adryana Bukara w Rajkach, zaczęliśmy pić po obiedzie i w karty grać, było jeszcze kilka innych osób, ja z Dąbrowskim siadłem w marysza do pułi po dukacie. Wtém ktoś się odezwał— Co tam! lepiej faraonika! wszyscybyśmy się bawili. Dąbrowski rzucił karty polskie, zawołał o francuzkie i założył trzydzięci dukatów zapraszając do ponitki. Ja nie chciałem grać, ale poczęli żartować ze mnie, wyjąłem siódemkę stojąc, podsunętem i wołam— Banko!

Wygrałem. Miał z sobą jeszcze sto siedemdziesiąt dukatów w kieszeni, wyrzucił je na stół i mówi:

—Sto siedemdziesiąt dukatów nie tak łatwo zabić jak trzydzieści!

—Ja na tę samą siedemkę, wołam—Banko!

Wygrałem znowu; zsunąłem pieniądze i chcę kłaść do kieszeni, a wszystko to stało się w mgnieniu oka, stojąc. Dąbrowski karty tasuje i daje mi do zbierania, ja na to:

—Do próżnego stołu nie poniteruję.

—Januszpol w banku, odpowiada Dąbrowski.

—Proszę o krzesło, rzekłem, albo Januszpol wygram, albo wygrane dwieście dukatów przegram.

Całe towarzystwo nas ostąpiło, nikt się między nas nie śmiał wmieścić; postawiłem dwieście dukatów na kartę, wygrałem, zagiąłem parol, wygrałem sześćset, dalej na tysiąc dwieście i znowu wygrałem na dwa tysiące czterysta, i tom wygrał...

Dąbrowski pocił się prosząc ażebym mniej stawiał, nie chciałem; ztasował karty, jam zebrał, i znowu dalej na cztery tysiące ośmset, ale w tém żona i dzieci zaczęły go prosić, żeby nie ciągnął dalej, i zabastował.

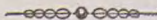
Dla ciekawości prosił mnie ażebym pokazał

kartę na którą stawilem, sprobowaliśmy i przekonali się, że i ta wygrywała. Taką summe pierwszy raz w życiu mojem wygrałem w kilkunastu minutach. Nazajutrz Dąbrowski zaproponował mi układ, byłem łatwy i przyjąłem od pierwszego słowa warunki jakie podawał; dał mi skrypt na sześćset dukatów i złotą tabakierę, lecz wymogłem na nim słowo honoru, że nigdy więcej w faraona grać nie będzie. Wielu mi wyrzucało, że ze szczęścia nie umiałem korzystać; gdyby pan Dąbrowski wygrał, mówili, nie takby pewnie łatwym był do układu; wołałem pozyskać przyjaciela i miałem go w nim do śmierci.

W roku przeszłym w jesieni zgorzał był dworzec ów kosztowny, o którym wyżej się mówiło, prawdę powiedziawszy z powodu nieostróżności pana Reszetowa, który na dole z tyłu małą drewnianą do ścian przypartą kuchenkę przyczepić kazał. Zajął się w kominie, ogień objął w jednej chwili wszystko, przystępu do niego nie było. Jam się wówczas znajdował na przewozie w Stanisławce, jadąc z Marcinem Bukarem do Żyto-
miérza, gdy się tam ogień pokazał. Nim wjechaliśmy do miasta gmach już cały padł na ziemię.

Ogień strawił nie tylko własność skarbową, ale i biédnego Reszetowa ruchomości; prócz garderoby i trocha rzeczy saméj pani, nie uratować nie było można.

Przez dwa tygodnie pożaru po lochach i suterenach ugasić nie zdołano, tlało w nich ciągle; kilka miesięcy potém ciągnęła się komissya dla wybadania przyczyn tak wielkiéj szkody, Reszetów zupełnie został uniewinniony, a Wołynianie spieszyli z pomocą dla niego, oddając hołd poczciwości tego człowieka.



XXIII.

Wybory roku 1805.

NA tych wyborach Marcin Bukar zaproszony został na marszałkowstwo żytomiérskie, ja zostałem chorążym. Rzecz była wielkiej wagi na marszałku gubernskim, i prezesach obu departamentów. Pan Korzeniowski zostawszy obrany marszałkiem owruckim, szedł na gubernskiego z największą forszą, poił, całował wszystkich serdecznie i nadskakiwał; za panem Worcellem była tylko prawość jego i enota, żadnego zresztą zapobiegania i starania. Mało bardzo znałem pana Worcella, przez tych lat trzy, może dwa lub trzy razy byłem u niego z wizytą, ani razu

na obiedzie ani na wieczorze, bo rzadko bywałem w Żytomierzu, żadne nas z sobą nie łączyły stosunki, lecz dobro powszechne domagało się tego, ażebyśmy wszyscy trzymali za panem Worcellem. Pan Korzeniowski mocno forsował, nadzieje nasze chwiać się zdawały.

Powiat Owrucki naówczas w szlachtę bardzo obfity, do stu trzydziestu krések mający, karmiony, pojony, wycalowywany, cały był za panem Korzeniowskim. Miałem w tym powiecie związki moje, przez stryja, przez brata, który wtedy właśnie został podsędkiem, wreszcie sam mając tam dziedzictwo, byłem także wyborcą.

Zaczęto wotować zrana, naprzód powiat Żytomierski: Bukar marszałek biorąc gałkę do ręki, króciuchno się przymówił w tych słowach do całej gubernii:

— Nie mam, odezwał się, żadnej do pana Korzeniowskiego prywaty, nie miałem w ciągu sprawowania przezeń urzędu żadnej sprawy, ale tu woła sprawa publiczna, cnota pana Worcella domaga się uznania; z czystego więc przekonania o obowiązku, daję głośną panu Worcellowi afirmatywę, a panu Korzeniowskiemu negatywę.

Trudno wyrazić, jaki to zapal wzbudziło w gubernii do tysiąca wotujących liezącej. Powiat Żytomiński stojący do wotowania, krzyknął jednogłośnie:

—Dziękujemy panu marszałkowi za dobry przykład i wszyscy pójdziemy za nim.

Jakoż nikt nie chybił.

Tymczasem Wacław Hański, Adam Kierzyński, Seweryn Zaleski, ja, daliśmy sobie słowo starać się w gubernii za panem Worcellem. W innych powiatach było łatwiej, ale Owrucki uparcie stał przy Korzeniowskim. Wotowanie dwónastu powiatów przeciągnęło się bardzo długo, pan Hański kazał przynieść do bufetu przy wyborowej sali pięćdziesiąt butelek szampańskiego wina, i mnie go powierzył. Zaprosiłem Owruczanów, jako ziomków moich, a owe pięćdziesiąt buteleczyn szampana mignęły tylko, musieliśmy resztę ponczykiem doléwać... Gdy na powiat Owrucki zawołano do wotowania, już wszyscy mi dać musieli słowo honoru, że będą za Worcellem. Bukar zastępował marszałka gubernskiego, Korzeniowski marszałek owrucki nie mógł sam gałek rozdawać, gdy na niego wotowano, a o-

prócz tego nie znajdował się nawet na sali, ja w kole zastępowałem żytomińskiego marszałka, dano mi gałki, rozumié się, że nikt nie chybił; wszyscy dali afirmatywę za Worcellem, a Korzeniowski ani trzeciój części wotów jego nie miał.

Co się działo w izbie i w bufecie, o wszystkim dowiedzieli się zaraz państwo Worcellowie, bo i sama była w Żytomiérzu, którój wprzód nie znałem. Nazajutrz pan Worcell rano przyjechał do mnie z wizytą, dziękując mi za interesowanie się, tém bardziej, żeśmy wprzód tak mało byli znajomi, prosił mi żebym poznał się z jego żoną i zawiózł mnie z sobą. Pani Worcellowa najpiękniejszego wychowania dama, pełna znajomości świata, jak najgrzeczniej mnie przyjęła i w sposób tak obowiązujący, że od téj wizyty dla obójga szczególną powziąłem przyjaźń: zaprosili mnie raz na zawsze, ażebym bywał w ich domu.

Józef Baczyński został prezesem pierwszego departamentu, książę Dymitr Czetwertyński, wybrany na prezesa do drugiego, rozjechaliśmy się z wyborów spokojni.

Od roku córka moja Emilia była w Karpowcach

przy pani generałowej Karwickiej, bośmy z tym domem byli w jak największej ścisłości i najlepszych stosunkach. Pani Karwicka szacowała i kochała moją żonę jak siostrę. Przy Wincentym Karwickim, synu ich, był guwernerem pan d'Ourlo francuz, człek bardzo zacny, a drugi do muzyki pan Konzendorf, więc, że się to tak dobrze składało, oddaliśmy tam Emilkę dla nauki. W tym roku pan d'Ourlo nagle jakoś umarł, upadła sposobność wychowywania naszej córki w tym domu, bo pani Karwicka decydowała się syna swego odwieźć do Wiednia. Nas zaś prosiła i zaklinała, abyśmy przez ręce jęj oddali Emilię do Warszawy na pensyą do panny Redele, wtedy naj-sławniejszą. Brała na siebie obowiązek sama ją odwieźć do Warszawy, installować, powierzyć, a myśmy mieli tylko za nią, po sto dziesięć dukatów rocznie wypłacać przez lat trzy trwania edukacyi. Wyjechała tedy ztąd pani Karwicka z córką naszą w końcu września, zawiozła do Warszawy, ulokowała u panny Redele, pół pensyi zapłaciwszy, a potem z synem udała się do Wiednia. Tymczasem w lutym następującego roku ze strony Francyi zaczęło się zanosić na woj-

nę grożącą Warszawie i całemu krajowi, pani Karwicka odebrała Emilią z pensyi i powróciła w marcu. Oddaliśmy więc córkę do Lubaru, do państwa Cousin, bardzo zacnych ludzi.

Żona marszałka Bukara zaczęła chorować, nie mógł więc sprawiać swojego urzędu i w końcu sierpnia zdał go mnie, a ja go całe lat trzy zastępowałem, sprawując nawet ten obowiązek w czasie wyborów następnych 1808 roku. Wyjechałem z końcem sierpnia do Żytomiérza, pani Worcellowa wybierała się do Litwy, do siostry swojej pani Kamińskiej, jak ona Tepperównę z domu.

Nim jednak wyjechała, dawaliśmy bal składkowy dla pana Worcella, ja byłem jednym z gospodarzy. Ułożyliśmy mundury przyjacielskie dla niego, frak szafirowy z pomarańczowym aksamitnym kołnierzem i łapkami, spodnie, kamizelka i guziki białe. Obwieściłem o tém wszystkim marszałkóm, zjechali się nawet z obywatelami dla uczczenia cnotliwego Worcella. Ja moje gospodarstwo honorowe złożywszy w ręce wszystkich marszałków, sam tylko kierowałem kuchnią, służbą i oświetleniem, a że byłem instrumentem te-

go wszystkiego, na mnie spływała wdzięczność. Przed miesiącem wyjechał z Żytomiérza poczciwy Reszetów, żalowany od całej gubernii, a tygodniem przed tym balem nadjechał książę Michał Iwanowicz Wołkoński z żoną, na gubernatora tutejszego. Oboje byli na tym balu, okazał się nam przystępnym, grzecznym, przyjacielskim, ale żywym i lubiącym zabawę. Po skończonym balu w dni kilka pani Worcellowa wyjeżdżała na Litwę do siostry, lecz przed wyjazdem oboje zapraszali mnie, abym u nich przyjął mieszkanie. Nie mogłem odmówić, dano mi na zawsze dwa pokoje, które zajmowałem w ciągu lat trzech, a ponieważ przez cały prawie ten przeciąg czasu siedziałem w Żytomiérzu, widziałem co się tu działo...

Do téj to epoki należy anegdotka o jednym znakomitym urzędniku, który wkrótce po swoim przybyciu w nasze strony, pojechał do Berdyczowa odwiedzić księcia Mateusza Radziwiłła. Książę przyjął go uroczyście i wystawnie, bawiono się, pokazywano konie, a gdy się klacz angielska wierzchowa bardzo temu panu podobała, książę ją ofiarował gościowi.

Nazajutrz poufnie zapytuje gospodarza obdarowany, co téż go wierzechowa tak piękna klacz kosztować mogła? Czteryście dukatów, odpowiedział książę. Dzień ten minął, aż rano przyszyła ów pan klacz nazad z prośbą o czteryście dukatów, pod pozorem, że księcia tak pięknego i ulubionego stworzenia pozbawiać nie chce.

W tymże czasie powracający z Wiednia książę Adam Czartoryjski zajechał do Żytomiérza i stanął u gubernatora; nazajutrz był na obiedzie, na którym byłem i ja, a osób ze czterdzieści. Zrobiono projekt odprowadzić księcia do stacyi Studenickiej, a ja z sobą miałem z polecenia księcia Wołkońskiego w sankach wino szampańskie wzięte u Polanowskiego, ale już w Studenicy książę pić nie chciał i cztery tylko butelki wysuszono.

Czacki starosta nowogródzki, obywatel wart nieśmiertelnój pamięci, zrobiony przez Cesarza Aleksandra Igo, instruktorem i naczelnikiem wychowania publicznego w tym kraju, wszystko poświęcił na to, żeby krzemienieckie gimnazyum przyprowadzić do jak najświetniejszego stanu; dokazał téż tego w krótkim czasie, że mogło emu-

lować z wyższymi zakładami wychowania, nie tylko w kraju, ale za granicą. Z niezmordowaną gorliwością zbierał na ten przedmiot ofiary, a prawdę powiedziawszy i większą część swojego własnego majątku na ten cel poświęcił. Wygrzebywał wszelkie fundusze zapomniane i zaniedbane, z pomocą Kommissyi edukacyjnój w Krzemieńcu ustanowionój i bez apellacyi sądzącój, co narobiło niepokoju i zamieszania w obywatelskich majątkach, ale przyniosło miliony na dobry i powszechny użytek.

W osiem miesięcy książę Wołkoński zmieniony został, a na miejsce jego wyznaczony Kom-burlój, głośny w dziejach naszój gubernii. Był to człowiek żywy, gorączka, charakteru nadzwyczaj nierównego i zmiennego, niespokojny, wiele przytém mający przymiotów dobrych. Znałem dobrze księżnę Wołkońską, która była Galicyn z domu; nie piękna, ale bardzo dobra, grzeczna i miła osoba, lubiła grać w bostona i często do partyj jój należałem, grywaliśmy szis po złotemu.

XXIV.

K o m b u r l é j.

W SIERPIEŃ przyjechał pan Komburléj, rzeczywisty radzca stanu, szambelan dworu, mający krzyż Ś. Włodzimierza klasy trzeciéj, naprzód sam tylko, bez familii. Byliśmy my u niego urzędniczy natychmiast, i nazajutrz zaprosił nas zaraz na obiad. Dano jedzenie po pańsku, wina wyborne, po obiedzie siedliśmy grać w karty, a że ja stałem u pana Worcella, oświadczył swą wizytę u mnie także, pana Worcella i mnie prosząc zawsze na obiady. Dom w którym stanął, skarbowy, był mały i ciasny, kupiono go po spaleniu dworca od sowiecownika Tarnaskiego; pan Komburléj przeniósł

się z niego do domu Korzeniowskiego, gdzie była szkołka żołnierska. W tém to mieszkaniu przyjmował już księcia Ypsylantego, hospodara wołoskiego, który uciekał z państwa swego przed stambułskim sznurkiem jedwabnym. Książę jechał z dwóma synami i zięciem, wioząc z sobą na osobnej teledze w dużej skrzyni kutój milion, jak mówiono, czerwonych złotych. Wszyscy ci panowie byli z brodami, w ubiorach wschodnich i zawojach. Kobięty ich, ubiory miały francuzkie. Cała ta rodzina sama tylko u stołu siedziała, my wszyscy staliśmy, pan Komburlėj i świta księcia Ypsylantego w drugim pokoju jadła. Traktowano tę familią jak monarszą. Karęty ich wysłane były równo bez ławek, siedzieli w nich na nogach po turecku.

W domu tym gdzie dziś dworzec skarbowy, przybudowano salę dwu piętrową, z wielką galerią dla muzyki i bufetem z jednój strony, z drugiej, dwónastą pokojami rozmieszczonemi w dwóch piętrach. Cały gmach wspaniale został umeblowany, i we dwa miesiące wszystko było skończone. Dano znać panu Komburlėj, że żona jego jedzie; wyjechaliśmy my wszyscy z panem Wor-

cellem przeciwko niej, a sama pani Worcellowa była w Słobódce. Tę wieś trzymali dla wygody pod Żytomiérzem marszałkowsstwo gubernii. Tu dany był obiad na uczczenie przybycia pani Komburlejowej, a na nim proszonych osób ze sześćdziesiąt. Z panią gubernatorową przybyła ich muzyka instrumentalna i śpiewacy, stu dwódziestu ludzi, usługa liczna, szesnastu lokajów, czterech kamerdynerów, kilku ogromnych hajduków, którzy tylko za karętą jeździli, zgoła dwór wielki. Zaczęło się w Żytomiérzu świetne życie. Dom Komburleja na stopie wielkiej, Worcella podobnie pański; książę Czetwertyński, który stał w domu siewietnika Czermińskiego na ulicy Wilskiej, przybudował ogromną salę, a wszystko to byli ludzie grzeczni, gościnni i kucharzów mieli dobrych. Gdy się zaczął karnawał, u Komburleja obiad wielki i bal w niedzielę, u Worcella bal we wtorek, u księcia Czetwertyńskiego we czwartek. Dodajmy, że téj zimy Żytomiérz przepelniony był przyjezdnymi, pani Naryszkinowa Czetwertyńska z domu, Paweł Bieliński stryj tego co w Trojanowie, Władysław Chołoniewski, książę Kaziemiérz Lubomirski, Jan Tarnowski, może trzy-

dziestu młodych i bogatych bawili tu ciągle. Wszyscy dawali pyszne śniadania, człowiek biedził się tylko z wyborem dokąd iść. Co kilka dni przywożono ostrygi z Odessy, nawieziono sérów szwajcarskich, śledzi hollenderskich, surowej wiziny, jesiotrów, sterletów i t. d.

Pan Komburlój zawsze był bardzo rad, kiedy do niego na obiad przychodzili nieproszeni, a jadł punkt o drugiej. Raz zebrało się nas czterdziestu kilku i poszliśmy o samą drugą godzinę, w chwili gdy już do stołu siadać miano. W małej sali przechodniej nakryto było może na osób dwadzieścia w téjże chwili podano dla nas wódkę i drzwi się otworzyły do wielkiej sali, w której stół więcej jak na sześćdziesiąt osób był gotowy. Obiad był bardzo dobry, z deserem, a Komburlój w doskonałym humorze.

Przyjechała matka pani Komburlejowej, generałowa Chruszczow, z dwiema córkami z drugiego małżeństwa; panny nie bardzo piękne, ale grzeczne i dobrze wychowane, po niej pani Worcellowa z siostrą swoją panią Kamińską i t. d. i t. d. Mieliśmy pana Worcella najpoczeiwszego z ludzi,

który enoty nie definiował, ale ją doskonale pełnił, księcia Dymitra Czetwertyńskiego męża równie czei godnego, opiekunów obywatelstwa, ale i sam gubernator, można powiedzieć, był w ciągu tych lat trzech takim, że lepszego życzyć sobie nie można.

Ja u nich obójga miałem dosyć zachowania, należąc do wszystkich poufanych ich zabaw, maskarad, spacerów, chrzcin i t. p. Gry niesłychane bywały u Komburleja w bostona i wista, od dwóch złotych do rubla srebrnego za fisz, po ośm stolików a czasem i więcej codziennie zastawiano, dość powiedzieć, że z opłaty od kart, za które od dwóch talij złożonych płacono po trzy ruble srebrne, a zmieniano je co trzy robry, służba Komburleja, odtrąciwszy wydatki na świece do stolików, marki i t. p. miała w rok dwaście tysięcy rubli srebrnych do podziału.

Pan Worcell dzień i noc grywał w bostona i u siebie i gdzie tylko był, ale zawsze przegrywał; pasyą miał wielką i nieszczęście osobliwsze. Grywał i w faraona w początku gdy u nich stanął, ale widziałem, że go przyjaciele otaczający na pewno ogrywali, razem z żoną nastalem na

niego, że musiał dać słowo iż więcej grywać w faraona nie będzie. Książę Czetwertyński grał także, ale grał dobrze i często bywał wygrany. Przyjeżdżali do Żytomiérza i bawili tu dłużej krócej, książę Mateusz Radziwiłł z Berdyczowa, Dąbrowski z Januszpola; siadali z razu do dużej gry, ale prawie zawsze schłostani, powracali do domu po pieniądze, by je zebrać i przegrać znowu. Książę Poniński zawsze u siebie faraona zakładał, ale ja w tę grę nie grywałem zwykle. Raz tylko był taki wypadek: siedzieliśmy przy kolacyi u Komburleja, Czetwertyński, Poniński, Bieliński Paweł, Wyleżyński Jan, Władysław Chołoniewski i ja razem. Komburléj, który nie siedział u stołu przyszedł pokazując nam małą butelkę wina z gatunku który posłał do dworu; był to maślacz dobry, ale nie dość wytrawny, chwaliliśmy przecie.

—Ale ba! szepnął Poniński, jedźcie no do mnie, ja wam pokażę wino.

Pojechaliśmy, dał prawda dziwnie dobre, ze swywoli wypiliśmy go po szklance, lby się zamoroczyły, dalejże po drugiej. Poniński na stół

kazał wysypać trzy tysiące rubli srebrem, i ciągnie bank.

Książę Czetyrtyński bardzo mając w głowie zaczął poniterować grubo, tak, że odsuwając od banku przegrywał już dwa pełne rondelki, ale w tém upadł z krzesła zamoroczony i jak nieżywego zawieźli go do domu. Wyleżyński Bieliński Paweł i ja zostaliśmy. Wyleżyński grając na krédkę i nie żałując sobie przegrał trzy tysiące rubli srebrnych, za co go potem zatradowano, Bieliński dwieście dukatów gotowych, które miał przy sobie, ja na gotówkę ostrożnie grając, wszystkie kieszenie naładowałem, trzysta kilkadziesiąt rubli wygrałem, i więcej już nigdy do faraona nie należałem.

Gdy Komburlój przyjechał do Żytomiérza, z nim prawie wszystkich urzędników zmieniono; przybył nam jeden, którego nie wymieniam, pocieszny, lichój ekstrakcyi, ale dumny ze swego stopnia, tak, że się w skórę nie mieścił, i przyszła mu zaraz na wstępie dzika myśl zrobienia statystyczno-obyczajowego opisu gubernii wołyńskiej. Cóż to się zrobiło osobliwszego, nakształt opisu Hotentotów lub nowo odkrytego jakiegoś świata,

tak tam pociesznie wyglądały obyczaje i życie nasze, w sposób szyderski a głupkowaty, ze złością a nierozumem oplwane. Głośną była awantura jaka z tego powodu spotkała pana R..., który o mieszkańcach Wołynia tak niekorzystnie się odezwał; przejeżdżając bowiem późno w nocy do domu, który zajmował za domem Józefa Zaleskiego, napadnięty został przez jakichś nieznajomych, którzy wywlokłszy go z sani, srogą mu dali admonicę sposobem mocno przekonywającym, po sto razy podobno powtórzonym. Były też wierszyki pana Szymona R... z tego powodu, bardzo trafne, których żałuję, że sobie przypomnieć nie mogę.

Pan Komburlej w tym roku w jesieni, za pozwoleniem N. Pana, przyjął od szlachty wołyńskiej tabakierę złotą kameryzowaną brylantami, z napisem brylantami także wysadzany:

Volhynia grata recto Custodi legum
Michaelo Comburlejo.

Kosztowała ona do pięciu tysięcy czerwonych złotych, na które z największą ochotą, od największego do najmniejszego wszysej się składali.

W tym czasie byłem naznaczony imiennym

Ukazem za członka do kommissyi ustanowić mającej dochody i rozehody miejskie, tudzież wypłaty długów miasta. Ja przydowałem, zasiadali w niej dwóch sowiećników i dwóch mieszczan; z urzędowaniem mojem skończyła się ta kommissya.

Wszczynała się wielka burza na króla pruskiego od Napoleona. Cesarz nasz, jako aljant, sposobił armiją ku granicy, ztąd wypadło w gubernii wołyńskiej przygotowania magazynów. Przyjechał senator Worcell przedsiębiorąc zawiązać spółkę i wziąć te magazyny na obywateli. Uformowała się kompania, dwóch Worcellów, senator i marszałek, książę Czetwertyński, Marcin Tarnowski, Marcin Bukar, Baezyński, Poniński czyniący przez Józefa Zaleskiego, Dąbrowski i ja. Zboże płaciło się dosyć drogo, ale ceny urzędowe nie były wielkie; nie mając na tedy tyle dusz ile ich potrzebowałem za część moją dać w assekuracyą, bom miał tylko Sidaczówkę i Medwedówkę, dostałem od księcia Dymitra Czetwertyńskiego dwieście pięćdziesiąt. W towarzystwie byli ludzie majątni i życzący mi zrobić dobrze, dano mi więc magazyny Zasławskie, Kon-

stantynowskie i Łabuńskie w położeniu chlebném i w kraju z całej gubernii najtańszym, resztę zaś rozebrali pomiędzy siebie. Osiemdziesiąt pięć tysięcy rubli, trzeciej części zadatkowej summy wypadło na mnie, a assygnaty stały wówczas po siedemdziesiąt pięć za sto. Wziąłem się zaraz do roboty, pojechałem do Konstantynowa najpierw, gdzie stał generał Siewers chcąc pieniędzmi pułki zaspokoić. Tu okazało się, że trzeba było do czteretni z kieszeni po dwadzieścia pięć kopiejek dołożyć, aby skupić lub podrad zaspokoić gotówką; ruszyłem do Ostrogu do żyda Abła Ostrońskiego, który w podradach bywał, ten zażądał po czterdziestu kopiejek do czteretni, w Łabuniu toż samo lub blisko tego, rozpacz brała boby mi wypadło do pięciudziesiąt tysięcy dołożyć z kieszeni.

Powróciłem do domu zgryziony, zmartwiony i niesłychanie niespokojny, wtém przed samemi kontraktami przyjeżdża do mnie pan Czajkowski z propozycją abym mu moje magazyny ustąpił. Niedługom się namyślał i korowodził, w chwilę skończyliśmy za dwa tysiące rubli i Bogu podziękowałem, że mnie wyratował. Pojechaliliśmy do

Żytomiérza, gdzie się wszystko oficjalnie zrobiło, kompania uwolniła mnie od odpowiedzialności, chociaż imie moje zostało w niej. Tymczasem wszyscy razem i każdy z osobna wiele bardzo na podradzie stracili. Dąbrowski i Poniński, w którego imieniu za kaucyą robił Zaleski interes, blisko po sto tysięcy utracili, Bukar majątkiem przyplacił, użył niejakiego Stróżewskiego do dyrekeyi, nie bardzo sumiennego człowieka, ten mu urwał więcéj niż na pięćdziesiąt tysięcy, a prawdziwój straty było do sta tysięcy. Kompania jednak dostawiła prowiant rzetelnie i reskrypt zadowolenienia monarszego otrzymała.

Worcell senator wielką miał głowę przemyślową, rozum przebiegły, znajomość świata znakomitą, ale na ten raz się pośliznął.

Sama pani Komburléj przystojną była bardzo osobą, z domu Kondratjew, wniosła mężowi do sześciu tysięcy dusz, skromna, fizyognomii przyjemnej i melancholicznej, co ją czyniło zajmującą, dla wszystkich grzeczna, ale polek nie lubiła, bo posądzała, że jój męża bałamuca. Może i miała słuszność, gdyż wszyscy wiedzieli o pani W..., która miała ze sto tysięcy kosztować.

Dla rozrywki, pani Komburlejowa lubiła grać w faraona, miała kilka osób do swojej partyi; zakładano zwykle sto rubli assygnacyjnych, które albo wygrywała albo swoje przegrała drugie tyle, jak najczęściej się trafiało, i na tém się kończyło. Najzaciejsza to była dama, w żadne interesa nie mieszająca się nigdy i nie chcąca na nic mieć wpływu.

Z wiosną rozpoczęła się wojna, Francyi z Prusami. Cesarz Alexander Iszy wyjechał do Berlina, dni kilka po drodze bawił w Puławach, oglądał tam przez książąt Czartoryjskich założony zbiór starożytności i pamiątek dawnych w świątyni tak zwanéj Sybilli, gdzie błogosławione imię jego czytalem zapisane w księdze, odwiedzając to miejsce w roku 1811. Z jego daru był dach z jednéj sztuki szklany za pokrywę pięknej budowie służący. Wylany był na fabrykach rządowych i przysłany kosztem Cesarzkim do Puław.

Z tych prowincyj ruszyła młodzież do wojska, a Żytomierz został z niéj zupełnie ogołocony; znajome są fakta téj wojny, która z piorunującą szybkością była prowadzona. W kilka tygodni, Prussy ze stolicą i fortcami zostały przez Francuzów za-

jęte, król schronił się do Królewca. Wpuszczono do części dawniej Polski pięć do sześciu tysięcy legionistów, wzmocnionych nowemi w kraju zasilkami, a armija pruska i austryacka zostały lub pobite lub z kraju wygnane. Arcyksiążę Ferdynand w czterdzieści tysięcy wojska od Warszawy do państw swych dziedzicznych, przez stosunkowo szczupłą garść był zmuszony ustępować. Cała Galicya z wojsk austryackich została oczyszczona, a we Lwowie rząd tymczasowy ustanowiony, gdzie w radzie zasiadał i Hilary Siemianowski brat żony mojej, za co przy powrocie władz austryackich rangę konsyliarza stanu i miejsce utracił. Wojsko zostające pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, równie jak naczelnik jego, dało dowody męstwa i niepospolitych talentów wojennych. Pokój Tylżycki niby uspokoił Europę, a skutkiem jego powstało księstwo Warszawskie, z panującym w niem królem Saskim. Zaraz z początku téj wojny, tym co byli wyszli z kraju powracać kazano, i na majątki ich sekwestr nałożono; przy zawarciu traktatu w Tylży, amnestya pokryła wszystkie winy, ale młodzież została w wojsku polskim naówczas usta-

nowioném, i stale utrzymującym się pod dowództwem księcia Józefa.

Późną już jesienią roku 1807, kupiłem u Karwických czyli raczój u niój samój, z mocy plenipotencyi przez męża jój wydanój, czyniącej, Wolice na którój zastawę miałem, za ośm tysięcy czerwonych złotych, aleśmy zaraz nie zrobili transakcyi. Pojechałem na święta do Bratałowa, do państw Jukowskich, kiedy trzeciego dnia list odbieram od pani Karwickiej, że pani Miaczyńska dała za Wolice dziesięć tysięcy czerwonych złotych i odstąpiła dwadzieścia jedna włók gruntu z dawnego używania, proszący, ażebym nie miał za złe, gdy im się sześćdziesiąt tysięcy na tém zarobić trafia. Dodała, że spodziewa się, iż przez przyjaźń dla nich, będę ją miał za wymówioną, że więćej dającemu pierwszeństwo ustąpiła; a transakcyja już zawarta i ośm tysięcy czerwonych złotych wziętych zadatku!

Prawdę rzekłszy, pani Karwicka miała powody i mogła się uniewinnić; alem się okrutnie obraził, bo mi się wszystkie moje układy zupełnie przez to zwichnęły... Działem między rodzeństwem dopełnionym, Sidaczówkę oddałem bratu

mojemu Marjanowi, zostawała mi tylko wioseczka w Mińskiem, Medwedne, ale gdzież się tam tak daleko przenosić i przewozić. Pojechałem na kontrakty 1808 roku, był Wincenty brat mój ze mną, sprzedałem i Medwedne, za które dostałem pięćdziesiąt tysięcy, odebrałem od Krzysztofa Karwickiego trzydzieści dwa tysiące, od Chodkiewicza dwadzieścia, z zastawy sto dwadzieścia, prócz tego z rewersu u Janostwa Karwickich dwanaście tysięcy, ale zgromadziwszy pieniądze, nie było co robić z niemi. Były na sprzedaż Halijówka i Wysoka Grobla, ale już nie chciałem wchodzić w czynność z panem Stanisławem Karwickim, który te interesa robił z panem Krasuskim. Tymczasem przyjeżdża do mnie pan Krzysztof Karwicki, i namawia na kupno Halijówki, wymówiłem się grzecznie, że raz już nie dobrze ze mną skończono, drugi raz próbować nie mam ochoty. Zaprosił mnie do siebie, pojechałem z panem Duninem i kupiłem za dwakroć czterdzieści tysięcy, a do dwóchset czerwonych złotych dałem porękawicznemu panu Stanisławowi i matce. Gdym powrócił do domu, uważałem, że żona kontenta była z Halijówki.

Pani Karwicka przyjechała do nas, przeprosiliśmy się, a dawna harmonija między nami powróciła.

W czasie tych kontraktów przejeżdżał przez Kijów do Petersburga pan Komburléj, bawił dwa dni. Zrobiliśmy na prędcie składkę i daliśmy dla niego za Dnieprem w Kraśnym kabaku śniadanie, które więcej dwóchset dukatów kosztowało. Marcin hrabia Tarnowski był gospodarzem, pijatyka była ogromna, żegnał się z każdym z nas czule i serdecznie.

Po kontraktach na nowo musiałem zastępować Bukara, bo żona jego chorowała, a podradowe interesa go męczyły. W marcu powrócił pan Komburléj, zjechaliśmy się zaraz wszyscy do niego, chociaż znacznie znaleźliśmy go zmienionym i daleko mniej przystępnym.

Nadeszły wybory, ja zastępowałem na nich marszałka, pan Worcell nie życzył sobie dłużej być marszałkiem gubernskim, w powiecie obrano Felixa Zaleskiego na marszałka, dawszy wprzód miejsce Bartłomiejowi Giżyckiemu dążącemu do gubernskiego marszałkowstwa. Ja usunąłem się od urzędowania, chorążym został Mikołaj Bu-

dzyński, sędzią Michał Trypolski, Bartłomiej Giżycki tak jak pewien będąc, że się utrzyma, wszelkich zaniedbał starań, gdy nagle już przy wotach stanął z nim w zawody pan Gostyński i przekręskował go. Można sobie wyobrazić co się działo z Giżyckim.

Prezesem pierwszego departamentu został pan Mołodecki, a drugiego pan Baczyński; tu trzeci raz przekręskowany został Dąbrowski. Mołodecki bardzo prędko za urlopem wyjechał do Petersburga, rok tam bawił i usunął się; kazano miejsce jego zastępować Dąbrowskiemu. Na tém urzędowaniu pokazał się ze zdolnością i znajomością rzeczy, i z największą bezinteresownością, poprawił nieład jaki tu panował i postawił departament na bardzo dobrym stopniu. Józef Zaleski zostawszy deputatem, réj wodził i rozporządzał się jak chciał w drugim departamencie.

Marszałek gubernski uległ i stał się posłusznym Komburlejowi; blisko lat dwa nie sprawiał urzędu, zastępowali go marszałkowie żytomiersey, Zaleski, który prędko jakoś umarł, Czaj-

kowski także wprędee zmarły i Zawisza na ewierc roku przed wyborami. Pan Worcell, który teraz przestał być marszałkiem, majątek, zdrowie, czas poświęciwszy dla dobra ogółu, zdziwiwszy i admiracją obudziwszy cnotami swemi, źle został nagrodzony. Cierpieć musiał od tych, których karmił, poił i protegował, pozwalał im się ogrywać i przyjmował ich przyjacielsko, na czele téj partyi był J..., o którym niżej obszerniej będzie. Pani Worellowa była już w wieku, w którym wdzięki opuszczają, lecz miała cnoty nagradzające sowiec brak piękności, wychowanie wyborne, rozum wielki i uprzejmość dla wszystkich niewyzerpaną. Miło mi tu słuszny hołd oddać temu małżeństwu dostojnej pary zaenych ludzi, których przyjaźnią i ufnością się szezycielem. Pan Worcell otrzymał rangę radzcy tajnego, ale pięć tysięcy dusz w urzędowaniu stracił.

Sielski był sekretarzem za M... i w tym samym obowiązku pozostał przy Worellu, bardzo sposobny człowiek, choć tam różnie o sumieniu mówiono. Mogę powiedzieć, że i ja nie byłem bez wpływu, bo wszystkie ważniejsze korrespon-

dencye za moją radą i wiadomością się ułatwiały..

Przez ciąg tych lat trzech rzadko bywałem w Żytomierzu, spraw nie miałem żadnych, a z policyą powszednie kłopoty sam starałem się załatwiać. Wziąłem się szczerze do gospodarstwa, nie żałując pieniędzy, pobudowałem cegielnię, wapienię, sprowadziłem materjały na dom murywany i rzemieślników potrzebnych, zapomagałem ludzi w chudobę, której bardzo zastałem mało. Mieliliśmy dobre i przyjemne sąsiedztwo, bawiliśmy się wesoło i czas przechodził. Jeden tylko wypadek zakłócił spokojność naszą w tém trzechleciu. Józio i Antoś synowie nasi byli w wieku dzieciennym, jeden miał pięć, drugi lat sześć ledwie. W czasie poobiednój kawy siedzieliśmy w pokoju mojej żony, dano dziecióm rosół, oba siedzieli przy nogach matki i bawili się ochoczo, Józio oddawszy swój rosół pieskom, sam ogryzał kureczę, gdy jedną razą zawołał:

— Mamo, ratuj!

Uchwycił matkę za szyję i główkę zwiesił, kobiety wypadły z garderoby, oderwały go od mat-

ki, krew się ustami i nosem rzuciła, ale już duszy nie było.

Nastąpiły wybory 1811 roku, pomagałem szczerze Dąbrowskiemu do przesowstwa drugiego departamentu, od którego trzy razy odpadł przekręskowany. Szedł z nim w zapasy Baczyński, który miał znaczne stronnictwo posiłkowane przez Pinińskiego i Józefa Zaleskiego, coraz większe mającego wpływy. Został marszałkiem gubernskim Wacław Hański, pierwszego departamentu Nepomucen Trypolski, drugiego Dąbrowski, tak dalece przekręskowawszy przeciwnika, że półowy afirmatyw nie miał. Seweryn Zaleski został marszałkiem żytomiérskim, Eligi Piotrowski pierwszy raz wchodzący w obywatelstwo, na deputata do drugiego departamentu był wybrany. Wszyscy ci mężowie wielkiéj byli zaerności, każdy z nich z pochwałą spełniał wzięty na siebie ciężar. Pan Piotrowski bardzo naówczas młody, począł był emulować z Dąbrowskim i z tego powodu wszczęły się nieporozumienie, które ja wezwany przez niego z łatwością zbliżając ich obu usunąłem. Był wybrany na deputata Józef Zaleski także, o którym osóбно.

Zawiesiwszy tymczasem dzieje prowincyi naszej, wprowadzę czytelnika do księstwa Warszawskiego, tego ogryzka i szczałka niegdy silnego kraju, który dziwacznie bardzo i kuso wyglądał.



XXV.

Księstwo Warszawskie.

PAN Stanisław Karwicki, od roku 1808 bawiąc w domu naszym, przedsięwziął ożenić się z panną Weroniką Jukowską, późniejszą żoną swoją, którą poznał w Bratałowie, gdy u stryjostwa z rodzicami była. Matka jego, Eleonora z Moszyńskich Karwicka, mieszkała w dobrach sytuowanych w ówczesném księstwie Warszawskiem, w Departamencie Radomskim, w Chibicach. Karpowce i Wołosówka były wypuszczone dzierżawą, Bejzyrówka tylko wolna. Stanęły łatwo układy o ożenienie, potrzeba więc było dział for-

tuny zrobić między bracią, a matka ją im właśnie dymittowała.

Do tego tedy działu matka i bracia mnie zaprosili, wyjechałem z panem Stanisławem w środku sierpnia mając z sobą moich sześćset dukatów, a w monecie osiemset złotych. Przybyliśmy do Chybie, zaczął się ten dział, który robić było potrzeba z wielkimi obrzędami podług kodexu Napoleona w tym kraju obowiązującego, wedle którego rada familijna robi postanowienie, a w niej trzy osoby z linii ojczyściej, trzy z macierzystej zasiadać powinny.

Tam poznałem pierwszy raz pana Dobrzańskiego szwagra pani Karwickiej, który z mecenasa, do dziesięciu milionów fortuny się dorobił, ale ta po jego śmierci zaraz się rozsypała. Panna Ignacego Moszyńskiego hrabiego, brata pani generałowej Karwickiej znałem był dawniej, a żonę jego pierwszą, Remiszewską z domu, tudzież innych krewnych państwa Karwickich wtedy dopiero popoznawałem. Przez ośm tygodni dział się ten kleił, któremu pan Dobrzański stawiał silnie na przeszkodzie, nakoniec przecie przyszedł do skutku, podpisały go strony, familija i

przyjaciele. Działem tym dobra w naszym kraju dostały się Stanisławowi, a Chybieczyzna Wincentemu. Z małą alienacją potrzeba było dział ten aktykować (oblata) w aktach trybunału departamentowego, pojechaliśmy do Radomia, gdzie był trybunał. Tu nowe ambarasy i trudności, potrzeba opinii czterech przysięgłych, adwokatów, opinii prokuratora królewskiego i rezolucyi trybunału; musieliśmy z temi ichmościami robić znajomości. Ułatwił nam je pan Rogujski, który był konsyliarzem departamentowym;— dał wieczór zaprosiwszy nań prefekta Nepomucena Małachowskiego znajomego mi dobrze jeszcze z Warszawy i wszystkich urzędników departamentowych. Złożyliśmy radę z mecenasów zaprosiwszy ich na obiad do restauracji i napoiwszy dobrze, za konferencyą po dziesięć ofiarując dukatów. Trzy dni oni pisali, tymczasem zaznajomiliśmy się z panem Maj prokuratorem królewskim, z panem Popielem prezesem trybunału i z nim zasiadającami. Bywali u nas na obiadach, my u nich, ja już do poufałości z niemi powoli przyszedłem. Idzie dzieło do pana Maja, trochę go przetrzymał, ale porozumiawszy się ze mną, wątpliwo-

ści prawne które znajdował wprzód, usunięte zostały; poszło do trybunału, i makiem w nim siedło: rezolucyi ani widać. Wreszcie zainformowany przez pana Maja, jak sobie miałem postąpić, i tu usunąłem wszelkie trudności. Skończył się wreszcie w Radomiu interes, alem ztąd wywiózł nie wysoką opinią, o stanie moralnym księstwa Warszawskiego.

Cheiałem być w Warszawie, i widzieć znowu starą stolicę, dla mnie pamiątkami młodości tyle drogą—*sed quantum mutata ab illa!* Wszędzie jeszcze niezatarte trwały ślady 1794 roku i wojny 1808, ściany postrzelane, domy w znacznej części pustkami stojące, gmachy i pałace poopuszczone, mieszkańcy smutni i ubodzy. Stanęliśmy w Saskim pałacu, w prawej oficynie, którą restaurator Zrazowski trzymał; mieliśmy cztery pokoje dla siebie, jeden dla ludzi, wozownię na powóz, i płaciliśmy trzy złote na dobę. Dla tego o tém piszę, abym dał wyobrażenie ubóstwa miasta i braku ruchu i życia.

Wojsko tylko polskie nowo utworzone pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego, swoją posta-

wą i szykiem piękną czyniło nadzieję przyszłej organizacyi; wojsko to codziem widywałem na placu Saskim robiące musztrę i różne ewolucye. Dwór natenczas był w Warszawie, widziałem króla Saskiego, królowę i infantkę, której dawniej tron ofiarowano. Jeździli oni codziem na przejażdżkę po mieście, w odkrytym na pasach, bez resorów koczując; widywałem ich i w kościele Śgo Jana w łoży niegdyś Stanisława-Augusta. Naówczas już w Warszawie głośno mówiono o przygotowującej się wojnie rozpoczętej w roku 1812, lecz cały ten kraj, biedne księstwo Warszawskie głębokimi wydał mi się obarczony ranami fizycznie i moralnie. Szukałem po Warszawie dawnych moich znajomości, ale wiele z nich przeniosło się do innych krajów, lub wymarło, i majątki potraciło. Domy możne kupieckie Jarzewicza, Dawidsona, Gasła, Tykla, Herynga, Manugiewicza, wszystkie albo powymierały lub popadały, i powynosiły się. Ogromne owe magazyny za moich czasów zarzucone towarami stały puste, ledwie kilka sklepów na miodowej ulicy i Krakowskiem Przedmieściu oznajmywało, że to było miasto i stolica; żydzi tylko włóczyli się

hurmami, atakowali przechodzących, nachodzili ich mieszkania, żeby coś sprzedać lub na czém oszukać. Dawniej na Pocijowskiém jak za klauzurą siedzieli, a w epoce, o której piszę, po całej Warszawie jak mrowie ten rodzaj bezecny się rozpostarł. Bywałem u księcia Józefa Poniatowskiego, nim do Jabłonnój wyjechał, jakem o tém powyżej wspomniał, było w wojsku dosyć znajomości, nie tyle z dawnych jak ze świeżo z prowincyj naszych przybyłych szlachty. Dwa tygodnie strawiwszy w przypomnieniach czasów ubiegłych, rozrzewniających, ze smutkiem przypatrzwszy się terazniejszości, która nie dobrego nie obiecywała, wyjechalśmy karétą poczwórną, którą kupiłem za dwieście czterdzieście dukatów. Wracaliśmy na Lublin, w Lublinie prawie nikogo nieznalazszy znajomego prócz pani Nikorowiczowój i dyrektora policyi Ciemniewskiego, towarzysza młodości mojej w témże mieście ubiegłej, obszedłszy smutne i puste ulice, niegdys tak drogie sercu mojemu, wyruszyliśmy dalej i przed Bożém Narodzeniem stanąłem w domu.

Euzebi Siemianowski brat mojej żony był pułkownikiem i komendantem pułku pieszego, stał

w Poznaniu, chciałem być u niego, ale tyle tygodni podróży, expensa, sprawunki, bytność w Warszawie, tak pieniądze wyszastały, że mi reszta ledwie do granicy wystarczyła. Pan Owsiany, który miał za sobą Mochelskę podratował mnie trochę, szczęściem trzymał nad granicą wioskę od pana Moszyńskiego i tam się u niego zasposobwszy, miałem o czém dociągnąć pod strzechę.



XXVI.

R o k 1 8 1 2.

POWRÓCIWSZY do domu zastaliśmy armiją ośmdziesięcioletnią jenerała księcia Bagrationa, rozłożoną w Wołyńskiej gubernii. W Cudnowie stał jenerał Savoini, z którego komendy zwód był jeden w Halijówce, a komendant tego zwołu major Szaber kwaterował w Karpowcach. Zrobiłem znajomość z panem Savoini i Szaberem, bywali u nas, i temu winienem spokojność, bo mi w początku kapitan, polak pan Ojżyński, robił przykrość. Jenerał Savoini przeniósł go gdzieindziej, postoju ulżył, a u mnie postawił protopój-junkra, bardzo spokojnego człowieka, który wkrótce został oficerem.

W wigilią świąt przyjeżdżał do nas pan Antoni Moszyński, brat Karola, który się starał o córkę moją Emilię. Karwicki, który u nas bawił ciągle, bo od trzech lat miał w oficynie swoje odrębne trzy pokoje, chociaż Moszyńskiemu dawano inne mieszkanie, wziął go do swojej kwatery.

Przychodzę rano do nich i zastałem ich obu w łóżkach, w jednym pokoju, a kozaka pana Moszyńskiego rozciągniętego na kanapie pijącego kawę i trzymającego lulkę w gębie; nie podobała mi się ta równość i krótko zabawiwszy wyszedłem. W kilka minut potem Karwicki z Moszyńskim przyszli do mojego pokoju i śmiejąc się odkryli, że kozakiem tym mniemanym jest kapitan Janiszewski, przybyły tu z księstwa Warszawskiego za interesami własnymi, który przez czas jakiś musiał się tajić, dopóki papierów potrzebnych nie otrzymał. Dopierośm zrozumiał tę ich poufalskość i nie wchodziłem więcej w powody tego postępowania.

Moszyński i Karwicki namówili mnie później, żebym dał bal dla generała Savoini i korpusu oficerów, na którym i oni byli: zabawiliśmy się wesoło.

Później pan Savoini nas wszystkich zaprosił do siebie do Cudnowa, nie wyjmując Moszyńskiego,

gdzie także dobra pijatyka była. Ztąd Moszyński udał się z Janiszewskim dla interesów do Kijowa, ja i Karwieki pojechalśmy także z Adamem i Kajetanem Jukowskiemi i razem staliśmy.

Wiosną otworzyła się wojna owa sławna 1812 roku, o której szérzej historya owych czasów powie. Napoleon oparł się aż w Moskwie, zkąd go pożar, głód i mrozy wypędziły nazad do Paryża.

Powiedziałem wyżej, że w opisy historyczne tych wojen nie myślę się wdawać, zostawiam to poważniejszym piórom, które ku temu otwarte mają źródła wiadomości, i lepiej całość objąć potrafią. Skończyła się wyprawa szczęśliwie dla Cesarza Alexandra, tak w bojach jak w traktatach, a ustalony po długich walkach pokój, do dziś dnia winna mu Europa. Nie mogę jednak odjąć sobie téj przyjemności, bym nie oddał hołdu słusznego obronie Rosssyan. W dziejach świata świecić będzie ów wspaniały i straszny obraz pożaru Moskwy, którego sprawca Roztopeczyn, zapierał się jak grzechu. Jenerał Roztopeczyn począł od własnego mienia dzieło zniszczenia i obrony; gdy armija francuzka zbliżała się do Moskwy, i miała przechodzić przez wieś jego zwa-

ną Woronowa, całą murowaną, w której było dwieście pięćdziesiąt mieszkańców płci męskiej, pałac murowany dwu piętrowy, mozajkowy, pyszne ogrody z oranżeryami i trejbhauzami, zgoła wszystko co dla wygody i przyjemności wymyślić można i z wielkim zaprowadzić kosztem—rozkażał ludziom wszystkim przenieść się do innych dóbr swoich za Moskwę, a sam swoją ręką podpalił pałac, ludzie zaś resztę wioski. Francuzi, wszedłszy do Woronowej zastali tylko gruzy i popioły, a gdzieśniedzie zwaliska niedotłałe jeszcze; w miejscu gdzie stał pałac był następujący napis:

— » Ośm lat starałem się przyozdabiać ulubioną wioskę, niegdyś gniazdo ojców moich i własne, byłem w niej szczęśliwy ja i jej mieszkańcy, za zbliżeniem się waszém Francuzi, wieśniacy opuścili swoje zagrody, i ja ze łzami w oczach własną ręką podpaliłem dom mój, aby go nie skalała obecność wasza.»

Napis ten był po francuzku; z wioski swojej Roztopczyn pojechał do Moskwy, gdzie zwoławszy najmajątniejszych mieszkańców, objawił im, że dla ratunku całego kraju, potrzeba poświęcić stary gród i jego pamiątki, a gdy się na to zgodzili, on

sam pierwszy pod swój pałac wspaniały podłożył ogień, za jego zaś przykładem poszedł każdy z właścicieli i zgorzały nie tylko budowy, ale sklepy i magazyny z towarami, prowijanty, furaże, chleby, zapasy. Szkoda prywatnych osób przechodziła milijony, ale i armija francuzka poniosła ogromną, zostając ogłodzoną i bez przytułku.

Z końcem jesieni, Bonaparte wyszedł ze spalonej Moskwy, ale ścigająca go armija rossyjska wszędzie szarpała wojska jego; nastąpiły niesłychane mrozy, które do reszty przygnębiły Francuzów; przeprawa przez Berezynę kosztowała tysiące ludzi; tam dostał się w niewolę Euzebi Siemianowski, brat żony mojej, a pułk jego został rozbity. Zgoła, w dniu dwudziestym piątym grudnia na Narodzenie Pańskie, Rossya nie miała już nieprzyjaciela na ziemi swojej. W gwałtownej rejteradzie wojsk francuzkich, pod Lipskiem, zastaniając ustępującą armiję, zginął w Elsterze nieodżałowany rycerz i wódz książę Józef Ponia-towski, tak z talentów swych jak z charakteru osobistego znakomity. Na tém kończę wspomnienie o wypadkach wojennych i wracam do prowincjonalnych dziejów Wołynia.

Jenerał Komburléj zawsze stał na czele, mianowany senatorem, okryty orderami S. Anny pierwszój klasy, S. Włodzimierza drugiej, z rangą tajnego radcy, władał na prawach jenerał-gubernatora. Nastąpiły wielkie rekwizycye furazów, prowiantów, powózek, pogońców, koni strojowych, koni pod artyleryę, cztery razy w ciągu roku dawaliśmy rekrutów, a raz w miejscu ich konie linijowe, woły, wódkę, tak, że według moich rejestrow, w ciągu roku tego z Halijówki kosztowało mnie to do szesnastu tysięcy złotych. Oprócz tego miałem postój opoleczenia, a z nacisku ludności gorączkę we wsi, z której pięćdziesiąt dwie dusze męzkich, od dwódziestu do trzydziestu lat i mnóstwo kobiet wymarło. W domu u mnie tak wszysej chorowali, że już sobie sami musieliśmy gotować. Tomasz Szuszczevicz, i jeometra Rudnicki, posługiwali nam i pomagali jak mogli. Mieszkał natenczas jeszcze Stanisław Karwicki z nami w Halijówce, przysła exekucya wojenna za rekrutów czterech, którychem dać był powinien a nie mogłem, i cała wymarła. Przesłano drugich sześciu i z tych trzech umarło, a trzech uciekło, posłałem prośbę do Komburleja

jedną, a do zarządu lekarskiego drugą prosząc o komissyą. Ale to był czas taki, że żadne wymówki od spełnienia obowiązku nie wymawiały. Urząd Lekarski przysłał cyrulika tylko żydka, a rekrutów uzyskać kazano: Dąbrowski dał dwóch a dwóch Karwicki, zastępując za Halijówkę.

Na domiar nieszczęść tegorocznych przybył nam kłopot nowy; ów Antoni Moszyński, który był u mnie na świętach Bożego Narodzenia z kapitanem Janiszewskim, zabił z fuzyi brata swojego Karola, trzy dni rozmyślając się i gotując, o czém doszła nas dopiero wiadomość.

Ostatnich dni listopada, ja i Karwicki odbieramy list od Moszyńskiego, który wzywa naszój pomocy i rozkazuje nam przyjeżdżać do Owruca, grożąc jeślibyśmy tego natychmiast nie dopełnili. Zmiarkowawszy czém to pachnie i znając Moszyńskiego, że nas nie pożałuje, postaraliśmy się pieniędzy sześćset rubli srebrnych; nie było czasu odkładać podróży, i w najgorszą drogę puściliśmy się do Owruca, wzięwszy tylko od doktora Bierneckiego trzy dozy gwałtownej trucizny na wszelki wypadek.

Gruda była ogromna, mrozy niesłychane utru-

działy podróż naszą: sześć dni wleliśmy się z rozpaczą w sercu, przybici i niespokojni. Zajechaliśmy nareszcie do Kacowszczyzny do brata mojego, a ztąd natychmiast do Owrucza, gdzieśmy w domu horodniczego Falkenhagena, widzieli się z Mozyńskim, siedzącym tu niby na poręce, lecz z żołdatem.

— Czego chcesz od nas? zapytaliśmy.

— Pomocy.

— Jakić?

— Pieniądzy.

— Wiele?

— Tysiąc rubli srebrnych.

— Cóż ci pomogą pieniądze, kiedy występpek widoczny i kary ujsć nie możesz?

— Nie pytajcie, dawajcie pieniądze, inaczej znajdę sposób i was wplatać, i zgubić.

Nie można z nim było traktować w żaden sposób, wyzuł się był bowiem ze wstydu wszelkiego i uczucia. Karwicki ośmielił się doradzić mu ażeby wziął truciznę dla uniknienia hańby, cierpienia i kary zasłużonej; ale go to wszystko nie obchodziło wcale jak widać.

— Daj truciznę— zawołał i schował jeden pa-

kiecik do tualetki— a teraz pieniędzy, dodał, lub was wszystkich pogubię.

Zaczęliśmy się z nim targować, a było tego ze dwa dni, stanęło na dwóchset dukatach, ale my jużśmy i tyle pieniędzy nie mieli, wydaliśmy część w Żytomiέρzu i w drodze, bo poprawa pogruhotanego kocza do sta rubli kosztowała.

Zrobiliśmy znajomości z panem Mewesem, który był sprawnikiem owruckim, żona jego siostra rodzona Moszyńskiego owego, kilka lat wprzód będąc panną respektową przy pani jenerałowej Karwickiej w Karpowcach dobrze nam znajomą była. Właśnie w tym czasie leżała w połogu, i zaproszono nas na chrzciny, od niej jakoś dostaliśmy trzysta rubli srebrnych. Zapłaciliśmy niecnocie żądane sześćset rubli, a oprócz nich trzysta asygnacyjnych dla kogoś tam jeszcze dać kazał, i lubo na słowie jego nie wiele mogliśmy polegać, przecież odjechaliśmy cokolwiek spokojniejsi. Zamiałem jego było tego Janiszewskiego, którego wprowadził do mego domu bez mojej wiadomości, ukazać jako osobę podejrzaną przed jenerałem Ertelem i nas, gdybyśmy mu nie dali pieniędzy, pogubić, dowodząc żeśmy spiskowali.



XX

Niewolnicy.

Jeszcześmy byli w Owruczu, gdy dziewiątego grudnia, pułk rosyjski przyprowadził do Owru-
cza dwa tysiące ośmset niewolników i kilkunastu
oficerów polaków w przeważnie przez Berezynę
pobranych. Były to nieszczęsne ostatki korpusu,
który osłaniał rejteradę wojska francuzkiego i
w puch rozbity został. Dziś mi się jeszcze serce
krwią zalęwa wspomniawszy na nędzę tych nie-
szczęśliwych ludzi. Między niemi znalazłem kil-
ku oficerów z pułku Euzebiego Siemianowskiego
brata żony, wszystko to gołe, bosc, nogi poobwi-
jane słową a tu mrozy trzaskające, na drodze pa-
dali i marzli, potrzeba było jakakolwiek przez
miłosierdzie nieść pomoc.

Pułk przez dni trzy rasztagował, co nam dało czas do zrobienia składki; my choć mieliśmy trochę pieniędzy, ale bardzo nie wiele, rozbiegliśmy się po powiecie, Karwicki, Nepomucen brat mój, ja, jeszcze kilku z poczciwych owruczanów, a mianowicie pan Mikołaj Trzeciak, pan Mierzwiński, pan Hołowiński i Karol Trypolski. Zebraliśmy ofiary w pieniądzech małe, ale znaczne w bieliźnie, odzieży, futrach różnego rodzaju, sami oddaliśmy wszystko cośmy mieli z sobą, a nawet ludzie nasi z ochotą kozuchy z siebie zdjęli. Brat mój Nepomucen, wszystko co dom miał zaofiarował; znaczna to była pomoc dla tych nieszczęśliwych, ale dla nas pociecha większa jeszcze żeśmy ich poratować mogli.

Powracamy do domu, nocujemy w Żytomierzu, gdy rano przychodzi kwartalny, kiedy już konie były zaprzężone i odzywa się:

— Jenerał-gubernator potrzebuje panów do siebie.

Potrzeba było iść, myśleliśmy już że Moszyński nam się przysłużył, ale nie było rady, zastaliśmy pana Komburleja w jego gabinecie.

— Zkąd panowie jedziecie? — spytał.

— Z Owrucza.

— Coście tam robili?

— Odwiedzaliśmy brata mego, któremu żona chora.

— A jakie to składki robiliście panowie po powiecie, dla nieprzyjaciół kraju i buntowników?

Karwicki mileżał, ja widząc że to niczym nie grozi i nie czując się do winy, wpadłem w wielki zapał, łzy mi się polały, wystawiłem obraz nędzy wołającej miłosierdzia i litości nawet dla nieprzyjaciela. Nie byli to już wrogowie ale ludzie, a ludzie nieszczęśliwi, znękani, bezbronni, między którymi wielu naszych rodaków. Powiedziałem, że jeśli miał usposobienie do litości, nigdzie bardziej rozwinąć go nie mogłem jak będąc w Rosyi, ja i brat mój, bośmy oba doświadczyli wszędzie od Rosyjan współczucia, miłosierdzia i wszelkiej pomocy braterskiej. Nie patrzyliśmy na to, że między nieszczęśliwymi byli Polacy, ale widzieliśmy ludzi cierpiących, których siły żywota nędzą wyczerpywała.

— Ręczę za to, dodałem — że gdybyś wasza Excellencya wiedział, sam byś pospieszył dla nich

z pomocą, mogą tego być pewien, znając serce pańskie.

Komburlój wcale się nie obraził tłumaczeniem mojem i owszem, wpadł w bardzo dobry humor i powiedział:

— Nie tylko nie mam panom tego za złe, ale chwale ten uczynek i upewniam was, że gdy ci plenni dostaną się do środka Rossyi, mimo że nieprzyjaciel wielkie nam poczynił szkody, będą odziani i nakarmieni po chrześcijańsku, przez tych z którymi wojowali.

Dobył potem papier i uśmiechając się uragliwie podał nam go do przeczytania, był to raport pana N... C... Owruckiego, który szeroko o tém zdarzeniu donosił... W końcu zaproszeni zostaliśmy na obiad, i tak się ten strach dobrze skończył.

Wróciliśmy do domu spokojniejsi cokolwiek ze strony Moszyńskiego, bo ja wyjeżdżałem w rozpaczy, a Karwicki także. W kilka tygodni po Nowym Roku, Antoni Moszyński znowu przysłał po nas, aleśmy się go już nie obawiając tyle nie pojechali.

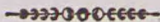
Dwudziestego piątego grudnia jenerałną ogło-

szoną amnestyę, i ani za opinie, ani za fakta dawniejsze nikt odpowiadać nie mógł.

Wiele w tym roku miałem wydatków przykrych i ciężkich dla mnie, które oprócz zwykłych expensów, do dwudziestu tysięcy wyniosły.

Słówko jeszcze dodam z tego com widział na oczy i słyshał od drugich, o miłosierdziu dla biednych w Rossyi: wszyscy podróżni i wygnańcy oddają w tym względzie ludności północnych prowincyi należne pochwały. Trudno spotkać ludzi miłosierniejszych. Umieją nie patrząc na występki, dla każdego nieszczęśliwego okazywać współczucie prawdziwie chrześcijańskie. Skarbony zwykle wystawione przy turmach nigdy nie bywają puste, trzymanym nawet przy policyi, przechodzący lud daje wsparcie. Przy exekucyi do katorhy, cały pomost pod szafotem usypany bywa groszaki, rzucanemi przez lud i kupców. Klasa wyższa równie jest litościwą dla więźniów, i śpieszy z pomocą każdemu biednemu, a ogólnie nazwiskiem każdy sądzony i wygnany, zowie się tylko: *nieszczęśliwym (nieszczęsny)*.

Piękne to pojęcie, które występki i karę za równo nieszczęściem nazywa.



XXVIII.

Delegacya do Petersburga.

Jak się ta wojna skończyła, co uczyniono z Napoleonem, który był jój przyczyną, to do historyi państw należy; a téj nie tykam. Gdy w Paryżu układano się o koszta wojenne, przy czém Cesarz Alexander okazał swą wielką duszę i wspaniałą szlachetność charakteru jemu właściwą, naznaczony został zarazem kongres w Wiedniu. Cesarz okryty sławą i błogosławieństwem ludów, powracał odwiedzić Rosyą, i goić rany które walka zadała, a zarówno dla wszystkich prowincyj państwa oświadczać łaskę swoją, dozwolił i od nas wysłać delegacyą do stolicy. Zwołano nas w czerweu

do gubernskiego miasta dla wyboru delegatów. Wybraliśmy więc Augusta hrabiego i senatora Ilińskiego, generała Bartłomieja Giżyckiego, księcia Maxymiljana Jabłonowskiego i księcia Józefa Lubomirskiego, kasztelana kijowskiego... W roku tym 1814 następowały wybory; przed wyjazdem do Petersburga hrabia Iliński zwołał nas kilku do siebie, jako to: Józefa Dąbrowskiego, Marcina Bukara, Seweryna Zaleskiego, marszałka żytomieńskiego, Tadeusza Teleżyńskiego, dawnego prezesa wołyńskiego, mnie, i w obec Bartłomieja Giżyckiego, który był przytomny, powierzył nam pod sekretem, że będzie się starał o stanie tych gubernij jak najrzetelniejszą Cesarzowi dać sprawę, dodając, że po wspaniałem sercu Alexandra spodziewa się sprostowania wszystkiego co dolegać mogło.

— Będzie zapewne z tego powodu wyznaczona komisya dla zbadania stanu gubernii, rzekł w końcu— potrzeba żebyście się przysposobili, mianowicie w urzędników czynnych i pocziwych. Posłuchajcież mnie kochani ziomkowie, obierzcie Giżyckiego marszałkiem gubernskim, mego syna kandydatem obok niego, Dąbrowski niech idzie

na prezesa, Seweryn Zaleski niech nadal zostanie marszałkiem żytomiérskim.

Wszystko się tak spełniło jak hrabia radził i życzył. Lecz Cesarz w Petersburgu delegowanego tam Giżyckiego powołał do służby wojskowej i dał mu order S. Anny piérwszej klasy. Wiadomość o tém urzędowa przysła w początku wyborów; Komburléj nie chciał go potwierdzić pod pozorem, że w służbie wojennej zostaje, a gubernia musiała podać najpoddanniejszy adres do Cesarza o dozwoleńie Giżyckiemu marszałkowstwa gubernskiego, na co otrzymano nie tylko zgodzenie się najwyższe, ale rozkaz. W tymże czasie hrabia Iliński podał notę o stanie gubernii i sposobie w jakiby złemu zaradzić można, popierając ją ustném przedstawieniem. Cesarz na samym wyjeździe z Petersburga do Paryża, naznaczył senatora Siewersa dla zbadania bliższego tych okoliczności. Hrabia Iliński i Giżycki powrócili z delegacyi, Giżycki objął urzędowanie, a senator dał nam zaraz wiedzieć, że Siewers wkrótce przybędzie.

Jakoż nadjechał niebawem; nakazano po powiatach zjazdu, na których wybrano delegatów,

którzyby od swoich powiatów przedstawienia popierali; z żytomiérskiego był Marcin Bukar, ja, Stanisław Fiedorowicz, i Stefan Dunin, podobnież ze wszystkich dwunastu. Ci delegaci z marszałkami lub ich zastępcami, siedzieli przez lat dwa agitującą się w Żytomierzu komissyi.

W kilka tygodni rozpoczęły się czynności, hrabia Iliński zrazu mieszkał w Żytomierzu, potem z nią razem gdy czynności jej przeniosły się do Berdyczowa i on tam wyjechał, pilnując gorliwie interesu publicznego. Giżycki popierał ze swojej strony sprawę, my delegaci podawaliśmy petyta z powiatów, a senator Siewers wielu urzędników znalazł winnych opieszałości i nadużyć, tak, że ich pod sąd oddać kazał, w wigilję dnia tego gdy obywatele wielki obiad składkowy dawali w ratuszu, gdzie ja byłem gospodarzem.

Dwunastu marszałków, trzydziestu sześciu delegatów, a dwa razy tyle było na nim obywateli; zjechało się najmniej dwieście osób na ten obiad, który w listopadzie miał miejsce o szóstej wieczorem, dla tego żeby w sali i na ulicach illuminacya lepiej się wydać mogła.

Przyjechał hrabia Iliński z senatorem Siewer-

sem, i w ciężkiem mnie postawili położeniu, gdy obejrzawszy się i zebrawszy urzędników pod sąd oddanych w wigilją, o czém nie wiedziałem, zapytali mnie— czy i oni mieli bilety.

Nie mogłem zataić, że wczoraj rano jeszcze rozdane były, bom nie wiedział, że są pod sąd oddani, a dopełniłem zwyczaju, wedle którego na wszystkie takie uroczyste przyjęcia, zaprasza się urzędników.

— Kiedy oni będą, to my tu znajdować się nie możemy— odezwali się pan Siewers i Iliński.

— Cóż nam robić?— zapytałem.

— Do pana należy oświadczyć im żeby ustąpili... Trudny to był dla mnie orzech do zgryzienia, ale nieuchronny; kazałem się trochę powstrzymać z podaniem jedzenia, musiałem iść do każdego z osobna i oznajmić wolę pana Siewersa, odpraszając od obiadu. Ruszyli wszysej upokorzeni.

Po obiedzie, który się skończył około dziesiątej, Gostyński, dawny marszałek gubernski, miał mówę do senatora Siewersa, za trudy jego dziękując. Za trzy dni miał wyjeżdżać pan Siewers; raport jego do Cesarza wymieniał winnych, a zarazem ukazywał, że Komburléj całkowiecie za ich wy-

kroczenie odpowiadać nie powinien, jednakże usunięcie tylu urzędników obraziło ich naczelnika, który odjeżdżającemu senatorowi, dał to uczuć.

We dwie godziny po pożegnaniu z Komburlejem, Siewers wyjechał do Petersburga, i spotkał Cesarza jadącego znowu do Paryża. Łaskawy monarcha na poczekaniu kilka godzin poświęcił sprawom Wołynia i przyjął raport Siewersa, który ustnie obszerniej się wytłómaczył. Alexander I. rozkazał z całą surowością i ścisłością kończyć rozpoczętą komisję.

Tymczasem po wyjeździe Cesarza, wojskowy departament przysłał rozkaz, ażeby generał Giżycki natychmiast udał się do armii, stojącej wówczas w Ems; wezwano Giżyckiego, generał-gubernator rozkazał wejść w obowiązek marszałka gubernskiego panu Henrykowi Ilińskiemu, a jemu natychmiast wydał pasport i polecił niezwłocznie ruszyć na miejsce przeznaczenia.

Nie było co począć, musiał Giżycki wyjechać; nim się do Ems dostał, nim ztamtąd do Paryża, nim zyskał audyencyą u Cesarza, o którą nie było łatwo, pół roku minęło, ale to wyszło na dobre, bo Cesarz pytał go o prowincye nasze i wysłuchał

łaskawie. Natychmiast imienny ukaz nastąpił, aby Giżycki na swoje miejsce powracał i dalej urząd marszałka gubernskiego sprawował. Na wiosnę przyjechawszy znalazł Giżycki komisyję rozstrojoną zupełnie, a delegatów rozpierchłych, gdy w kilka dni po nim, przybył i Siewers z rozkazem dokończenia badania jak najściślej. Zaraz tedy znowu wzięto się do dzieła, przyjechał hrabia Iliński, wydobyto nas z myszych kryjówek, zaczęły się dośledzania, aleby nadużycia wykryte nie zostały, gdyby nie żyd berdyczowski kupiec Liebszütz Schwarzmama, który wskazał do indagacyi księgi kupieckie. Oprócz innych rzeczy, odkryto przy rewizyi sklepów, mnóstwo towarów zagranicznych, zakazanych, i z tego powodu, z mocy prawa konfiskowano gdzie tylko się znalazło; w Żytomiérzu, Berdyczowie, Łucku, Dubnie, Krzemieńcu, Kijowie, Białej-cerkwi. Z tego powodu mnóstwo kupców pobankrutowali, a sprzedane z téj konfiskaty towary, przyniosły jak słyszałem do skarbu trzykroć siedmdziesiąt tysięcy rubli srebrnych, chociaż je tanio bardzo kupowano.

Poszedł Siewersa raport do Paryża i wkrótce potém, miejsce senatora Komburleja zastąpił Sta-

niśław Potocki, ale ani żądał téj nominacyi, ani do niéj miał kwalifikacyę; krótko był bardzo. Zmienił go Saint-Priest, a gubernją urządzić kazono Siewersowi. Natenczas proponował mi hrabia Iliński, senator Siewers i Marcin Bukar, który nieodstępnie był przy Siewersie, abym w rządzie gubernjalnym lub w drugim departamencie przyjął sówietnikowstwo, alem sobie nie życzył i nie mógł obciążać się urzędowaniem. Narzucono tę posadę Michałowi Trypolskiemu, natenczas sędziemu ziemskiemu żytomierskiemu, ale na niéj nie długo chciał zostawać, otrzymał ją później Józef Zaleski. Urzęda od korony wszystkie i w rządzie gubernjalnym obsadzono tutejszemi mieszkańcami naszych prowincyj.

W tym roku uwolnił Cesarz Alexander wszystkich jeńców wojennych; brat żony mojej Euzebi Siemianowski, Jenerał Wasilewski, major Stefan Ziemęcki, kapitan Leopold Gołuchowski, i innych kilku oficerów powracając z niewoli przyjechali do Halijówki. Radość ztąd była nie do opisania, bawili dwa tygodnie, dzieliłem z sąsiadami i przyjaciółmi to szczęście. Byli u nas senator Iliński

i Giżycki, bawili dwa dni, a pierwszy zaprosił nas wszystkich razem do Romanowa.

Tam zjechało się osób ze sto, bawiliśmy się dwa dni, nareszcie w Szulajkach u państwa Kono-packich pożegnaliśmy się i rozstali. Ci wszyscy byli w Tambowie, a nie mogli się dość naopowiadać z jaką litością, współzuciem i sercem, przyjmowani byli przez tamtejszych mieszkańców: przez generała komendanta Szyrkowa, równie wielbionego przez nich jako pani generałowa Cimmermanowa, matka zięcia pani Dąbrowskiej, która możny dom swój otworzyła im gościnnie. Ale znana jest ludzkość i miłosierdzie Rossyan, więc o-tém się już nie powtarzam.



XXIX.

R o z m a i t o ś c i .

Nie wiem tego z pewnością, alem słyszał od ludzi starszych, że jeszcze za panowania Augusta III, erygowaną była loża masońska w Warszawie, której generał Brühl był Venerablem, ale sekret w tém zachowano nawet przed królem. Stanisław August po koronacyi swéj zażądał wprowadzić lożę do Warszawy, gdyż sam podobno był inicjowany w Londynie i tam otrzymał wysokie stopnie. W Polsce kilku panów i szlachty co albo wychowanie brali w Paryżu, lub bawiąc tam dłużej zostali masonami, nie odważyli się tu jednak związku tego zaprowadzić; dopiero ośmieleni przez

króla, otworzyli Lożę w Warszawie w największej tajemnicy. Polacy jednak nie łatwo się do tego brali, bo powszechnie massonerya i tak zwani farmazoni uchodzili za niereligjantów, a robota cała za nie katolicką i wyklętą. Rosła jednak między wolniejszymi umysłami, liczba przyjmowanych do loży, i powoli także zakładano loże w Krakowie, Poznaniu, Wilnie, nareszcie odkryto jedną w Dubnie za rządów polskich jeszcze, która była na bramie, Łucką zwaną, od wjazdu ze strony tego miasta, pod przewodnictwem księcia Michała Lubomirskiego. Nieznacznie przyzwyczajono się bez oburzenia słuchać o massoneryi; rozprzestrzeniono loże. W r. 1786 Stempkowski wojewoda kijowski, do Rady Nieustającej podał memorandum, aby do tutejszej prowincyi, tak obszerniej, przysłać drugiego rządowego lekarza. Skutkiem téj rekwizycyi, z akademii krakowskiej wysłany był świeżo doktoryzowany Franciszek z Hinczów Hincz, z tytułem Lekarza Kwarantan prowincyi ukraińskiej, a razem z poleceniem od massonów do których należał, założenia loży męskiej i kobiecej w Żytomierzu. Obydwie tu fundował, pod tytułem: *Ciemności rozproszonych, wschodu Żytomier-*

skiego, w męzkiej sam został Venerablem, a pani Wacłowa żona aptekarza, w kobiecej otrzymała prezydencją. Hincz bardzo był poczciwym człowiekiem, ale nie mógł mieć wielkiego wpływu na wyższe towarzystwo, z powodu starego polskiego przesądu, który doktora mniej i niżej ceni zawsze od szlachcica i ziemianina. Z tejsze przyczyny mało komu był znajomy, a śmierć Giżyckiego, chorążego kijowskiego, którą jego niezręczności przypisywano, nawet sławę jego doktorską zwichnęła, tak, że długo musiał się mieć na ostrożności, by uniknąć zemsty zażalonych synów. Hincz więc nie mógł sam osadzić łoży, ludźmi wyższego stopnia i znaczenia. Juryści tylko żytomiérscy i to nie w wielkiej liczbie łożę zapełnili, a prawdę powiedziawszy, Hincz był trudny w wyborze szukając dobrego sprawowania się i obyczajów w tych których przypuszczał. Inne zaś osoby należące do łoży, inicjowane były w Warszawie, Krakowie lub Dubnie. Stan ten trwał do podziału, a raczej do wstąpienia na tron Cesarza Pawła I, natenczas wszystko to upadło, i przycichło. W Warszawie, za panowania pruskiego łoża się utrzymywała; po utworzeniu księ-

stwa Warszawskiego, w kilku miejscach tego małego kraiku otwarto łoże, nawet po pułkach i brygadach. W jednej z nich Euzebi Siemianowski w Poznaniu był Venerablem. Otwarto w wielkim sekrecie łożę Żytomiérską w r. 1814, która potem niesłychanie urosła. Pan J.... właśnie w tym czasie pokochał córkę doktora Hincza i choć ojciec długo był przeciwny temu małżeństwu, nareszcie na nie przyzwolić musiał. To panu J..... dało wstęp do łoży. J. nie miał ani wychowania, ani zdolności szczególnych, ale zręczność wielką i ruchawość niepospolitą, korzystając z wszelkich nadarzających się okoliczności dla siebie. Poczciwy Hincz życie skończył, a na jego miejscu został major L.... z dawnego wojska polskiego, który lat kilka trzymając część Połonnego, zebrał był sobie fundusik u szanownego Adama Walewskiego. Ta nowa dyrekeya żywszą była i gorliwszą od poprzedzającej, zaczęto wprowadzać do łoży młodzież majątniejszą, chwymano kto się nadarzył, robiono składki, używano ludzi za narzędzia osobistych widoków.

Przypadło to właśnie kiedy Giżycki został gubernatorem; użyto różnych sposobów, aby i jego

wciągnąć do łoży, ale nie chciał do niej należeć, przyrzekłszy jednak wspomagać w czém będzie mógł. Zdaje się, że przewódzcy łoży nie potrafiwszy go związać, usiłowali stać mu się raz wraz we wszystkim potrzebnymi, aby się bez nich obejść nie mógł, i wedle tego planu postępowali. J.... połączył się w tym zamiarze z Bukarem, Antonim Pruszyńskim i Wisłockim i łatwo im było zakłócić spokój Giżyckiemu. Kwadrumwirat ten działał skutecznie.

Snarski był vice-gubernatorem, pan Giżycki z powodu koleżeństwa wszedł z nim w bliższe stosunki, ale to się ichnościom niepodobało, póty robiono pasztety, plotki, intryżki, aż dopóki nie doprowadzono ich do zajścia, osobistości, gniewu a nareszcie do pojedynku, z jenerałem W... stojącym w Żytomiέρzu. W... ujmując się za Snarskiego powiedział niegrzeczność Giżyckiemu, mającemu naówczas ze sto osób na obiedzie u siebie. Było to na krótko przed przyjazdem Cesarza, odłożono więc spotkanie po wyjeździe zaraz, i tegoż dnia strzelał się Giżycki z X... W... Sekundowali Giżyckiemu jenerał lejtenant Sass i jenerał major Leontjew. Zatrzymał się na chwilę Fligel-

adjutant Artur Potocki i zaraz po pojedynku wyjechawszy, dogał Cesarza Alexandra w Dubnie, gdzie mu ośmielił się zdać sprawę z całego wypadku i uzyskał dla Giżyckiego przebaczenie monarsze, chociaż można się było spodziewać odpowiedzialności.

Tu zawieszam dalszy ciąg żytomiérskich czynności, których opisanie obrzydliwość mi sprawuje, a przystępuję do wypadku szczęśliwego i pamiętnego dla całej prowincyi, to jest: do bytności błogosławionój pamięci Cesarza Alexandra I.



XXX.

Bytność Cesarza Alexandra Igo.

UWIADOMIENI zostaliśmy weześnie, w sposób urzędowy o dniu, w którym Cesarz miał odwiedzić Żytomiérz, a nawet mieliśmy obietnicę, że przyjąć raczy bal od szlachty. Natychmiast wezwano marszałków i szlachtę, i z każdego powiatu, z największym pośpiechem i ukontentowaniem złożono po pięćset czerwonych złotych na uroczyste przyjęcie.

W teatrze naprzeciw ulicy Pilipońskiej, urządzono wielką salę, zrównawszy posadzkę parteru ze sceną, tak, że to wszystko jakby jedność składało. Podłogę wybito suknem zielonem, a ścia-

ny białym perkalem w draperye, łoże dolne połączone z salonem, a górne formowały galeryą dla muzyki nad którą w transparentach, wszystkie stoczonej wojny znaczniejsze tryumfy i wygrane bitwy, wzięcie Paryża i t. p., wyobrażone zostały godłami i napisami, wśród festonów i ozdób różnych. Draperye wszystkie były z karmazynowego merynosu, i takimże merynosem wybite pięćset krzesełek, które tam gdzie proscenium coraz wyżej było podniesione dla dam, we trzy rzędy ustawiono, co bardzo piękny formowało widok. Resztę krzeseł tych umieszczono pod galeryą; oświetlono salę ogromną dwóma tysiącami świec, a tysiąc lamp oliwnych gorzały za transparentami. Z tyłu teatru przybudowano na prędko wielką salę, w której u kolacyi przy jednym stole ciągiem trzysta osób usiąść mogły, urządzono dwa wielkie bufety, jeden z trunkami, w którym dziewięćset butelek win różnych w wysokich gatunkach, w szafach ustawiono, w drugim zaś były herbata, cukry, konfitury, deser, owoce i t. p.

Ja miałem sobie poruczony zarząd tego balu i gospodarstwo, urządzenie wieczery, bufetów, u-

sługę, muzykę, i wszystko co do przyjęcia potrzebném było. Fiedorowicz i Stanisław Karwiczki robili pokupki w kraju, pan Drzewiecki dostawał co było potrzeba z Brodów.

Sprowadzono Degaza kuchmistrza z Dubna, i stół pryncypalny ugodzony został za trzysta dukatów; innych zaś kucharzy umówiono osobno do zasposobienia stołów pod ścianami w sali jadalnej urządzonych, które galaretami, zimnemi potrawami, pieczysem, sałatami, ciastami i t. p. zastawiono. Nawieziono sreber, porcellany, bielelizny, szkła i różnych kredensowych ozdób od książąt Lubomirskich, Jabłonowskich, hrabiego Ilińskiego, chorążego Steckiego, Walewskich i wszystkich pańskich i szlacheckich możniejszych domów, tak dalece, że w domu obok teatru, w którym ja natenczas stałem, zawalono niemi wszystkie pokoje, i oficer codziennie chodził tu na wartę z szesnastą ludźmi. Każdy oprócz tego przysyłający kredens, z nim jednego lub dwóch ludzi, kamerdynerów dawał. Ubrałem bufet do herbaty, zabrawszy od kupców w Berdyczowie co było najpiękniejszego z porcellany i bronzów dla zastawy, z magazynów zwłaszcza Chaudoir'a,

Szaffnagłów, Fiettego, Chajkiela i innych. Z ochotą dawali wszyscy, więcéj pięciuset par najpiękniejszych filizanek, wazy brązowe, porcellanowe naczynia, kandelabry i urny, któremi zastawiliśmy pułki oświeciwszy je około dwóchset świecami w pysznych kandelabrach. Z Romanowa sprowadziliśmy paryzkie brzozy, które do dziś dnia pałac tamtejszy ozdabiają.

Urządziłem usługę, z kamerdynerów wybrawszy co najpiękniejszych i dobrze wytressowanych ludzi, ośmiu w bufecie herbacianym, ośmiu w bufecie trunkowym, dwódziestu do stołu, dziesięciu do obnoszenia potraw, dziesięciu do zmiany talerzy, które w stosach za każdym z nich wraz ze sztuccami leżały. Powyznaczałem i podzieliłem miejsca dopóki który z nich ma obnosić i usługiwać, po trzydzieści osób na jednego, a usługa tak szła porządnie i szybko, że się jój dziwiono. Muzyka była sprowadzona od pana Hańskiego, dwie pułkowe, z tych przez dwa tygodnie wybrawszy stu ośmdziesięciu sławny Gerke uformował, że godni byli popisywać się przed monarchą.

Na dni kilka jeszcze przed przybyciem Najjaśniejszego Pana, mówi mi pan Giżycki gubernia-

tor, żebym damom porobił wizyty i na bal je zapraszał, znając okoliczności, spytałem zaraz czy nam być u pani V—G.

—A jakże, odpowiedział, zaprosić ją potrzeba, ale jemu nie posyłać biletów, ani zaproszenia, ani *entrée*.

Był wtedy w gabinecie przytomnym Seweryn Zaleski marszałek żytomiński, obróciłem się do niego, prosząc z sobą do pana V—G. z powodu że go nie znał, a razem na świadka, że go prosić na bal nie będę.

Wtém Giżycki przerywa mi i mówi, że koniecznie potrzeba starać się dostać wielkiego portretu Cesarza, aby go w sali balowej zawiesić.

Jedziemy tedy do pana S... poznaje mnie z nim pan marszałek Zaleski, ja proszę go, aby mi pozwolił z panią V. G. zrobić znajomość. Pani wyszła zaraz do nas, ja tedy z komplementem do niej, że szlachta zaprasza ją na bal, zarazem podając bilet *entrée*.

Wtém pan V. G. przerwał, że żona jego być na balu nie może, z powodu stanu swojego zdrowia, ja zaś, dodał, muszę być jako urzędnik.

Zamilkłem na to, wtém obracając się zoba-

czyłem całkowity portret Cesarza, który dotąd jest w domu gubernskim, i zapytałem, czyby go nie pozwolił, dla ozdoby sali balu szlacheckiego.

—Pozwolić go nie mogę, rzekł, odstąpię jak mnie kosztuje za tysiąc rubli.

—Bardzo dobrze, odpowiedziałem, proszę go kazać zanieść.

—A pieniądze.

—Mam je przy sobie. Jakoż natychmiast zapłaciłem.

Zaniesiono portret do gubernatora, Giżycki był kontent, ale gdy się dowiedział z kąd go wziąłem kazał go zabrać nazad, odesłać i pieniądze odebrać. Pojechałem w godzinę potém może do S..., który mi powiedział, że pieniędzy nie ma i portretu nazad nie przyjmuje, Giżycki przecież udobruchał się jakoś i portret do sali zanieść kazał.

Cesarz Alexander w dniu naznaczonym przybył do Żytomiérza i wprost zajechał do cerkwi, a potém do dworca. Tam była prezentacya mężczyzn, a na salę do teatru zjeżdżały się damy i mężczyźni po prezentacji. Nim jeszcze N. Pan przybył na salę, chodziłem pomiędzy damami

z ateneyą, zapraszając do bufetu, robiąc miejsca, a że pani hetmanowa Rzewuska była tu najpięrszą z dam, koło nięj najczęściej krążyłem.

Ona stojąc przy krześle swoim rozmawiała ze mną, gdy wszedł Siewers i senator Strojnowski, zbliżył się do pani hetmanowęj i począł mówić do nięj.

Nie wiem zkąd zebrało mu się na ten niezręczny komplement, ale po chwili ujawszy za rękę panią hetmanowę, prosi ją żeby nie robiąc sobie dla niego subjekeyi, była łaskawa usiąść.

— Cóż to waćpan rozumiesz, że ja przed waćpanem stoję? odparła żywo, obrażona pani hetmanowa ruszając ramionami, i odwróciwszy się od niego, znowu do mnie mówić zaczęła. Senator zapérzony, odszedł jak nie pyszny.

Już w mieście całém, począwszy od dworca do teatru wspaniała illuminaacya, kosztem szlachty przygotowana zapaloną została, o jedénastęj godzinie dał się słyszeć huk tłoczącego się ludu po wszystkich ulicach i odgłosy:

— Wiwat Cesarz— wiwat Alexander łaskawy!

Pojazd cesarski stanął wreszcie przed galeryą, męzczyzni wszyscy ze środka sali weszli pod bo-

ezne galerye, otwartą została sala, którą zajmowały tylko damy we trzy rzędy siedzące. Gdy Cesarz wszedł, damy wszystkie powstały przed nim, wyszła przeciw niemu pani Giżycka i pan Henryk Iliński marszałek gubernski. Cesarz pocałował w rękę panią Giżyckę i podał jęj swoją prowadząc ją dalęj. Był w mundurze strzelców konnych bez żadnych haftów, skromnie ubrany i w tęg chwili zdawał się, wyrzekając wysokiego dostojęństwa i powagi, chcieć tylko okazać się najmilszym z ludzi. Klaniał się na wszystkie strony, i uśmiechem witał przybliżających, tak, że trudno by w nim było domyśleć się laurami okrytego bohatera i monarchy władającego szóstą częścią znajomęj ziemi, gdyby pogoda oblicza i szlachetność rysów wyższęj w nim istoty nie znamionowały.

Kilkanaście dam zaprezentowała pani Giżycka. Cesarz z nią bal otworzył i tańcował z piętnastą damami, w rzędzie których była i panna Giżycka dziś hrabina Chołoniewska, kończąc tańiec, każdą z nich w rękę całował. Był ułożony wprzódy registr osób, które wyznaczone zostały do tańcowania z Cesarzem, generał-adjutant brał

z kolei te damy, a N. Pan po nim z niemi tańcował. Zaczęły się potem tańce popisowe, potem mazury i walce, a Cesarz walcował z kilką damami znowu. Na kolacyi N. Pan się nie znajdował, ale cała świta Jego była przytomną, książę Wołkoński, Uwarów i t. d.

Dwór z Cesarzem przybyły bardzo był liczny, siedem numerów szły z nim, a każdy numer po siedem powozów; przecież po stacyach tyle było eugów i furmanek obywatelskich, że koni starczyło, aż nadto.

Skończył się bal i dniem prawie rozjechali się wszyscy; kazałem warcie wszystkie drzwi pozajmować i nie wypuszczać nikogo ze służby dopóki wszystkiego nie rozsortowano, nie porachowano sreber, bielizny i przyborów, które zaraz pooddawano właścicielom. Każdy mi dał kwit, a ja je złożyłem Giżyckiemu. Szkody nie było najmniejszej, jednego talerza nie stłuczono.

Pani Kraszewska wstając od stołu zostawiła na krześle chustkę batystową i tę mi oddano zaraz, obwieściłem przez policyą o zgubie i zwróciłem właścicielce. Ale za to ja trzy dni i dwie noce nie spałem, a nawet przysiąść nie miałem

czasu. Pozostało dosyć wódek, win, konfitur, likworów, cukrów, które między sobą przez licytacją rozebraliśmy. Gubernator Giżycki nie wypuścił marszałków z Żytomiérza, dopóki z percepty nie odebrali rachunków, bo przy nim była kassa. Co więc pozostało z percepty i zebrało się z rozprzedanych resztek, wszystko to pannom Miłosiernym oddano, których klasztor gubernator czynnie zawsze i skutecznie protegował i wspierał.

Nim się to wszystko ułatwiło, cztery tygodnie czasu w Żytomiérzu strawić musiałem. A zatém powracam, choć z przykrością, do dalszych czynności żytomiérskich.

XXXI.

Dalsze czynności w Żytomierzu.

WPRĘDCE po odjeździe Cesarza Alexandra, i po spotkaniu Giżyckiego z księciem W...; S... został usunięty, a na miejscu jego za wielkiem staraniem u Siewersa przez Giżyckiego, naznaczony Filip hrabia Plater. Giżycki widząc w nim i pochodzenie znakomite i osobiste przymioty wsparte staranném wychowaniem, wielki dlań miał szacunek, a na wzajem Plater Giżyckiego kochał i szacował, zgoła między nimi zawiązała się przyjaźń i najściślejsze stosunki. Plater przyjęty w loży Warszawskiej, w Żytomiérskiej bywać nie chciał, sprawiedliwie o niej nie dobre mając

wyobrażenie. Stosunki tych dwóch ludzi niepodobaly się panu J... rozpoczął więc pokatną robotę, ale tak potajemnie przez podrečných swoich i poslušnych sobie ją prowadząc żeśmy nieprędko nici doszli.

Chodziło o to, żeby koniecznie hrabiego Platera pokłócić z panem Giżyckim; długo się na to zbierało, i możeby nie przyszło nigdy do rozerwania przyjaźni, gdyby ci dwaj zaci mężczyźni, jak poczeli zrazu, ciągle sobie byli powierzali wszystko. Przed panem Giżyckim gadano nie stworzone rzeczy na Platera, przed Platerem na Giżyckiego, to powoli ostudzało ich uczucia wzajemne, nakoniec trafiono w miłość własną samej pani Giżyckiej jakoby przez Platera obrażoną, to dało powód, że Giżycki zaczął chybiać Platerowi, Plater jemu wzajemnie i do wielkich przyszli osobistości.

Hrabia Plater obrażony był i rozjątrzony do tego stopnia, że nie szczędził ostatecznych kroków, gdy książę Eustachy Sanguszko obu sprowadził do siebie i pojednał.

Nie wiele to i nie na długo pomogło, bo Plater znowu podburzony przez stronników J... trze-

ciego dnia po téj zgodzie, przy której i ja byłem, wysłał po służbie raport przeciw Giżyckiemu, a kopiją jego minister komunikował gubernatorowi. Rozjątrzyło to ostatecznie: Giżycki przysłał po mnie sztafetę, ażebym tego momentu przyjeżdżał, a ja w kilka godzin przystawiłem się na rozkaz jego.

— Co mi pan gubernator rozkaże? zapytałem na wstępie.

— Oto pojedziesz pan zaraz do hrabiego Platera, i powiesz mu, że jestem przez niego osobiście obrażony, ale honorowie z nim rozprawić się nie mogę, dopóki wybrani przez nas arbitrowie nie osądzą, czy po raporcie jaki na mnie podał, jest to dla mnie rzeczą przyzwoitą. Ja z mojej strony poszukiwać muszę satysfakcyi, na ten koniec proponuję trzech zacnych ludzi, księcia Eustachego Sanguszkę, księcia Maxymilijana Jabłonowskiego i jenerała Rzyaszczewskiego, ci niech tę rzecz roz biorą i niech zdecydują, czy mogę mieć z panem Platerem pojedynek.

Prosiłem pana Giżyckiego, aby mi dał świadków, którzyby mogli zaręczyć, że wiernie po-

wiem to co mi polecił i jaką odbiorę odpowiedź taką mu przyniosę.

Pan Giżycki posłał prosić pana Seweryna Zaleskiego, natenczas marszałka żytomińskiego i pana Pinińskiego prezesa drugiego departamentu, których zobowiązał ażeby ze mną pojechali. Powtórzył przy nich kredencyales, które mi dawał, nieco obszerniejsze niż tu piszę, część ich umyślnie omijając. Pojechaliliśmy tedy we trzech do hrabiego Platera, któremu powtórzyłem wszystko co mi pan Giżycki powiedzieć polecił.

Pan Plater siedząc na kanapie obok mnie, naj-obojętniej odpowiedział na to.

— Proszę powiedzieć panu Giżyckiemu, że się z nim będę strzelał choćby na taką metę, jak my tu siedziemy z panem, ale osób, które mi podaje na rozsądzenie tak delikatnej kwestyi, zupełnie nie przyjmuję. Książę Maxymilijan nigdy wojskowo nie służył, przeciwko księciu Eustachemu i panu Ryzszezewskiemu mam moje powody, dla których się im nie poddam.

— Tu nie idzie o gotowość strzelania się, odpowiedziałem, bo pan Giżycki zawsze do tego najzupełniej gotów, ale o to, czy po tém wszyst-

kiem co pan hrabia uczyniłś przeciw Giżyckiemu, on się strzelać z nim może, bez obrazy honoru swego, co właśnie potrzebuje rozwiązania.

Na to obruszył się pan vice-gubernator, wołając, że mu impertynencye śmiem mówić w jego własnym domu, z czego ja uniewinniając się, odwróciłem do państwa Zaleskiego i Pinińskiego świadcząc niemi, że to tylko powtarzam co mi poleconém zostało przez pana Giżyckiego, starając się spełnić poselstwo, w sposób najdelikatniejszy. Świadcowie moi potwierdzili com mówił, a ja w końcu oświadczyłem, że pan Giżycki szukając satysfakcyi, będzie zmuszony użyć środków niemiłych dla niego samego.... Zapropnowałem wreszcie czyby hrabia ze swój strony osób nie wskazał, na którychby się sąd chciał poddać, ale to obruszyło go i odparł, że honoru swojego sam tylko jest sędzią, i nikomu o nim decydować nie pozwoli.

Powróciliśmy więc do Giżyckiego i wszystkośmy mu odnieśli, co nam zlecono, na co w największej passyi odpowiedział pogróżkami i byłby je spełnił, bo był bardzo gwałtowny, gdybyśmy go nie pilnowali.

Wkrótce potem, bo w dni kilka był zjazd marszałków i delegatów, których sessya miała być na sali u gubernatora, a zgraja łożowa podburzyła do tyła i Giżyckiego i Platera, że byłoby przyszło przy spotkaniu do ostateczności nieprzyzwoitych, gdybym ja w chwili, gdy zajechał hrabia Plater nie pochwycił Giżyckiego za ręce i nie wstrzymał od wyjścia, choć mi kark i ucho pogryzł wyrywając się, a Seweryn Zaleski nie zamknął na klucz gabinetu. Z téj passyi Giżycki zaraz zaczął chorować, i bolał długo i ciężko, tak, że testament robił. Wyzdrowiawszy począł się starać o usunięcie hrabiego Platera, i to wkrótce nastąpiło...



XXXII.

Wybory 1816—1817 roku.

Po usunięciu hrabiego Platęra, za wielkiem staraniem Giżyckiego nastąpił książę Fryderyk Lubomirski potomek i członek znakomitej w Polsce rodziny, który jak ten urząd spełniał, o tém pisać nie będę, gdyż pamięć trwa jeszcze. Nastąpiły wybory na urzędników od szlachty; Giżycki życzył sobie na marszałka gubernskiego księcia Eustachego Sanguszko; a książę chętnie się zastosował do życzenia i przyjął urządowanie, na które go gubernia z największym zapalem wyniosła. Usprawiedliwił on trzyletniem marszałkowstwem położone w nim zaufanie. Prezesem

chciał dalej być Dąbrowski, a mając wielkie zasługi i istotną osobistą wartość mógł iść z każdym w zapasy, ale J... już wówczas radzca w departamencie prowadził Józefa Pinińskiego. Piniński miał także wziętość u wielu i opinią dobrze prawo znającego człowieka, przytém łoża promowowała, sam perswadowałem Dąbrowskiemu, aby się z nim nie króskował i nie ważył, bo wiedziałem, że się przeciw niemu nie utrzyma. Tak się i stało. Piniński został prezesem drugiego departamentu, a pierwszego Erazm Pruszyński z Łowkowa. Przez te trzy lata prezesostwa, nie wiem by się nowoobraný Piniński wiele zajmował papierami i sprawami, powiada-no, że ich nie czytał, a podpisywał co mu J... wskazał. Dom jego był istną traktyernią, w której codziennie na jakie osób trzydzieści było bardzo liche jadło, ale od obiadu począwszy, od pierwszój z południa, do drugiej i trzeciej z północy spijano ciągle, na kilku stolikach w karty grano wista, lub na jednym dużym faraona, a poniterek rozrzuconych na ziemi po pokoju leżało tyle, że jakby dywan rozesłany formowały. Dymu od lulek tak gęsto bywało, że o trzy łok-

cie człowieka rozpoznać nie było podobna, wina kilkanaście butelek zawsze stały na stoliku i kielichy krążyły od obiadu do najpóźniejszej nocy. Ktokolwiek do pokoju wchodził, Piniński zaraz wołał:

— Dawaj kieliszka, waćpana dobrodzieja zdrowie, proszę panów dobrodziejów za tém zdrowiem...

Byłem kilkanaście razy proszony na tych obiadach. Podług statystycznego pomiernego obrachunku, najmniej dwanaście tysięcy talij kart przez trzy lata u niego rozegrano, co dowieść bardzo łatwo, bo gdyby na dzień po dziesięć tylko talij do wista potrzebowano, na rok wypadłoby ich trzy tysiące sześćset, a daleko więcej każdy dzień pożerał. Wina, oprócz tego co sprowadzał z Dubna i Ostroga, u Jakiera wziął węgierskiego ośmdziesiąt beczek, a francuzkiego okseftów dziewiętnaście, dodać do tego arak i porter, bo to wszystko dawano, można wyobrazić sobie co to kosztowało. Taki prezes zastąpił Dąbrowskiego czynnego i wielce sprawiedliwego człowieka.

Na tych wyborach Grzybiński został marszałkiem, chociaż chcieliśmy utrzymać Seweryna Zaleskiego, który odbył sześć lat funkcyę w tru-

dnym czasach z honorem i zadowoleniem obywateli, przez których był wybrany; ale go Grzybiński przekręskował, czemu sam Zaleski był winien.

Była to epoka, w której właśnie intrygi pana J... najwięcej się rozszerzyły i najobfitsze zrodziły owoce. Przyjaciele jego i sprzymierzeńcy tak otoczyli Giżyckiego, że go poróżnić musieli z każdym, kto z nimi trzymać nie chciał. Starano się rozerwać związek przyjaźni od młodych lat między księciem Eustachym Sanguszką a Giżyckim stale trwający i o mało tego nie dokazano przez kobiety. Księżna Sanguszkowa wyjechała z Żytomiérza bez powrotu, sam książę jak mógł najrzadziej bywał w Żytomiérzu... Nieraz sam na sam, poufnie rozmawiając z panem Giżyckim, wyjaśniałem mu powody tych zajść i pierwszą przyczynę nieporozumień, sam on je znał bardzo dobrze, ale cóż kiedy musiał tolerować pana J..., którego charakteru się obawiał, i intryg przeciw sobie wywołać nie chciał.

I przeciwko mnie próby robiono, z powodu że miał wstęp i kredyt u Giżyckiego, że u niego stawał będąc w mieście, że mnie do różnych po-

leceń używał; intrygowano, podburzano panią Giżyckę przez subordynowane osoby, ale gubernator dostrzegłszy tych zabiegów, raz na zawsze przerwał je zakazem wszelkiego o mnie gadania.

Te to intrygi niegodne, przeważyły w sprawie Malinowskiego, który utratą rozumu przypłacił ferowany przeciw sobie dekret pod prezydencją pana Pinińskiego; Giżycki panu J..., który w tém był główną sprężyną, dom wypowiedział, ale tolerował go z obawy, i przeciw niemu nie działał.

W domowém życiu mojem zaszły bardzo ważne wypadki. Naprzód wymienię tu chorobę Marcina Bukara przyjaciela mojego od najpiérwszój młodości, potem śmierć szanownej matki jego. Nie mogłem się oddalić od tych drogich sereu mojemu osób, nie odstępowałem od łoża boleści, z całą rodziną dzielając niepokój i trwogę, chcąc dowieść stałej przyjaźni, jaką dla nich dochowałem do końca. Kilka tygodni wówczas bawiłem w Burakach, było to piérwszych dni wiosny; tymczasem przyjechał do Halijówki Rajetan Jukowski, stanął w moim pokoju, a że było chłodnawo, kazał sobie zapalić na kominie. Zapa-

lono, dym poszedł po pokoju, a ogień się nie dawał rozniecić, przyniesiono suchych wiórów stolarskich, które jak proch zajmąwszy się płomieniem rzuciły w górę i zapaliły na wierzchu zatykadło słomiane, niewiadomo przez kogo w komin założone.

Miałem przy sobie od młodości Karola Pieńkowskiego, który był przy mnie kamerdynerem, człek poczciwy, przywiązany do mnie bardzo, ale czasem gorączka i roztargniony. Zobaczywszy ogień, wpadł na dach i wyrwał owe zatykadło słomiane, które mu wicher palące się z rąk wychwycił roznosząc zarzewie po słomą krytym dachu. W chwili ogień dom cały objął, wpadł w środek na strychy, gdzie były składy wszystkich rzeczy naszych i ludzi służących. Karol chciał ratować swój kufer z sukniami, obok którego stał drugi pokojowego człowieka, a w nim pud prochu, przywieziony z kontraktów. Nasypując go w rogi musiał ponasypywać koło tego miejsca, i iskra padająca w mgnieniu oka dostała się do prochów, które buchnęły gwałtownie, wielką część dachu wyrwały, a Karola rzuciło więcej jak o dwadzieścia kroków na dzie-

dziniec tak opalonego, że do człowieka nie był podobny. Więcej niż pół roku męczył się okropnie, przecież przy pilném staraniu wykurowano go.

Cała garderoba nasza, futra, bielizny, materye w sztukach nie krajane, i co tylko w domu na górze było spłonęło w tym pożarze. Straciłem drogie mi pamiątki z obozu i Smoleńskiej podróży, szkody było więcej trzydziestu tysięcy, żona, dzieci, ludzie zostali w tém tylko, co na sobie mieli, a ja z tém co z sobą zabrałem do Buraków. Przyjechałem zaraz do Halijówki, a ze mną pani Morzkowska, która także była w Burakach, państwo Wyleżyńscy, panny Grzybińskie. Obejrzałem szkodę, ale ta w téj chwili nie wiele mnie obeszła, bom opłakiwał gorszą, grożącą niepowrotną stratę drogiech mi osób, najlepszych i najdawniejszych przyjaciół.

Dom nowy murowany był na dokończeniu, żona moja z dziećmi przeniosła się do czterech zupełnie już skończonych pokojów, a ja zjadłszy tylko obiad w Halijówce powróciłem do Buraków z osobami, które nas pocieszać przyjechały. W kil-

kanaście dni na ręku mojem Marcin Bukar czystego i poczciwego ducha oddał Bogu, zanio-
słem go na ramionach moich i złożyłem w kata-
kumbach gróbów familijnych w Cudnowie u Ber-
nardynów, z obywatelstwem na ten pogrzeb bardzo
licznie zgromadzoném.

W kilkanaście dni znowu zacna matka jego,
sędzina ziemska żytomińska, Bukarowa, powa-
żana dla wielkich cnót swych i rozumu, skoń-
czyła także życie i odprowadzoną została do te-
goż familijnego grobu.

W tym czasie Jan Wyleżyński, który miał za
sobą Kunegundę córkę Marcina Bukara, piękną i
bardzo starannie wychowaną osobę, został wizy-
tátorem szkół. Człęk dobrze urodzony, ale do
spełniania tak ważnego urzędu nie bardzo uspo-
sobiony, za prezesostwa księcia Czetwertyńskie-
go, był deputatem w drugim departamencie.
Czacki, nie wiem z jakich powodów zrobił go wi-
zytátorem, a on poradzić nie mógł i nie umiał
na opuszczenie i zaniedbanie w jakich zostawały
szkoły Lubarska i Owrucka. Widywałem exami-
na owe, i przypominając je sobie ubolewam nad

tém co się na nich działo; było to coś podobnego do dawnych polskich sejmików, a hulanka i kielichy cały czas zabiérały. Wizytator pobłażający wszystkich obdarzał zaletnemi zaświadczeniami i jechał dalej do szkół innych.



XXXIII.

Ciąg dalszy.

INTRYGI łoży żytomiérskiej wzięły górę, jak rzeka gwałtownie wezbrana, której już żadna tama powstrzymać nie potrafi. Tém to szczególniej szkodliwém było, że na czele łoży byli ludzie pozbawieni wszelkiej szlachetności, myślący tylko o osobistych widokach, o wyniesieniu się własném, i korzyściach pieniężnych, jakie dawały składki nieustanne, na rozmaite wymyslane cele. Gustaw Olizar z żoną byli oddawna w ściślejszej przyjaźni i stosunkach z Giżyckimi; Olizar należał do łoży warszawskiej, ale w żytomiérskiej bywać nie chciał, gardząc równie jój venerablem, jak urzę-

dnikiem panem J... Zaczęto więc operować, aby pokłócić państwa Olizarów z Giżyckimi. Było to przed samemi następującemi wyborami, na których pan Olizar, poprzednio umówiwszy się z Giżyckim miał przyjąć marszałkowstwo gubernskie, ale intryga przyjaźni między niemi rozerwać potrafiła. Nagadano przed panią Giżycką co tylko miłość własną kobiety najdotkliwiej obrazić może, drugie tyle przed panem Giżyckim, że pan Olizar ma zamiar z Giżyckim emulować, chce popsuć wziętość jego w obywatelstwie, i poniżyć jego władzę i t. p. i t. p. niestworzone rzeczy. Nawzajem panu Olizarowi na Giżyckiego nabechtano różnych plotek, i usmażono pasztet wcale nie zły.

Przyjechałem do Żytomiérza w sam dzień rozpoczynających się wyborów, i dowiedziawszy się o tém, chciałem zaraz radzić i godzić, ale już było zapóźno i do osobistości dochodziło. Olizar, aby miał prawo zostać na Wołyniu urzędnikiem zrobił tranzakcyą o wioskę w powiecie Łuckim, w czasie samych wyborów i poszliny opłacił, a tak zakwalifikowawszy się został wybrany marszałkiem Łuckim. Wincenty Ledóchowski był

po nim kandydatem. Intryganci naparli Giżyckiego i wymogli na nim, że nie aprobował wyboru Olizara na marszałka powiatowego. To obruszyło powiaty zwłaszcza Dubieński, Łucki, Włodzimierski i Ostrogski, gdzie Olizar zdawna miał wpływ wielki. Na miejscu jego został Wincenty Ledóchowski, chociaż i jego nie życzyli sobie panowie intryganci, ale tego już nie śmiał Giżycki odrzucić; został więc i marszałkiem gubernskim potwierdzony. Przez tych lat trzy było piekło w Żytomierzu, jedni podburzali Giżyckiego, drudzy z tejże ligi fermentowali Ledóchowskiego; zaczęły się niepotrzebne emulacye wzajemne, skargi do ministrów, i oba coraz się jątrzyli więcej przeciwko sobie. Ledóchowski potomek znakomitój i możnej rodziny, pełen uczuć honoru, nieposzlakowanej poczciwości i prawości mąż, stał przy swoim nie dając się na włos zepchnąć z drogi i nie ustępując w niczym, nie było więc najmniejszej nadziei zbliżenia i pogodzenia go z panem Giżyckim.

Na tych wyborach zostali: prezesem pierwszego departamentu Baltazar Komorowski, drugiego Stanisław Karwicki, obu ich prowadził związek

żytomiérski. Komorowski giętkiego charakteru, nie należał wyłącznie do żadnej partji, był dobrze ze wszystkimi, ale nadto mało miał determinacyi by działać skutecznie; Karwicki człowiek w gruncie najpoczeiwszy równie był słaby, wszystko mu było można wyperswadować, talentu nie miał, kwalifikacyi do urzędu mu brakło, stał się więc automatem, którym wedle myśli i potrzeby władał J... Podpisywał co mu podano nie rozumiejąc. Marszałkiem mógł być dobrym, ale nigdy prezesem, na niewłaściwém był miejscu. Nieposzlakowany jednak co do gruntu, bezinteresowny, nadszastał majątku karmiąc rzeszę łożową, która go odzierała. Grzybiński na drugie triennium został marszałkiem, i przyjęty do łoży, musiał być powolnym dla jej członków. Konstanty Bykowski dawny chorąży Kowelski, ściśle był z J..., ale później do największej nieprzyjaźni i osobistości przeszli.

Rokiem wprzódy byłem z panem Giżyckim w Owruclu, dawano tam dla niego bale i obiady; bawiliśmy się wesoło. Na jednej z tych uczt, dawny prezes Tadeusz Teleżyński, gdyśmy byli

w dobrych humorach, a starzy znajomi, te stosunki i przyjaźń nasza dotrwały od Lublina nierozetwanemi łącząc nas węzłami, — przychodzi do mnie i z dawną poufałością powiada mi, że życzy sobie, aby syn jego starszy Jakób, ożenił się z córką moją. Odpowiedziałem, że z chęcią na to pozwalam, bo to dogodzi sercu mojemu; poprowadził mnie do gubernatora, daliśmy sobie ręce i dobrześmy się po polsku przy tój zręczności popili. Miał przyjechać pan Jakób, ale go coś długo słyhać nie było, tylko gadano, że się starał na Wołyniu o pannę Piotrowską. Tymczasem ojciec jego zmarł żalowany powszechnie, poszło to w zapomnienie, jam już nie myślał, gdy trzeciego roku przyjeżdża pan Jakób Teleżyński, odzywa się z przyrzeczeniem dawném i o przyobiecana mu rękę córki mojej prosi. Synowi tego zacnego męża nie mogłem odmówić, a Emilija przystała na radę moją, dając zezwolenie swoje. Działo się to w październiku; na Boże Narodzenie przyjechała jego matka, na Nowy Rok był u nas senator Iliński, gubernator Giżycki i kilku naszych sąsiadów, zrobiliśmy zaręczyny; a w 1821 roku dnia trzeciego maja odbył się

ślub, na który między innemi zjechał i gubernator Giżycki.

Z tego powodu był raport do ministra, że gubernator nie pilnując obowiązków swoich, jeździ po weselach i kilka dni świeżo bawił u obywatela Ochockiego; na co odpisano, że niema tego w ustawie, żeby gubernator nie bywał na weselach, na które go proszą, lub stosunki towarzyskie powołują. Wymieniam tę okoliczność, aby dać poznać jakie drobnostki chwymano chcąc szkodzić Giżyckiemu. Córka nasza Emilija zaślubioną została panu Jakóbowi Teleżyńskiemu, wesele było liczne, familija Teleżyńskich z Owruckiego i Łuckiego powiatu, nasza, szanowni i zacni sąsiedzi nasi, senator Iliński z synami, gubernator Giżycki, przeszło sto osób kilka dni u nas bawili. Wracam od moich osobistych przygód, do czynności żytomiérskich.

Pan Komorowski miał coś do czynienia w Petersburgu; pojechał tam, interesa długo wstrzymały go, podał się do dymissy, a miejsce jego zastąpił kandydat Dyonizy Pruszyński na krótko przed wyborami. Pruszyński był charakteru dosyć gwałtownego, dumny i nie łatwy w pożyciu,

rady cudzej nie lubił słuchać, można z nim było jednak pokój zachować. J... całą swą usilność na to wymierzył by go poróżnić z Giżyckim i łatwo tego dopiął.

Wystawiono przed Giżyckim małe może omyłki, jakie się trafić mogły Pruszyńskiemu w departamencie, powiększając je i z muchy robiąc słońca, wymawiano je z natarczywością osobiście dotykając Pruszyńskiego. Zbliżały się wybory, Pruszyński zamierzał iść wszystkimi siłami na prezesa drugiego departamentu, ale znalazł współzawodnika w Eligim Piotrowskim, który go znacznie przekręskował, został tylko Pruszyński w kandydaturze. Giżycki stanął przeciw Pruszyńskiemu, łoża pomagała Piotrowskiemu, pierwszy raz trafnie i słusznie go prowadząc, bo Eligi Piotrowski był na swoim miejscu. Jego sprawiedliwość, bezinteresowność, pracowitość, bystre pojęcie, wyjednały mu szacunek publiczny i cześć jaka zawsze i słusznie otaczać go będzie. Do pierwszego departamentu wybrano pana Mołodeckiego, który krótko pourzędowawszy, uwolnił się: Pruszyńskiemu kazano zająć jego miejsce. Marszałkiem gubernskim został Piotr Moszyński, a

powiatowym żytomiérskim Dezydery Iwanowski, człek osobiście mi nieprzyjazny, nie wiem dla czego, bom mu żadnej nie dał okazji, który usiłował mi szkodzić, jak niżej powiem. Eligi Piotrowski, tak w urzędzie jak w stosunkach towarzyskich żytomiérskich okazał się godnym swój reputacyi i najzacniejszym człowiekiem. Jako urzędnik, spełniał ściśle obowiązki swoje, nie dając sobą powodować ani J..., ani nikomu innemu a tak umiał utrzymać go w karbach, że mu żadnych praktyk robić nie dał. Jako obywatel żył ze wszystkimi w harmonii, nie mieszając się do żadnych intryg i stronnictw. Giżycki go szacował i był dlań z prawdziwą przyjaźnią. Miło jest oddać sprawiedliwość tym, którzy na opinią zasłużyli czynami: cała też rodzina Piotrowskich pozyskała szacunek powszechny: wychowanie i usposobienie ukształcały ich na ludzi użytecznych i pełnych uczuć szlachealnych. Każdy z nich kwalifikował się na skuteczne usługi w obywatelstwie. Szkoda, że Konstanty i Albin zamknęli się w zagrodzie wiejskiej, są to ludzie zalet pełni, którzy na obszerniejszym teatrze z chwałaby rolę swą odegrać mogli.

W Żytomiέρzu dawne intrygi trwały, nie dając ludziom spokoju: niepokojono Giżyckiego z jednej strony, gdy z drugiej poburzano przeciwko niemu Pruszyńskiego, a nawet Piotra Moszyńskiego marszałka gubernskiego, człowieka bardzo zacnego, najlepszych serca i skłonności, naówczas jeszcze bardzo młodego i dla samego wieku nie mającego doświadczenia. Starano się poburzyć Piotrowskiego, ale ten wprędce poznał intrygę i nie dając się jój ująć, otrząsnął.



XXXIV.

Śmierć Cesarza Alexandra.

W ROKU 1825 nieodżałowany Cesarz Alexander pierwszy, w Taganrogu życie zakończył, żal narodu zaświadczał o jego wdzięczności i uczuciach dla wielkiego Monarchy. Pamięć jego dójdzie z błogosławieństwem do potomków najdalszych. Jako świadczeni jego panowania, z którego dobrodziejstw korzystałem, niech i mnie wolno będzie na grobie jego złożyć hołd należny.

Z okazji jakichś spisków, które wkrótce się okazały, a rozpostrzenione były i w naszych prowincjach, zatrzymano kilkanaście osób w wołyńskiej gubernii, powiększej części należących do

łoży żytomiérskiej, a mianowicie Piotra Moszyńskiego marszałka gubernskiego, Stanisława Karwickiego i innych. Pani Karwicka była na ślubie córki mojej Julii, było to w niedzielę, dnia 15 lutego, a we wtorek mąż jej zatrzymany został. Przyjechał po niego Rull sowietnik.

Giżycki kilkoletnimi intrygami otaczającemi go zniechęcony, obrzydził sobie urządowanie i Żytomiéř, z którego o ile mógł uciekał, zostawując zastępstwo księciu Fryderykowi Lubomirskiemu; vice-gubernatorowi. Kłopoty pokątne wzięły górę, i stan ten trwał więcéj roku, wśród największego nieładu; wreszcie Giżycki podał prośbę o uwolnienie.

XXXV.

Andrzejkowicz gubernatorem.

NARESZCIE na miejsce Giżyckiego postąpił znajomy nam dobrze Michał Andrzejkowicz, który w roku 1797 był honorowym adjutantem przy Namiestniku tutejszej gubernii, jenerale Tutolminie, a w roku 1811 zostawszy w Mińsku podsędkiem, w czasie wojny 1812 roku zastępował miejsce marszałka, i po ustąpieniu wojsk francuzkich był na tym urzędzie przez rząd nasz potwierdzonym. Z marszałka wyszedł na vice-gubernatora, potem na gubernatora grodzieńskiego, na koniec w tymże stopniu przeniesiony do wołyńskiej gubernii zastąpił Giżyckiego. Człowiek

to był zdatny do rządzenia gubernią, ze szczególnym talentem do pisania, z pracowitością niepospolitą, ale z drugiej strony chwalić go niepodobna, bo miał i wady uderzające. Po przyjeździe, zaprzyjaźnił się i połączył zaraz z nieprzyjacielem Giżyckiego Pruszyńskim, a pozostali członkowie już zanikniętej podówczas loży, otoczyli go usiłując opanować dla swoich widoków.

Wkrótce po przybyciu swoim, pan Andrzejkowicz przysłał do mnie krewnego swojego, odstawnego kapitana, pana Po... z grzecznym komplementem, że chce jako z dawnym znajomym zobaczyć się i odnowić stosunki. Był u mnie właśnie wtenczas i gubernator Giżycki, któremu już Andrzejkowicz, natchniony przez nieprzyjaciół jego i pozostałości lożowe, dawał przykre zapytania z powodu dawnego zarządu gubernią, co Giżyckiego w najwyższym stopniu obruszało, i o czém mi właśnie opowiadał, gdy nadjechał P. Po... Byliśmy w bawialnym pokoju, gdy człowiek oznajmił, że jest oficer od gubernatora i chce się widzieć ze mną; kazałem go prosić, ale odpowiedział, że ma do mnie interes i sam na sam żąda się rozmówić. Wprowadzono go do mojego pokoju, a

Giżycki popełnił mnie zaraz, żebym szedł do niego. Był to młody człowiek, grzeczny i przyzwoity, opowiedział mi z czém został przysłany, ja równie grzecznie przyjąwszy go i podziękowawszy przez niego za pamięć Andrzejkowiczowi, oświadczyłem, że wkrótce pośpieszę, dla odnowienia dawnych i miłych mi stosunków.

Po... pożegnał mnie nie bawiąc, i nie chcąc przejść do bawialnego pokoju, do którego ja wróciłem zdać sprawę Giżyckiemu z tego poselstwa.

— A cóż, pojedziesz? — zapytał mnie.

— Potrzebaby — odpowiedziałem, może ja będę tém szczęśliwém narzędziem, które panu generałowi pokój przyniesie.

— Ja nie chcę pokoju! i znać ich nie chcę — żywo odparł Giżycki, a jeśli z nim zawiążesz stosunki, noga moja nie postanie więcej w Halijówce.

— Więc nie pojedę — odpowiedziałem na to.

Gdyby był sobie dał wówczas wyperswadować, nie byłby zmuszony wypijać powoli ten kielich goryczy do śmierci, ani ja nie miałbym tych przykrości, których z tego powodu doznałem.

Tymczasem Andrzejkowicz poduszczany przez nieprzyjaciół Giżyckiego, nazbierawszy materya-

łów od fakeyonistów żytomierskich, dręczył pismami i zapytaniami Giżyckiego. Rok mijał, a ja wierny słowu mojemu, które dałem Giżyckiemu, jeszcze nie byłem u P. Andrzejkowicza. Muszę tu opisać okoliczność, która się stała powodem przykrości jakich doznałem.

Więcej od roku, pan Dezydery Iwanowski, marszałek żytomiński, uproszony od Jana Wyleżyńskiego, wyznaczył mnie administratorem Buraaków. Łatwo dorozumiałem się, że Wyleżyński znający związki moje z rodziną żony swojej, chciał mnie mieć administratorem, ażeby sam zarządzał w istocie, bez przeszkody z mojej strony. Nie chciałem obawiając się odpowiedzialności przyjmować administracyi, dając za przyczynę, że piętnaście lat wysłużwszy z wyborów, prawem uwolniony jestem od wszelkich tego rodzaju obywatelskich obowiązków. Ale pan Iwanowski niechętny dla mnie, zdecydował w opiece aby sąd niższy, nie słuchając żadnych ze strony mojej tłumaczeń, zmusił mnie do przyjęcia administracyi. Zjechali pan Gorzkowski pisarz sądowy i zasiadający w sądzie niższym pan Sztaszkiewicz; powtórzyłem na piśmie dawne tłumaczenie moje,

administracyi przyjmować nie chcąc i dodałem, że nikt mnie zmusić nie potrafi do przyjęcia i podpisania inwentarza. Można mnie wziąć, i zawieść do Żytomiérza, ale ręką moją nikt powodować nie potrafi, i administracyi nie przyjmę. Żywoscia się uniosłszy, dołożyłem jeszcze — proszę to powiedzieć panu marszałkowi, że ani jego osobiście, ani z urzędu go się nie obawiam.

Gdy to doszło do niechętnego mi marszałka, napisał raport do gubernatora, sam z nim poszedł, oskarżył mnie o nieposłuszeństwo rządowi i zuchwalstwo. P. Andrzejkowiec podchwycił to dla dokuczenia razem P. Giżykiemu, który swoją przyjaźnią zaszczycał mnie zawsze, oddał mnie pod sąd, a dwunastu huzarów z końmi kazał postawić nam na exekucyi pierwszego dnia, drugiego dwudziestu czterech, trzeciego czterdziestu ośmiu, pomnażając w ten sposób ich liczbę, póki bym administracyi nie przyjął. Byłem na wyjeździe z domu, gdy na dziedziniec zajechało dwunastu huzarów z paletem od sprawnika, z mocy rozkazu gubernatora na exekucyą. Huzary w najdokuczliwszy sposób zaczęli swoją powinność, szczęściem byli ze szwadronu majora Wegelina, który

na wezwanie moje przybiegł natychmiast, uhamował rozhukanych i bronił w Halijówce dopóty, dopóki jerlik do wystąpienia nie nadszedł.

Przyszło mi na myśl, że senator Iliński wyjeżdżał właśnie do Warszawy, od W. księcia Konstantego wezwany; napisałem list wyjaśniający rzecz całą, prosząc go o wstawienie się do gubernatora Andrzejkowicza i posłałem syna mego do Romanowa, sam zaraz wyjeżdżając do Żytomiérza. Senator Iliński, jak zawsze na mnie był łaskaw, napisał do gubernatora Andrzejkowicza usilnie wstawiając się za mną, a jeśliby to nie pomogło ofiarując się interes mój przedstawić W. księciu, do którego za parę dni wyjeżdżał. Sekretarza swojego z tym listem wysłał z synem moim natychmiast do Żytomiérza tak, że oni wprzód stanęli niżeli ja, i zaraz pismo oddali. Zajechałem wprost do Eligiego Piotrowskiego, natenczas prezesa drugiego departamentu, prosząc go żeby ze mną pojechał do gubernatora. Zaczny ten urzędnik z ochotą spełnił żądanie moje, i prawdziwie po obywatelsku wchodząc w położenie, starał się jak mógł na nie zaradzić. Było jeszcze bardzo rano gdyśmy przyjechali do gubernatora,

ale już list Ilińskiego odebrał wprzód. Andrzej-
kowiec przyjął mnie jak zupełnie nieznanego
sobie, a ja też do dawnych stosunków nie odwo-
ływałem się.

Zaczął do mnie od perory ściśle z urzędu swo-
jego i stanowiska wymierzając ją do mnie, że pan
Giżycki rozpuścił obywateli, że nikt posłusznym
być nie chce, że same zuchwałe odezwy i opór
w miejscu zastosowania się do rozkazów odbiera
i t. d. i t. d. Trwało to godzinę może; ja mając
już prośbę gotową, i służbowy mój formularz po-
dałem je gubernatorowi, przeczytał je ale na nowo
admonicye rozpoczął. Siedziałem spokojnie, a ile
razy usta chciałem otworzyć, przerywał mi mo-
rałami. Eligi Piotrowski musiał go pożegnać i jechać
na sessyą, ja także chciałem z nim razem wyjść,
ale mi kapelusz odebrał, położył go i kazał zo-
stać. Parę razy znów usiłowałem się odezwać,
ale mi nie dozwolił, siedziałem więc słowa nie
mówiąc. Umilkł nakoniec i ja mileżałem także,
milezenie trwało kilka minut, nakoniec, rzecze
do mnie; czemu pan nie mówisz?

—Boś mi pan dotąd odezwać się nie dał—odpo-
wiedziałem, a do tego prośba którą miałem ho-

nor podać i formularz wymównie za mną przemawiają.

—Prawdę rzekłszy—dodał— marszałek żytomieński był temu wszystkiemu powodem; muszę pana uwolnić od téj administracyi.

—A z pod sądu?—zapytałem.

—To już do mnie nie należy, sąd sam wyrzec o tém musi, czyś pan winien czy nie.

—A exekucya, która się dziś podwoiła?

—I to do mnie nie należy. Sprawnik ją postawił, ma prawo ją zdjąć...

—Ale postawioną została z pańskiego rozkazu.

—Badźże pan o jedénastój u sprawnika, on wyda jerlik i odejdzie exekucya.

Sprawnikiem był pan Ruszczye, litwin, który z Andrzejkowiczem przyjechał; nim do niego, pobiegłem wprzód do poczciwego Piotrowskiego na sessyą i z nim do Ruszczyca. Ten dowiedziawszy się kto jestem, natychmiast wydał jerlik, a ja go wysłałem do domu.

Kiedym się zegnał z gubernatorem rano, wyprowadził mnie aż na korytarz i zaprosił do siebie na wieczór, na obiad i bal nazajutrz, był to bowiem dzień jego imienin.

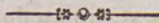
— Jakże się mogę znajdować w towarzystwie—
odpowiedziałem—kiedy jestem pod sądem?

Na to podał mi rękę i rzekł uśmiechając się:

— Złośliwy pan jesteś; zrobimy wszystko tak
żeby było dobrze.

Byłem potem wieczorem u niego, zastałem kilkanaście osób przybyłych na imieniny, poznałem mnie z żoną swoją, a rozdając karty do partyi w wista zaprosił do swego stolika. Nazajutrz byłem z powinszowaniem, na obiedzie i balu który dawał. Trzeciego dnia chodząc po mieście zrana, wstąpił do mojej stancyi, byłem już wybrany jechać do domu, poprosił mnie na obiad i wieczór—zostałem. Potem rano przyszedłem na pożegnanie ale jeszcze tego dnia chciałem być wieczorem u niego i musiałem zabawić. Przyjechałem wieczorem, i byłem w salonie bawialnym, gdy sekretarz wezwał mnie do gabinetu: Tu grzecznie powitawszy oddał mi pan Andrzejkowiez dwa papiery, uwolnienie od administracyi, i dekret sądu powiatowego z pod sądu mnie wybawiający. Podał mi rękę, oświadczając się z przyjaźnią i przepaszając za ambaras, którym mnie nabawił z powodu informacyi marszałka. Weszliśmy tedy w szeroką roz-

mowę, najwięcej i najdłużej o Giżyckim, otwarcie przestrzegłem go, że źle robi słuchając ludzi którzy go na Giżyckiego pędzą i do prześladowania skłaniają, czego w przyszłości żałować może. Dał mi do zrozumienia, że radby się z Giżyckim pogodził, zdając staranie na mnie, ale chociaż na to dom swój proponowałem i nakłaniałem do tego, Giżycki ani widzieć się, ani pierwszego kroku zrobić nie chciał.



XXXVI.

Smierć Bartłomieja Giżyckiego.

Taki stan rzeczy w stosunku do Giżyckiego, trwał blisko lat dwóch, on coraz bardziej zapadał na zdrowiu, a ciągła zgryzota może się przyczyniała do tego. Odwiedzałem go często; coraz bardziej był chory i nie polepszało mu się. Byłem u niego w wigilią Przewodnej niedzieli w roku 1827, przyjechawszy bardzo rano. Osłabionym go bardzo znalazłem, kładł się, wstawał, ubierał i rozbierał; z boleścią patrzałem na stan jego, nie puścił mnie do późnej nocy, i to dopiero gdy mu powiedział, że nazajutrz koniecznie ułożyłem sobie być w Romanowie na pożegnaniu u senatora

Ilińskiego, który wyjeżdżał do Warszawy, na wezwanie W. Ks. Konstantego. Pan Giżycki dał mi polecenia do senatora, a żegnając się ze mną był bardzo rozrzewniony. Ja musiałem z sobą walczyć bom go widział zdesperowanym i bez nadziei, a nie chciałem tego po sobie okazać.

Nazajutrz bardzo zawczasu przyjechałem do Romanowa, spełniłem polecenia pana Giżyckiego, a razem otwarcie senatorowi oświadczyłem, w jakim był stanie zdrowia. Zrazu nie wierzył temu, lecz gdy seryo powtórzyłem po kilkakroć, że jest grożące niebezpieczeństwo, postanowił być nazajutrz w Mołoczkach, i kazał mi jechać z sobą. Zostałem więc na noc w Romanowie, gdy około godziny piątej przypadł posłaniec z Mołoczek z wiadomością, że pan Giżycki z rana umarł.

Nie mogę opisać żalu mojego i boleści, przechodziły one wszelki wyraz, tak mi ścisnęły serce. Ruszyłem natychmiast do domu, całą noc oka zmrużyć nie mogłem, cierpiąc w miarę przywiązania mojego do tego człowieka. Z zacnym tym mężem żyłem w nierozzerwanj przyjaźni od pierwszych lat młodości, doświadczałem od niego dowodów szczerj życzliwości i starałem mu się od-

płacać ją nieograniczoném poświęceniem; więcej w nim traciłem niż wszyscy co go ze mną żalowali.

Nazajutrz zabrawszy żonę i dzieci wyjechałem w Owrukie do moich córek, potrzebując uciec od tego miejsca, które mi przypominało boleśnie dawne stosunki, a dziś takim nakarmiło cierpieniem. Nie byłem w stanie znajdować się na pogrzebie, chociaż list wzywający mnie, dogonił w Owrukiem.

Tak skończył zawód swój i życie Giżycki, którego piękne przymioty, poczciwość i cnoty, cechy dusz szlacheckich, odznaczały wśród wielu i stały na czele. Człowiek ten, ze znakomitej pochodzący rodziny, do pierwszych rodów w kraju liczyć się mogącej, stosownie wziął do stanu swojego wychowanie, edukacją staranną i świetną, ale przymioty jego przechodziły te dary nabyte. W towarzystwach najświetniejszych swojego czasu, nabył poluru i wielkiej znajomości świata. Natura stworzyła go by celował w wyższych sferach, zręczny, wesoły, uprzejmy i grzeczny, w młodości powszechnie był przez wszystkich kochany, i pożądany we wszystkich towarzystwach.

W zawodzie wojskowym przeżył większą część życia, komenderował brygadą jako generał-major jeszcze pod Auszterlitz, i byłby doszedł do wysokich rang wojskowych, ale żądał być przeniesiony do armii mołdawskiej, dla uniknięcia spotkania z ziomkami, którzy walczyli w szeregach armii francuskiej, w czasie wojny z królem Pruskim, któremu Cesarz Alexander pomagał. Zamiast przemieszczenia dostał wówczas prostą dymissyą, to sparaliżowało jego karierę i wstrzymało kresy tywę. Przyjął wprawdzie Cesarz Alexander Giżyckiego w r. 1814 w téj samej randze generał-majora, ale dawni towarzysze służbowi, ci nawet którymi komenderował, postąpili już byli wyżej od niego. Wybranemu na Wołyniu na marszałka gubernskiego, Cesarz dozwolił zająć to miejsce; jak został później gubernatorem, i spełniał ten wysoki urząd, o tém już mówiłem wyżej i powtarzać się nie potrzebuje. Giżycki w całym życiu, we wszystkich okolicznościach był najbezinteresowniejszym: dobry obywatel, dobry mąż, dobry żołnierz, napojony był uczuciem honoru najdelikatniejszém jak i cała jego rodzina. Miał tylko jedną wadę, nie w sercu i charakterze,

ale we krwi, wzięwszy ją w familijnym spadku; była to nadzwyczajna prędkość, drażliwość i porywezość, których poskromić w sobie nie mógł, osobliwie gdy się co tyczyło prawdy lub honoru. Naówczas ani zmilczeć, ani dyssymulować nie potrafił, to go narażało nieustannie na pojedynki, których kilkanaście odbył, wychodząc z nich zawsze szczęśliwie, a stając do nich z największą determinacją. Taż sama wada, jeśli ją tak nazwać się godzi, ta prawość i oburzenie na widok wszelkiego zła, robiło mu wiele nieprzyjaciół w podwładnych. Nie mógł znieść w nikim krzywego postępowania, powstawał zaraz na nie, o co się wielu obrażało. Na urzędzie gubernatora nie tak był użytecznym jakby się zdawało, mimo usilności i pracy, a najlepszych chęci do spełnienia jak najściślejszego swoich obowiązków; do cywilnej służby bowiem nie miał potrzebnej krwi zimnej i taktu, jakiego ona wymaga. Raz wraz, spokój jego zakłócali intryganci, dawał się ludzi i oszukiwać im i prowadzić gdzie ich osobiste wiodły widoki, a jego uczuciem honoru i oburzeniem kierowano. Postępowanie zbyt otwarte i ostre z podwładnymi, narażało go nieustannie

na nieprzyjaźni, których skutki często były ciężkie do zniesienia. Ci przyjaciele fałszywi i intryganci, na których czele stał J.... gdy gubernatorem być przestał, odstąpili go wszyscy, zwyczajem pospolitym istot tego rodzaju, przenieśli się do pana Andrzejkowicza, tam znowu podsuwając wszystkie materje palne, które on pod Giżyckiego podsadzał. To postępowanie dawnych mniemanych przyjaciół najwięcej oburzało i jątrzyło Giżyckiego, i do śmierci boleśnie się na nie uskarżał. Ci panowie początkowo sami wplątawszy Piotra Moszyńskiego i Stanisława Karwickiego w przykre położenie w jakim zostawali, sami się później cofnęli i skryli, a gdy pozostała żona Karwickiego otoczona dziećmi, obarczona interesami, w najsmutniejszym stanie była, nikt z owych dawnych braci nie pospieszył jój na pomoc, nikt się nawet nie pokazał dla podzielenia jój żalu i przyniesienia pociechy. Giżycki jako gubernator może nie był na swoim miejscu, ale charakter jego nieposzlakowany, zasady honorowe, nieinteresowność, szlachetność, do najwyższego dochodziły stopnia. Prawdę powiedziawszy, do trudności jakie w pożyciu spotykał, przyczyniać się mu-

siała i żona; była to zacnego rodu dama, siostra rodzona senatora Ilińskiego, wychowana najpiękniej i stosownie do stopnia jaki zajmowała w społeczeństwie, ale dumna bardzo i wymagająca od wszystkich adoracyj nieskończonych, jakie się jój należały dla jój piękności i wysokiego pochodzenia. Ze swojej strony lubiła upokorzyć każdego, a kto się śmiał oprzeć, nieubłaganą stawała się nieprzyjaciółką obruszając przeciwko niemu męża swojego. Wieleż to razy ze mną była wojna, za prawdy które jój mówić śmiałem, mąż przecie zawsze stronę moją utrzymywał.

Pani Giżycka nie mogła sobie obchodzeniem się takim zjednać nikogo, odstręczała jeszcze wygórowaną dumą swoją. Damy więc rzadko bywały u niój, a przybywające długo czekać musiały nim się pokazała, i często odjeżdżały obrażone sarkazmem, co naturalnie i mężów dotykało. Po śmierci Giżyckiego, pani generałowa największą część życia spędziła za granicą nie mogąc tu sobie stosownego znaleźć towarzystwa, zmarła wreszcie w Wiedniu.

Gubernator Giżycki miał trzech braci: Antoniego miecznika kijowskiego, kawalera orderu S.

Stanisława, który, jak wyżej mówiłem, dawszy dowody cnót obywatelskich skończył życie bezpotomnie; drugiego Franciszka Salezego, pułkownika wojsk polskich, który z Weroniką Sulatycką, zostawił syna Nepomucena, już po śmierci rodziców z Józefą hrabianką Walewską ożenionego, marszałka żytomińskiego, godnego ze wszech miar swęj rodziny, odznaczającęj się obywatelstwem a dziś jedynego dziedzica znacznego majątku po rodzicach i stryjach, i imienia téj linii ostatniego reprezentanta. Dwie siostry jego, piérwsza za hrabią Chołoniewskim, druga Cecylia za Stempkowskim, wnukiem wojewody kijowskiego były. Adam trzeci brat gubernatora, w młodym wieku, będąc w wojsku zszedł bezpotomnie z tego świata.

Mieli jeszcze siostrę Salomeę, która była za Dominikiem Oskierką synem strażnika polnego W. księstwa litewskiego, kawalera orderu Orła Białego i S. Stanisława, który w r. 1794 ogromny majątek i osobę swoją poświęcił w usługach krajowych. Pani Oskierzyna w młodości swęj piękna, skromna, utalentowana, odebrała wychowanie najstaranniejsze, ozdobą mogła się nazwać pleci swojęj, a urokiem cnót zyskała szacunek po-

wszeczny. Wdzięki z czasem znikły, ale przymioty trwalsze pozostały i miło im oddać hołd należny. Wypadki bolesne w których sercem udział brała, zrujnowały jój zdrowie, potraciła wszystkich najdroższych sobie, braci, męża, nakoniec córkę, która była za Janem Giżyckim; umiała się poddać niecofnionym wyrokom, z uczuciem religijnój rezygnacyi wzbudzającym szacunek.... Z małżeństwa tego zostali dwaj synowie: Kajetan i Władysław, którzy z przymiotami i zdolnościami dziedzicznymi weszli w zawód obywatelski.

XXXVII.

Wołyńskie wypadki.

NA następujących wyborach, marszałkiem gubernskim obrany był Czacki, który już zajmował tę posadę po usunięciu Piotra Moszyńskiego; na prezesów do pierwszego departamentu obrani, Świętosław Bierzyński, do drugiego Jełowicki, który lat piętnaście był marszałkiem rowieńskim, człek bardzo zaeny, kochany w swoim powiecie, rozjemca wszystkich powaśnionych, przychylny dla współobywateli urzędnik, zgoła obywatel w całym wyrazu tego znaczeniu. Byłem właśnie przytomnym, kiedy go powiat Rowieński zęgnął ze łzami i oddawał w ofierze za urzędnika gu-

bernii. Pokazało się jednak, że na prezesa był za słaby, robiono co kto chciał, oprzeć się nie umiał, w departamencie tym J... wszystkiem rządził. Te trzy lata dały początek nadużyciom, które się później powiększyły jeszcze. Bierzyński bardzo poczciwy człowiek, z honorem zajmował miejsce swoje. Przeciwko urzędowaniu Czackiego, żadnego zarzutu zrobić nie można; nie był to jednak marszałek gubernski, jakim na téj posadzie byłoby mógł kto inny. Na żytomiérskiego marszałka szedł Głębocki i Ludwik Kraszewski, ale Głębocki go przekręskował więcej niż półową wotów. Pan Jezierski z pomocą różnych został znowu sędzią, Kondracki i Grocholski pod-sędkami.

XXXVIII.

Koniuszy Koronny Kozens i jego rodzina.

JA, o ile możności unikając publicznego życia, rzadko bardzo bywałem w Żytomiérzu, poświęciłem się całkiem gospodarstwu i żyłem z mojami sąsiadami. Wymurowałem gorzelnię, która mnie do trzydziestu tysięcy kosztowała, przepędzałem w niej do czterech tysięcy korey żyta, a w ostatnich rachunkach miewałem trzy tysiące ośmset lub mało co mniej i więcej spustów wódki. W pierwszych latach żyto było po złotych ośm, a wódki spust po ośmnaście, za brahę dla stu wólów, jeśli swoich nie stawiłem płacono mi po rubli trzysta, do tego po sto stosów drzewa, po

rubli dziesięć stos dostawiałem do Berdyczowa, co wszystko mi szwajcarowie jak najregularniejsz opłacali, i przez lat pięć dobrze się nam jakoś działo. Byliśmy w stosunkach wszelkich z państwem jeneralstwem Kozensami. Sam bardzo zacny człowiek; pani Kozens, Wegelinówna z domu, piękna, grzeczna, dobrze wychowana, pełna talentów, stanowili dla nas bardzo miłe sąsiedztwo, i tak ścisłą z nami połączyli się przyjaźnią, żeśmy się codziennie niemal z największą przyjemnością widywali, z powodu zbliżenia, bo kupili Wolicę o dwie werstwy od Halijówki położoną.

Z téj racy i cała rodzina pani Kozensowój, była nam równie dobrze znajoma, a pan Emil Wegelin od najmłodszych lat bywał w naszym domu. Kochaliśmy go wszyscy jak krewnego i młodzieńca największych przymiotów. Pan Kozens w piątym roku swojego mieszkania w Wolicy, został powołany przez Cesarza Alexandra do służby dworskiej na koniuszego koronnego; przeniósł się więc z żoną do Petersburga, gdzie go spotkały i honory i dostojęstwa i ordery i bogactwo. Pani Kozensowa została damą orderu Ś. Katarzyny. Byli tu kilka razy z Petersburga

oboje, a zawsze dawali nam dowody swojej stałej przyjaźni, i jak dawniej utrzymywaliśmy z nimi korespondencją, póki śmierć jej nie przerwała.

Państwo Kozensowie odjeżdżając ztąd puścili dzierżawą Wolieę szwagrowi swemu majorowi Sassowi, który po odjeździe ich wraz z żoną, z matką samą i siostrą jej Julią, co poszła za pana Grawe dziś pułkownika żandarmeryi, zaczęli mieszkać w Woliey. Otworzyły się stosunki z nami; pan Sass, człek bardzo dobrze urodzony i wychowany, który gruntowną odebrał edukacją, synem był jenerała tego imienia, na nieszczęście zbytecznie lubił butelkę. Żona jego piękna, wielkich enot i przymiotów kobieta, równie siostra jej Julija wyrównywająca we wszystkiem pani Sass, miłem dla nas były towarzystwem. Matka ich, z domu hrabianka Igelström nieoceniona dama, równie z wszystkiemi bolała nad nieszczęśliwą zięcia skłonnością, na którą cierpiał dom cały. Byliśmy z tą rodziną w największej przyjaźni. Pan Emil Wegelin zostający w służbie wojskowej, odwiedzając rodzeństwo bywał i u nas. Zostawszy majorem był w pułku hu-

sarskim księcia Wittgenstejna i stał w Karpowcach, dom nasz był jego domem.

Pan Sass strwoniwszy do milijona fortuny po ojeu, a do czterech kroć sto tysięcy rubli assygnacyjnych po ciotce, pozwolił wreszcie na rozłączenie się z żoną i przy tym rozdziale staraniem mojem ochroniła się jeszcze jakaś cząsteczka majątku, a pani Sassowa zabrawszy syna i córkę wyjechała do siostry pani Kozensowój do Petersburga. Tam miała szczęście być przedstawioną dzisiejszój Cesarzowój pani, opiekunce instytutów wychowania kobiecego, a mądra pani ta rozpoznawszy jój przymioty kwalifikujące ją na rządzynię instytutu pod jój zwierzchnietwem zostającego w Póltawie, naznaczyła tam miejsce dyrektorowój pani Sass. Sprawia ona do dzisiaj ten urząd z honorem dla siebie i zadowoleniem opiekunki. Major Sass, smutnie życie skończył osiadłszy pod Winnicą w futorze, od żołdata jakiegoś kupionym.

W czasie wojny z Turcyą, pan Emil Wegelin był adjutantem przy główno-komenderującym feld-marszałku, natenczas hrabi a dziś księciu Wittgenstejni, w randze majora. W roku 1830

odebrałem niespodzianie list od pani Kozensowój koniuszynie z Petersburga, z mocną i wielce obowiązującą prośbą, żebym jechał do Raszkowa na ślub jej brata pana Emila, z panną Tutolminówną i zastąpił na nim miejsce ojca. To żądanie tak zaszczytne, dogodziło sercu memu. Znałem bardzo dobrze dziada panny Tutolminówniej, który za Katarzyny II był namiestnikiem w kraju naszym; znałem go jako możnego pana i co do dóbr i co do dostojności, wiedziałem na jakiej stopie i na jaką skalę urządzone był dom jego, a nie odebrawszy wezwania od samego pana Emila i obawiając się dumy magnackiej, którąby może obraził przybrany ojciec pana młodego, nie mogłem pojechać na to wesele. Przeprasilem więc panią Kozensowę zwalając na inne zawady, niebytność moją na tej uroczystości. Wkrótce po ślubie odebrałem list od pana Wegelina, w którym się użalał, że nie byłem na jego weselu, nie spełniłem życzenia siostry jego i gorących jego żądań, proszący zarazem, abym go odwiedził i poznał żonę jego. Sama pani Wegelinowa, choć nieznajoma, obdarzyła mnie także przypiskiem. Wybrałem się

w początku września z synem moim Antonim do Raszkowa.

Było jeszcze dosyć rano gdyśmy przybyli nad Raszków; leży on na cyplu trzymilowej płaszczyny, jakby na oderwanój od ciała swojego podolskiej ziemi, na krańcu dawnój granicy polskiej od Mołdawii. Miasteczko pokazało się nam jak gdybyśmy z góry patrzali na rozłożoną kartę, a przy nim szeroki i bystry Dniestr, który z niesłychaną szybkością, spienione swe i mętne wody niesie w dani do Euxynu. Dniestr ów, co za Zygmunta III, Władysława IV, Jana Kazimierza i Jana III tylekroć zafarbowany był krwią polskich rycerzy unosząc ciała i pogolone łby turbanami pookręcane najezdników bisurmańskich. Stanęli mi w oczach owi Potoccy, Lubomirsey, Chodkiewiczze, którzy z małą garścią hufeów swoich, krocie czcicieli fałszywego proroka gromili i topili w wezbraném Dniestru korycie; przyszedł mi na pamięć ów hetman Żółkiewski, który za Dniestrem pod Cecorą poświęcił życie w obronie kraju, gdzie do dziś dnia stoi wzniesiony w miejscu jego zgonu pomnik granitowy, coraz niszcząc i rozwalając się nieposzanowany, a naostatku

i Władysław Jagiellończyk, Warneńczykiem zwany, który pod Warną życie i kwiat swego rycerstwa utracił.

Te przypomnienia wprawiły mnie w długie i smętne dumanie; tymczasem ekwipaże gotowano do spuszczenia się z długiej dwówerstowej prawie góry, pohamowano koła i ruszono powolnie. My postępowaliśmy po kamieniach drogą z wielką pracą wykutą w kształcie wąwozu. Na prawo i lewo po bokach widać było okropne jary, może trzysta sążni głębokości mające, których dna dójrzć prawie było trudno, najeżonego ogromnej wielkości skałami, jak mi się zdawało z rodzaju wapienia muszlowatego.

Spuściliśmy się nakoniec w dół do miasteczka, które leży z lewej strony Dniestru, otoczone prostopadłemi nagimi górami i wygląda jak przemożna forteca z wysokimi ścianami, które wznosiły wieki.

Słońce jeszcze było nie osuszyło roślin z brylantowych kropel rosy, bo tylko co się z za gór wydobywało, i promienie jego z ukosa padały na te ściany nagie, gdzie niegdzie tarnem porośle i krzaczkami róż polnych ozdobione. Nie mo-

gliśmy się nasycić widokiem wspaniałym zarazem, ponurym i przenikającym. Uważaliśmy skład warstw w tych skałach, które są tak zmassowane horyzontalnie, jakby je umyślnie w ten sposób pozostawiano.

— Oto jest plac, rzekł mój syn, na którym żywiły w czasie wielkiego kataklyzmu odbyły straszliwą walkę. Jak trupy na cmentarzu leżą tu ogromne złomy potrzaskane, trwając wieki, omszone, oczekując może na nową walkę, co je pogruchoce, uniesie lub w proch zetrze i zniszczy.

Jechaliśmy zwolna nie mogąc się dosyć nasycić tą przerażającą wspaniałością widoku. Nakoniec stanęliśmy w miasteczku, dziś mało obszerném, a za dawnych czasów rozległém i bardzo kwitnącém z powodu pogranicznego handlu. Znać to jeszcze z dziewięciu cerkwi, po większej części w gruzach leżących. Kilkadziesiąt familij ormiańskich zamieszkiwało Raszków, mając w ręku handel Stambulski, na całą prawie Polskę rozciągający się. Lubomirscy wybudowali tu swoim kosztem wspaniały kościół i uposażyli go dostateczną prebendą. Dwie wysokie wieże, mury z powytłukanymi oknami, równie jak ruiny upa-

dłych cerkwi, na których znać z architektury, że przetrwały wieki, zapowiadają blizki upadek resztek téj wspaniałości. Raszków z całym ogromnym terytorium, na którym dziś siedzi kilkunastu bogaczy, był spadkową własnością przodków księcia Alexandra Lubomirskiego, kasztelana kijowskiego. Cesarzowa Katarzyna II, po zajęciu kraju tego, kupiła tę majątność przyjmawszy pięć kroć sto tysięcy czerwonych złotych długu w banku holenderskim przez Lubomirskiego zaciągniętego. W pierwotnych skazkach było w tém państwie piętnaście tysięcy dusz, z tych Cesarz Paweł I, dał pięć tysięcy dusz wraz z miasteczkiem Tymofiejowi Iwanowiczowi Tutolminowi dziadowi pani Wegelinowój w zamian za Brailowszczyznę, którą powrócono Czackiemu. Dobra te dostały się później synowi generała Tutolmiana, Aleksiejowi Tymofiejeczowi Tutolminowi, który Ormian wszystkich z Raszkowa usunął, co niby sobie żydzi wyrobili u niego jak powiadają. Ormianie przenieśli się do Kamiénca i Chocimia, a najbogatsi z wielkimi kapitałami wyszli do Lwowa, gdzie osiedli. Na miejscu ich rozposażyli się Izraelici, zabrzydzili miasteczko, pochwycili w rę-

ce swoje handel i dziś Raszków wygląda jak pustynia, zwyczajnie obrzydliwe żydowskie miasteczko, w którym pozostali łachmaniarze kwatérki pilnując, ostatnie soki z chrześcijan wysysają. Znikł handel i jarmarki Raszkowskie, i od-tąd osada ta upadać zaczęła.

Z miasteczka udaliśmy się do pałacu, gdzieśmy byli dobrze przyjęci. Dopełniłem obowiązku i pragnienia serca, poznając panię Wegelinową. Była to osoba piękna, grzeczna, ślicznie wycho-wana, skromna do najwyższego stopnia i czule kochająca męża. Matka jój, ze znakomitego tak-że pochodząca rodu, w kwiecie wieku zapewne musiała być bardzo piękną, czego ślady czas o-szczędził; nie ustępowała w grzeczności i przy-jemności córce, twarz jój zawsze uśmiechem ozdo-biona, mowa i obejście pełne wdzięku i słody-czy, uprzyjemniały chwile pobytu w tym domu. Bawiliśmy parę tygodni, a czas zbiegł niepo-strzeżenie w dobrém towarzystwie, nakoniec od-jeżdżających, odprowadzili nas oboje państwo We-gelinowie do Tuleczyna i tam przyobiecali odwie-dzić wkrótce w Halijówce. Powróciwszy do do-mu zdawaliśmy sprawę z naszej podróży przed

resztą familii, gdy we dwa tygodnie przyjechali oboje państwo Wegelinowie, a wszyscy przekonąć się mogli, żeśmy w pochwałach nie przesadzali. Pani Wegelinowa zyskała sobie serca całej naszej rodziny, i oczarowała wszystkich. Bawili u nas trzy tygodnie, przyjmowaliśmy ich jak krewnych i przyjaciół z największemi staraniami i wylaniem serca. Ostatniego października wyjeżdżali od nas, odprowadzili ich zięć mój Teleżyński i syn Antoni do Ułanowa. Po ich odjeździe w nocy zachorowała żona moja; posłałem zaraz po doktora Romańskiego. Bywał regularnie od téj daty do kwietnia co trzeci dzień, biorąc po dziesięć rubli gdy kilka godzin bawił, a gdy nocował po piętnaście rubli srebrnych, za pocztę zaś osobno po dwa ruble czasem trzy, a gdy droga zła bardzo była po cztery. Dołożywszy wydatki na aptekę i kosztowne kąpiele, można zmiarkować co to wyniosło. Ale jedna bieda nie dokuczy, dobre to przysłowie. W tym roku, przed Bożem Narodzeniem, gorzelnia spółna, pięćset korey gotowego surowcu, tysiąc pięćset spustów wódki w magazynach, osmdziesiąt wołów, zgoła szkody do czterdziestu tysięcy

wyniosły. Ujęło się znaczniej i wygodniej intra-ty, a wielkie wydatki przybyły. W środku marca 1831 roku, przejeżdżał tędy ze Lwowa doktor pan Polakiewicz, umyślnie sprowadzony za pięćset czerwonych złotych do Rudego Seła do pani Stanisławowej Zaleskiej, Sosnowskiej z domu. Romański doktor przywiózł go do Halijówki z Lubaru. Bawił u nas dwa dni, i jego receptom i wskazówkom dalszej kuracyi, winni byliśmy, po sześciu miesiącach słabości, powstanie mojej żony.



XXXIX.

Jenerał Potemkin gubernatorem.

OD roku już zmieniony został pan Andrzejkiewicz i z powodu nadużyć za jego zarządu, pod sąd oddany. Siedział długo w Żytomiérzu w małym dworeczku, dla odpowiedzi na zapytania, które mu dawano, odstąpiony nagle od wszystkich, którzy go dawniej fałszywą przyjaźnią otaczali. Ile razy byłem w Żytomiérzu zawszem go odwiedzał, skarżył mi się, że go dawni jego przyjaciele opuścili w najcięższym razie; na co mu odpowiedziałem, że mógł to przewidywać po ich postępowaniu z Giżyckim. Zastąpił go rzeczywisty radzca stanu pan Aweryn, o którym nie

powiedzieć nie mogę, bo go nikt prawie nie znał, nikt u niego nie bywał, z nikim się nie komunikował. Prowadził życie bardzo skromne, najpoufalej będąc z Mejerem naówczas prezydentem miasta Żytomiérza, z którym nierozdzielnie czas trawił, na przejażdżki jeździł i obiady z garkuchni od Dobrowolskiej jadał.

W tym roku były wybory, nie byłem ja na nich: marszałkiem gubernskim został pan Gracyan Leńkiewicz, prezesami pierwszego departamentu Świętosław Bierzyński, potwierdzony, drugiego Ignacy Teleżyński z Wołynia. Na marszałka żytomiérskiego utrzymał się Głębocki, i pana Kraszewskiego idącego z nim w zawody o wiele przekrósował. Zrzucono pana Jezierskiego z sęstwa, a Chamiec sędzią się utrzymał, Jezierski zaś kandydatem. Pan Chamiec przed laty kilką był deputatem sądu głównego pierwszego departamentu, odbył tę funkcją z honorem i nieskazitelną bezinteresownością, ale później wpadł w komplet, któremu oprzecz się nie był w stanie. Robiły się więc nadużycia niesłychane. Wybory te co do sędziów były na lat sześć. Zaraz po nich zjechał na gubernatora i zamie-

szkał w Żytomiérzu jenerał Potemkin. Był to mąż zaćności wielkiej, przystępny, łagodny, sprawiedliwy, słowem obdarzony wszystkimi przymiotami jakich tylko po rządce kraju wymagać można, i stworzony do zajmowania tego miejsca.

Potemkin kochany był od wszystkich klass, i nie można też było nie mieć dlań tego uczucia.

Oprócz klęsk innych, o których mówić nie chcę, przyszła do nas ta straszna cholera, której wprzód imienia nawet nie znaliśmy; grasowała w Berdyczowie, Żytomiérzu i po wsiach. Berdyczów przez kilka tygodni był zaparty, a dla natłoku w domostwach i nieczystego ich utrzymania, najwięcej żydów zginęło. W lutym skończył życie jenerał-gubernator Potemkin, płakał go cały Żytomiérz, żalowaliśmy wszyscy, familija wystawiła mu wspaniałą i bardzo ozdobną kaplicę nad zwłokami jego, na cmentarzu greko-rossyjskim w Żytomiérzu. Zastąpił go jenerał-adjutant Lewaszow ze wszystkimi zdolnościami na rządce obszernéj części kraju, czynny, bezinteresowny, ale w nieszczęśliwéj epoce

dostała mu się ciężka do spełnienia missya. Na miejsce Aweryna, nastąpił radzca stanu Korsakow.

Wypadków tych lat nadto blizkich i rozraniających świeże jeszcze boleści, opisywać nie będę, powiem tylko, że skutkiem strapień, niepokoju i doznanej trwogi o siebie i drugich, żona moja i syn postradali zdrowie.

Wszelkich używałem środków na zatrzymanie przy życiu miłych sercu mojemu osób, sprowadziłem nawet jasnovidzącą, panią Baranowską, która kilka tygodni siedziała u nas. Mieliliśmy z nią tylko subjekeyą wielką, bo codzien się po kilkadziesiąt osób zjeżdżało z ciekawości lub po radę, a słabi moi pomocy nie doznali. Ten stan ich przeciągnął się do pierwszego listopada; dnia tego w nocy zachorowała żona moja na nowo, jak w roku przeszłym. Odwiedzał ją pan Romański, a na konsylia zjeżdżali panowie Mochnecki i Kolett. W końcu stycznia przywiozła córka moja Teleżyńska, pana Prawosudowicza doktora świeżo z Akademii Wileńskiej wysłanego, ten był przy niej nieodstępny do śmierci, a prócz niego przyjeżdżali i inni; ale nie było ratunku.

Dnia drugiego marca 1832 roku skończyła życie. Wprzód jeszcze biskup Łucko-Żytomiérski, ksiądz Piwnicki, przysłał nam indult na odprawianie mszy św. w jój pokoju, a po zgonie w całej dycecyi rozkazał pięknym swym listem pasterskim ogłosić zejście jój z ambon i prosić o modlitwy za jój duszę. Złożyłem te drogie zwłoki w grobie murowanym na cmentarzu parafialnym w Krasnopolu i postawiłem nad niemi pomnik granitowy; jest to grób nasz familijny. Dziesiątego marca był jój pogrzeb, syn mój zrozpaczony i chory szedł za jój karawanem po rozstającym śniegu z Hałijówki do Krasnopola co stan zdrowia jego pogorszyło jeszcze. Pan Mochnecki wziął go w kuraeyą swoją i póki trwało lato zdawało się lepiej.

W tym czasie, w sierpniu, odebrałem list z Petersburga od pani koniuszynéj Kozensowéj, z gorącym żądaniem, żebym jechał do Raszkowa i trzymał do chrztu syna państwa Wegelinów nowo narodzonego z panią Kozensową, na co plenipoteneyą przyznaną w aktach przysłała. Zarazem odebrałem wezwanie i zaproszenie podobne od państwa Wegelinów; wyjechałem więc

z synem moim do Raszkowa i trzymałem to dzie-
cię sam jeden, a plenipoteneya pani Kozensowój
leżała na ołtarzu.

Po powrocie naszym z Raszkowa, syn mój go-
rzój zapadł: cierpienie które miał w gardle rzu-
ciło się na twarz, i pięciu doktorów, którzy go
mieli w kuracyi, oświadczyli mi przed Bożem Na-
rodzeniem, że nie znajdują specyfiku na jego cho-
robę, decydując żebym go wysłał do Berlina. Szcze-
ściem przyszło mi drogę Berlińską obrócić na
Wilno; zięć mój Witalis Teleżyński ledwie go do-
wiozł do Wilna. Pisałem przez niego do pana
Sniadeckiego, jako do dawnego znajomego z Kra-
kowa, prosząc gorąco o ratunek dla mego syna.
Zacny profesor zrobił konsylium z fakultetem
medycznym i przeznaczył Poreyankę profesora
kliniki na ordynatora, sam odwiedzał go codziennie.
W tydzień otrzymałem przez sztafetę list Sniadec-
kiego, że lekarze tutejsi niepoznawszy choroby,
przeciwie ją traktowali, z zapewnieniem, że syn
mój będzie zdrow, co się sprawdziło w początku
ezerwea,



XL.

O b r a z k i.

Nie bez zasady powiedziano, że sień daje wyobrażenie o domu i jego właścicielu, wchodząc do niej, po jej czystości i porządku, po opuszczeniu i brudzie wnosim o charakterze gospodarza, i z ochotą lub wstrętem puszczamy się do dalszych pokoiów zaczynając od przedpokoju ocieplonego, ochędźnego, w którym zdjąć można bezpiecznie futro, bez obawy przeziębienia.

Lecz by gościa zupełnie zaspokoić, wiele jeszcze potrzeba; nie dosyć mebli drogich i smakownych, które dogadzają tylko miłości własnej gospodarstwa, nie dość serwisów stołowych i herbacianych,

kuchni i usługi, trzeba głównie uprzejmości, gościnności i tego taktu, który daje znajomość świata, dobre wychowanie i nawyknienie do przyjmowania u siebie różnego stanu i powołania osób. Samą tę grzeczność, której po gospodarzu wymagano, bardzo jeszcze rozmierzyć potrzeba, aby nie przechodziła w unizoność i nie zarywała na pychę, a gość nie był ani tonem górnym gospodarza, ani dokuczliwem nadskakiwaniem i zbytnią pokorą obarczony. W życiu mojem widziałem wiele prawdziwie pańskich domów, we wszystkich zachowywano formy jedne przyjęte: przedstawienie się panu i pani domu, dawało prawo bywania, na co otrzymywało się pozwolenie alias zaproszenie raz na zawsze; później gość dobrze widziany i miły, przyjmowany był z uprzejmością i gościnnością właściwą krajowi naszemu. Takimi były domy w Puławach u książąt Czartoryskich, w Tulczynie Potockich, w Opolu książąt Lubomirskich, w Nieborowie książąt Radziwiłłów, w Nieświeżu księcia Karola Radziwiłła najmożniejszego w Polsce i Litwie pana, zwanego pospolicie Panie Kochanku, w Łancucie książąt Lubomirskich, w Podhorecach Rzewuskich, w Sławucie i Zastawiu książ-

zają Sanguszków; nie zgrzeszę gdy dla okazałości, wygody i pańskiego przyjęcia przyłączę Łabuń Stempkowskię, wojewody kijowskiego i t. d. i t. d.

Takie to były za czasów mojej młodości pańskie prawdziwie domy otoczone licznym gronem klientów i synami ich dworzanami, usługą wielką, nadwornym żołnierstwem; utrzymywały się na stopie książąt udzielnych, i dziś już takich weale nie widzimy, a generacya młodsza wyobrazić ich sobie nawet nie potrafi. Pamięć z radością przywodzi nam je przed oczy, ale wraz i boleść następuje, gdy przypomnim żeśmy postradali tęklejnoty, któremi się przez kilka wieków kraj zdoił, a potomni ledwie ich imiona usłyszą.

Pozostałe dziś po tych patryarchach wnuki, utrzymują domy na stopie mierności, znać jednak zawsze czém byli przodkowie; jest w nich grzeczność, gościnność, ton właściwy i sposób obęjsia, nieutrudzający ani gospodarza ani przybyłych i dający obojgu swobodę.

Nie mogę pominąć domów spadko biereów dawnych panów skarbników, czesników, podstolich i tych, których synowie przy szczipłych fortunkach siedzą na swoich wioskach od dziadów wraz z eno-

tami przekazanych; tam bez wielkiej wystawy i ezezego nadęcia, jest jeszcze staropolska poczciwa gościnność.

Lecz z kolei przeszedłszy do pałaców tych dórobkowiezów, których ojcowie lub dziadowie byli komisarzami, rachmistrzami, ekonomami kluczowymi, pisarzami prowentowemi i podstarościami u Potockich, Radziwiłłów, Lubomirskich, Sanguszków, a ich dzisiejsi potomkowie mają po tysiąc, dwa lub trzy dusz, i marszałkami powiatowemi, chorążemi, podkomorzemi, deputatami szlacheckimi lub nawet od gorących trunków zostawszy, nabyli przez to tytułu Jaśnie Wielmożnych... smutno patrzeć! Są to dzisiejsi, niestety, magnaci, ale im brak wychowania, poloru, jakiejś niewymuszonej i naturalnej maniery, a przebija się nadto surowizna, którą pychą zakrywając, jeszcze ją widoczniejszą czynią.

Właśnie w tym roku interes pewien zaprowadził mnie do jednego z tych jaśnie wielmożnych marszałków, i nie mogę się powstrzymać, bym tych odwiedzin nie opisał. Zajechałem przed pałac okrążony kolumnami, wchodzę do sieni czy przedpokoju pełnego lokajów z guzami herbowe-

mi, z blachami herbowemi, z taśmami herbowemi; zapytuję czy jest pan.

— Jest — odpowiadają.

Cheć wejść do pokoju... wtém służalec spełniającej obowiązki kamerdynera, zapiera mi drzwi, i pyta kto jestem.

— A na co ci ta ciekawość?

— Potrzeba *dolożyć*.

— Co? komu, będziesz i do czego *dokładał*?

— Panu?

— A czegoż mu braknie, że chcesz *dokładać*?

— Ale, jak się pan nazywa?

— Wie on bez ciebie dobrze moje nazwisko.

Cheć iść, sługus zastępuje mi drzwi, trzymając kławkę i chce się koniecznie dowiedzieć jak się ja nazywam.

Gdybym należał do bałagulów byłaby z tego awantura gotowa; unikając jój powiedziałem nazwisko, kamerdyner poleciał, a ja udałem się do paradnych pokojów.... przeszedłem salon jeden bogato i gustownie umeblowany, w drugim takimże spotkałem gospodarza, i słyszę jak woła:

— Ah! pardon!

— Za cò?

— Późno mi człowiek *dolożył*, nie mogłem wyjść przeciwko panu.

— Jabym już pana dawno powitał— odpowiedziałem— ale człek pański kilka minut mnie zatrzymał i wejścia mi wzbraniał, domagając się wprzód mojego nazwiska, a że mi się zdało nie potrzebném na wsi meldowanie się i co więcéj czekanie w przedpokoju, nie chciałem mu się przyznać kto jestem.

— Ah! *pardonnez! pardonnez!* powtórzył mi to razy z dziesięć?

Poprowadził mnie za tém przez parę pokojów, zastałem dziewięć osób w dużym pokoju, niby gabinecie, jeden pykał cygaro, drugi ssał z cybucha długiego ogromnym uzbrojonego burszty-nem, dwóch czy trzech trzaskało pejcjami, inni przyśpiewywali. Znalazłem jakoś kilku znajomych, między niemi najpiérwszego pana podkomorzego, staruszka, nizkiego, okrągłego, łysego z nosem czerwonym niewielczkim, którego za dawniejszych czasów znałem w Żytomierzu chodzącego w kubraczku niebieskim z czarnym kołnierzem, niby mundurze kijowskim, zielonym pasikiem okręconego. Ten strój służył mu od Wielkiego

piątku i od Wielkiejnocy, na Boże Narodzenie i zapusty; był nędznym jurystką, ale pilnując papieru dochrapał się cząstkowej plenipotencji w dobrach Smilańskich, potem całkowitej specjalnej, i z niej urosł tak, że do jednej jego duszy, parę tysięcy cudzych przybyło.

Gospodarz wskazał mi miejsce na kanapie obok podkomorzego: rozmowa toczyła się między starszemi o gorzelni, wołach, pszenicy, złych targach; młodszy rozprawiali jeszcze o jarmarku Berdyczowskim z którego świeżo powracali, o kursach, diabelku, koniach po stajniach, porobionych sprawunkach, guzikach i frakach. Jeden młody paniczek, którego dziada i ojca bardzo dobrze znałem, kręcił się w surduciku granatowym gęsto szamerowanym a niedłuższym od stanu nad pięść nie wielkiej ręki, chodził niespokojnie, poszedł do dużego zwierciadła, obejrzał się starannie, poprawił halstuka, poukładał włosy, pokręcił bródkę hiszpańską, zatarł czupryny upomadowanej, i do góry wąsiki ledwie wschodzące skierował, nareście w głos przerywając rozmowę:

— Patrzcie panowie co to za surducik! zawołał— przyszedł mi prosto z Paryża, tysiąc rubli

stawię, że drugiego podobnego w kraju nie znajdzie. Sukno prawdziwy sedan, co za guziki, jakie potrzeby, a kroj, a szyk! Jakie boskie szyciel! To mówiąc zbliżył się do mnie, każąc mi gładzić sukno, obmacywać potrzeby i zapewniał że cztery razy do roku, stosownie do pory, odbiera transporta sukien z Paryża od Humann, jakie tylko są najmodniejsze.

Nie nie powiedziałem, tylkom westchnął myśląc jak dziad jegomościu z harapem w ręku przy kilkuset żeńcach w Kowalowieckim kluczu, w kurcie i hajdawerach ze zgrzebnego płótna, lamówką niebieską kitajkową ukraszonych, na hetce z końca w koniec pędzał się około długiego szeregu pańskich robotników. Nie znał pewnie innego krawca nad Niemirowskiego Moszka lub Jankiela, z którym dobrze się natargował nim mu tę kurtę i szarawary wysztyftował, a dla babuni zieloną kamlotową szubkę, lisami za wykłady uzbieranemi, podbił. Muszę tu wspomnieć co nazywano *wykładem*. Za dawnych czasów chłop idący na skargę do ekonoma, nigdy nie przyszedł z próżnemi rękami, kładł rubla, dwa, czasem dziesięć, skórę wilka lub lisa, i to się zwało *wykładem na win-*

nego szyję.... Jeżeli pozwany przegrał sprawę, wracał aktorowi wykład jego; jeśli aktor nie miał słuszności, wykład zostawał przy ekonomie. Był to wyderkał niegodziwy, ale z zastarzałego pochodzący obyczaju.

Paniczykowie, których oprócz surducikowego, było trzech jeszcze tego rodzaju, wszyscy jednego typu, byli z wąsami, bródkami hiszpańskimi, bakenbardami; u jednego tylko z pod halsztucha wysunięta była broda na pięć cali długa, w koło utapirowana i zawinięta w lok okrągły, nakształt dawnym obyczajem za moich czasów noszonych przez biskupów i kanoników włosów z tyłu głowy lub eleganckiej brody żydowskiej. Ci ichmość wszyscy odzywali się z ogromnemi sentymentami, poświęceniem, odgrózkami, butno, zamaszysto choć podobno tyle tego było co w gębie.

Towarzysz mój z kanapy, podkomorzy, sekretnie z ukosa coraz spoglądał na mnie, potraçał i głową trząsał, jakby się dziwował i nie podzielał zdania opiniujących; ja mileżałem jakby mówiono po sanskryeku, nie było się co wdawać.

W tém jegomość ów z brodą w lok ułożoną po-
czął z marcyalną postawą, opowiadać swoją wy-

prawę pod D... w której się miał znajdować z ochotnikami, jak wpadł na kwadrat piechoty, rozciął od stóp do głowy dowódcę jednym cięciem, jak później posiekł na kapustę ogromną liczbę żołnierzy, i byłby większego jeszcze narobił bigosu, gdyby należycie i w porę został poparty...

Podkomorzy tymczasem ścisnął mnie, trącał, i domyśliłem się wreszcie, że te niewygodne demonstracye miały oznaczać, że ów rycerz niepomrotnie kłamał.

Ja jeszcze milczałem, chociaż rozprawiający często gęsto, obracał się i do mnie, a pejem wywijał jak dawniej pałaszem pod... tak że co minuta spodziewając się cięcia, musieliśmy zasłaniać oczy i uchylać się na stronę. Skończyło się naostatek na pokazaniu owego klaskacza, sławnego pejeza sprowadzonego z samego Londynu, a raczej na pamiątkę ofiarowanego przed Lorda Fic... nie pamiętam jak go tam ochrzcił.

Żeby coś do konwersacyi dorzucić, spytałem na to dictum, czy dawno był jegomość w Londynie?

— Jadę na rok przyszedł, ale z tym Lordem Fic poznałem się w Odessie, od niego wówczas

dostałem tę drogą pamiątkę, i musiałem mu dać słowo, że go odwiedzę...

— I my z tobą jedziemy — zawołali trzej panowie. Wśród téj mało dwóch godzin trwającej zajmującej rozmowy, marszałek dzwonił i dzwonił jak przy summie, coraz to wpadał lokaj dyżurny w trzewikach, zapytywał go gospodarz czy jest pan *komisarz*, powiedz *kuchmistrzowi*, przypomnij *kamerdynerowi*, zawołaj *piwniczego*, przyślij *berejtera*, niech siądzie na *Mustafę*, niech przejedzie *Lorda*, niech przepędzą *Lady*... i t. d. za każdym odebraniem rozkazu obowiązkiem było lokaja powtórzyć:

— Dobrze jaśnie panie — Słucham jaśnie panie! — Zaraz jaśnie panie!!

Słowem, dopełniły się wszystkie obrzędy mające mi dać pojęcie o obszerności majątku, o wysokim stopniu pana, o stopie na jakiej dwór zostawał a jaśnie wielmożny raczył objawić ochotę pokazania mi swojej szlacheckiej stajenki.

Było około drugiej godziny; gospodarz prosił o pozwolenie wyjścia żeby się mógł przebrać, dodając — wszak to jeszcze rano?

Spójrzeli po zegarkach, i zgodzono się na drugą godzinę...

— Mówiłem wam że jeszcze rano... ale pójde napędzę moją żonę, żeby się ubrała dla przywitania szanownego gościa.

Ow rycerz oświadczył, że chce widzieć psiarnią pana marszałka, a potem pójdzie się ubierać, wyszli więc za nim wszyscy.

Zostawszy sam z podkomorzym, spytałem go jak się zowie ów przyjaciel Lorda Fic.

— To P....ski, nieznośny łgarz i fanfaron; dziad jego, którego doskonale znałem, był przy nadwornych kozakach sotnikiem, poddany ze Smiłańszczyzny, ze wsi Lachowój, księcia Ksawerego Lubomirskiego, libertowany został przez niego. W czasie rzezi Humańskiej nazbierał wiele grosza i szczęśliwie uniknął stryczka; częścią swojego niecnego nabytku wolność sobie kupił, resztą się począł dorabiać, do kozackiego swego imienia dołożył *ski* i został farbowanym szlacheicem. Ojca tego jegomości a synała swego oddawał do szkół do Humania, potem kupił wieś, i mieli przeszło sześćset dusz, a herb na pieczęcie, jak się należy. Dzisiejszy panicz, wnuk sotnika, po śmierci

tatka, gra rolę wielkiego pana, wieś jakoś zaplątaną trzeba było sprzedać, ale się oswobodził stawszy kawalerem *de bona fortuna*, jeszcze mu z tém lepiej. Jeździ od komina do komina, trzaska z biczyka i opowiada swoje czyny rycerskie, z których tyle tylko prawdy, że prochu powąchawszy, znalazł w nim zapach nieprzyjemny i dał za wygraną rycerskiemu rzemiosłu.

— Lorda — dodał podkomorzy — ani żadnego angiłka w żywe oczy nigdy nie widział, biczyk angielski w Berdyczowie na jarmarku dostał, i tyle tego.

— A ci dwaj panowie kto są? — zapytałem — bo tego co się tak czwani surducikiem paryskim znam z dawna, z ojca i dziada...

— To satellici téj planety — odrzekł podkomorzy — wozi ich z sobą wszędzie, wmówił w nich, że ma wielkie znaczenie i wziętość u świata, wierzą mu szczęśliwie i nie odstępują go, on im pomaga do trwonienia ojeowskiéj krwawicy... Blondyna ojciec był ekonomem w kluczu Ładyżyńskim; małego co w zielonym zwijał się rejfraczku, dziad, potém ojciec byli pisarzami prowentowemi w Tul-

czynie, oba porobiwszy znaczne majątki, dziś się wysłachcili na czysto.

Był czas w ostatnich latach exystencyi naszój, że się przy pańskich klamkach robiły majątki, nie wszyscy może poczciwie, z pracy i sumiennie, ale wielu cudownie do nich dochodziło.

— I ja—dodał podkomorzy—dorobiłem się go, ale tego się nie wstydzę, nie kradłem, i za mój grosz na strasznym sądzie Bożym nie odpowiem. Znałeś mnie pan ubogim szerepetką w Żytomiέρzu, tego się nie zaprę... zem sobie winien wszystko... Pan Bulhak trzymał interesa księcia Potemkina od kupna Smilańszczyzny, ja od niego dependowałem, mecenas mój umieścił mnie ze czterema tysiącami pensyi i bardzo znaczną ordynaryą, jako miejscowego plenipotentą i archiwistę, pracowałem, ułożyłem archiwum, w największym utrzymując go porządku; wyuczyłem się przy téj zręczności interesów majątkowych księcia. Pan Bulhak, zrobił więcej milijona fortuny, bo trzymał wprzód jeszcze interesa księcia Ksawerego Lubomirskiego, odstąpił więc interesów Smilańskich, mnie się po nim dostała jeneralna plenipotencya. Książę Potemkin wkrótce umarł, successorowie

jego zatrzymali mnie przy interesach do ukończenia działu, który ja przez rok blisko mozolnie przygotowywałem. Była to praca wielka, ale mi dała dwakroć sto tysięcy, które sukcesorowie za nią ofiarowali. Po skończeniu działu zostałem plenipotentem hrabiego Samojsłowa i Skowrońskich, od tych obu pryncypałów, trzymałem około dwóch tysięcy dusz przez dwadzieścia cztery lata, poszczęściło mi się na dzierżawie, przyszedłem do majątku. Kupiłem tysiąc dusz, wydałem dwie córki, dałem po półtora kroć posagu, syna starszego ożeniłem, młodszy służy wojskowo, jest już podpółkownikiem. Majątek oddałem synom, a oni mi płacą dwadzieścia tysięcy pensyi z których ja wnukom robię prezenta... Mam już osiemdziesiąt drugi rok, co roku jeżdżę do Odessy na parę tygodni, wykapię się w morzu i zdrowo się trzymam.

Ta szczerość wyznań do tyła mnie zobowiązała zem się zbliżył do podkomorzego, a on tymczasem genealogije mi całego towarzystwa wyprowadzał przypominając i ojca gospodarza JW. marszałka, którego i ja, jak się okaże znałem, alem się gonie domyślił. Z podkomorzym obchodziliśmy sa-

lony i zbiór mebli, których, jak zapewniał, najwięcej było z Kowalówki. W czasie licytacyi, która podobniejsza była do rozboju niż sprzedaży, mnóstwo osób zniósłszy się z oficyalistami za bezcen pokupowali najpiękniejsze rzeczy. JW. marszałek choć młody naówczas, należał czynnie z ojcem razem, do tego spadku po Wincentym Potockim. Widziałem wielkie angielskie zwierciadła, piękne obrazy, bronzы paryzkie, meble mahoniowe sprowadzane z Londynu, i siła kosztownych i wytwornych rzeczy, na które Potocki nie żałował jako pan możny, osobliwie gdy się z księżniczką de Ligne ożenił. Poruszyła mi się zółć na dorobkiewiczów, których nigdy cierpieć nie mogłem. Podkomorzy coraz poufalej i ściślej był ze mną, rozgadawszy się, począł wyjaśniać początek kresytywy marszałka.

— Ojciec jego, mówił, za czasów księcia Ksawerego u komisarza dóbr Smilańskich z dziecka był wychowany, grywał dobrze z mału na teorbaniu, tańcował zręcznie; komisarz widząc spryt, dał go uczyć czytać i pisać, został przy nim manualistą, ożenił się z Magdeczką wychowanką komisarza; mecenas zrobił go przy téj okoliczności

ekonomem... Następnie wielmożny komisarz po podziale, objął rząd jeneralny nad dobrami Wincentego Potockiego w Niemirowszczyźnie i tam przeprowadził za sobą protegowanego, podnosząc do godności jeneralnego ekonomy.

Zręczny to był człowieczyzna, *ślawny mały*, jak mówią Rosyianie; pomagał czynnie komissarzowi do zbiorów i o sobie wszelako pamiętał. W przeciągu półtora roku komisarz przeniósł się do wieczności, a ojciec pana marszałka przez szczególne zabiegi miejsce jego zastąpił. Pana Potockiego przez lat kilka w kraju nie było, intraty i w połowie go niedochodziły, za dług holenderski dobra w sekwestr wziąć kazano i remanenta zlicytować, tu panu nowemu komissarzowi otworzył się plac do zbiorów, nie zaspął gruszek w popiele, i obu rękami chwycił i garnął plon którego nie zasiewał.

Pan Wincenty Potocki, dobra jako nie czyniące intraty sprzedał panu Szczęsnemu Potockiemu, ośmiem tysięcy dusz za sześć milionów złotych polskich, potem Szczęsny stary dymittował te dobra synowi młodemu Szczęsnemu. Znajoma jest jego stratność, zatrzymał dawnych oficyalistów, dał im

nową sposobność ładowania skrzyń do czasu gdy macocha nabyła te dobra od pasierba. Wypędziła ona te szerszenie, ale ojciec JW. marszałka kupił już sobie dobra w których jest tysiąc czterysta pięćdziesiąt dusz, i przy tém kapitał znaczny zostawił. Sam już JW. marszałek, metropolya dóbr w których się mamy honor znajdować, ozdobił tym wspaniałym pałacem z kolumnami.

Na to nadszedł i marszałek, we fraku, wymuskany, zlany zapachami, woniejący jak flaszka pot-pourri, od pomad i perfum. Był to już pięćdziesiąt dwu letni mąż, a dwuletni naczelnik powiatu, znający się na sobie i urzędzie, któren wszelkimi siłami starał się podnieść i uzaenić. Nadeszli i panowie młodzi z krzykiem, jedni od tualety, drudzy z psiarni, nie mogli się nawychwalać ten chartów, ten gończych, ów wyźłów, zgoła zgodzili się na to, że psy *boskie*, a brodaty rycerz dał swoje słowo *honoru*, że *boskie*.

Cygarą, fajki i pejeze poczęły na nowo grać rolę, a ichmość znać utrudzeni chodzeniem poprzewalali się na kanapach, z swobodą jakiej inni ledwie śmieją sobie pozwolić chyba w karczmie na popasie.

Ja odezwałem się do marszałka żem z podkomorzym pałac jego oglądał, a na fizyognomii gospodarza wyraz ten zrobił efekt promienia słonecznego, tak ją rozjaśnił i wypogodził. Odrzekł mi z udaną pokorą i lekceważeniem:

— Starałem się tę lepiankę zabezpieczyć przynajmniej żeby w niej za kołnierz nie ciekło....

— Piękna mi lepianka, odparłem, dom dwupiętrowy, rozległy i tak świetnie umeblowany, otoczony kolumnami, pobity blachą: bez naruszenia skromności gospodarza, bezpiecznie pałacem nazwać się może.

Marszałek, któremu to widocznie pochlebiało, zaprosił mnie z sobą do bawialnego salonu; wyszła i pani marszałkowa, znajoma mi z Wołynia, która z matką i siostrami bywała w domu naszym i wniosła tu z sobą dobre wychowanie i ton przyzwoity. Przywitała mnie grzecznie i gościnnie, zaczęła rozpytywać o rodzinę i znajomych, przypomniała dawniejsze czasy swego państwostwa, i przyjemna konwersacya z nią zajęła czas do obiadu. Nakoniec o piątą rozwarły się podwoje wszystkie, kamerdyner z ręką obwiąza-

na serwetę, w trzewikach, pokazał się we drzwiach trzymając talerz podniesiony do góry. Gospodyni podniosszy się podała mi rękę i stępo ruszyliśmy powoli, jak z partesów, przez całą długą amfiladę pokojów do sali jadalnej. Stół ślicznie był nakryty serwisem srebrnym, otoczony lokajami, kozakami w pasowej liberyi z galonami i blachami herbowemi. Zabrałem miejsce przy pani marszałkowej, a ustający stukot posuwanych krzesel zwiastował, że wszyscy jesteśmy na swoich stanowiskach. Dano obiad wyborny, którego kompozycya ożywiała rozmowę przy jedzeniu. Marszałek opowiadał z jaką trudnością przyszło mu odmówić kuchmistrza francuza od drugiego jakiegoś utytułowanego magnata, co mu smaku dodawało;— powiedział ile mu rocznie płaci, jak wiele daje na wydatki, ale żem przy sobie pugilaresu nie miał i notować tych ciekawych szczegółów nie mogłem, powtórzyć ich dokładnie nie potrafię.

Daléj nakręcono rozmowę do srebier stojących na stole: potrzebował mnie marszałek upewnić, że były robione w Paryżu. Znudzony tém samochwalstwem, odpowiedziałem, że dziwi mnie

kolor sreber sinawy, co oznacza dwónastą próbę, gdy w Paryżu nie robią inaczéj jak z szesnastéj, i dla tego srebra francuzkie wyglądają białe jak platyna. Przysunawszy potém do siebie salaterkę z galaretą, przekonałem się z cechy S. R. i numeru 12, że je robił rzemieślnik berdyczowski. Reszta towarzystwa wesoło, rubasznie sadziła się na żarty, anegdotki, jovialitates, kalambury, na ogadywanie sąsiadów i sąsiadek, ich córek i rodzin, mało komu przepuszczono; domyśliłem się, że po odjeździe moim i ja będę najajutrz materyą stołowej rozmowy... Podawano różne wina, nakoniec marszałek o tokaj zawołał; przyniesiono wino mętne, słodkie, surowe, i pomyślałem w duchu, że jeszcze od założenia domu nie miało czasu ani się wystać, ani wytrawić; reszta towarzystwa na wyścigi go chwaliła, a brodaty rycerz, nazwał tę lurę nektarem i trząsnął mytologiją jak z rękawa.

— *Vraiment*, dodał, nie piłem ani u Branickich, ani u Potockiego, ani u Sanguszków takiego wina.

Podkomorzy trącił mnie w kolano i szepnął, że nigdy w tych domach noga jego nie postąpiła.

Tymczasem marszałek dalej swój wielkości śpiewał dytyramby, i parę razy nie zmruczając oka, śmiało powtórzył imię swojego papy, jak gdybym ja go nie znał w roku 1792 przyprowadzającego kozaków Smilańskich do obozu księcia Józefa Poniatowskiego z pułkownikiem Kamińskim.... Nocowałem właśnie w tej wsi, Jaruha zwanej, w której ojciec JW. marszałka był ekonomem, a że w niej nie było karczmy, ani we wsi dobrej kwatery, pan ekonom zaprosił nas do siebie i dał nam kaszę ze śmietaną, pierogi hreczane, i kurczęta z powyciaganemi nogami, ale suto świeżym masłem oblane. Jejmość bardzo przystojna była kuchmistrem, a JW. marszałek sam, naówczas sześciolatek bęben, przyprowadzany gwałtem przez ojca z za pieca, ucałował mnie w rękę zasłoniwszy oczy, a później dmuchnął szparoko żem się nieopatrzył, jak przez rów, który otaczał ogródek drapnął w pole, położył na brzuchu i głowę tylko podniósł dla obserwacyi przez badyle, co się w domu działo.

Widząc tę dumę nieznośną, na przekor już marszałkowi, powiedziałem, że znałem jego ojca, wymieniłem wieś, dodałem okoliczności w ja-

kich się ta znajomość zrobiła, przypomniałem nawet, że jasnie wielmożny miał naówczas sześć lat, a matce imię było Magdalena; bo papa na mamę nieustannie wołał *Magdusiu!*

JW. marszałek cały się oblał pąsem, jakby mu krew na twarz wystąpiła, humor stracił, fantazyi pozbył, a wszystkie fibry objawiły, że wziął wspomnienie dawnych czasów do serca, widziałem, że zły był, ale przestał fanfaronować przecie.

Po kawie pokazywano konie; chcąc więc marszałka w lepszy humor wprowadzić, chwaliłem je bardzo, nawet nad ich wartość, potem rozstawiono do kart stoliki i towarzystwo się podzieliło. Ci co świeżo wrócili z Onufrejskiego jarmarku, zażądali *boskiej* gry diabelka, inni wista, nadjechał był bowiem sędzia, podsędek i dwóch jeszcze sąsiadów. Pytano co wybieram, rzekłem wista, ale nie drogiego.

— Weale nie drogi, odparł gospodarz, po rublu srebrnym ze szturmem, honorami i odkrytym dziadkiem.

— Przepraszam, rzekłem, nie gram tak drogo.

Zobaczyłem uśmiech ironiczny na ustach mego pana, zapewniającego, że w jego domu jest to gra zwykła najniższa i dla mnie chciał zrobić tę grzeczność i ceną tą sięść ze mną. Podziękowałem za łaskę, ale od stolika odstąpiłem, a gospodarza zaprosiłem do gabinetu dla ułatwienia interesu przyjaciela, z którym przybyłem. Po dłuższej o nim rozprawie i dwugodzinnych tergiwersacyach nie się zrobić nie dało; wróciliśmy do towarzystwa i salonu, przysposabiano właśnie herbatę na paradnym serwisie, musiałem przez grzeczność zostać na niej. Odbywszy wreszcie tę pańszczyznę i pożegnawszy państwa wraz z towarzystwem, pociągnąłem jeszcze o parę mil na nocleg.

Tysiące uwag nastreżwały te odwiedziny; głębokom się zadumał, korzystając z pięknego lipcowego wieczora i otaczającego mnie spokoju. Myślałem sobie, jaka to kolój rzeczy na świecie: papa JW. marszałka przed czterdziestą kilkoma laty nie śmiał usiąść przy mnie, ani na dworze głowy nakryć; całym meblem u niego było podwójne łóżko z dranic kilimem zasłane, a nad nim ściana obita dywanikiem i uwieńczona hara-

pami dobrego kalibru i niemniejszymi boćkami. Arsenał ten był ozdobą alkierza, i stanowił zarazem żywą reprezentacją ekonomskiej władzy i dostojenstwa. Nad łózkim w głowach wisiał obrazek N. Panny Częstochowskiej na blasze i teorban, zabytek młodości, zastępujący drzewo genealogiczne...

Ale przy tém bydelko było piękne, wieprze tuezne, ze dwadzieścia koni dobrze wypaszonych, z których pamiętam jednego ładnego bardzo kupił wówczas na wierzechowca pułkownik Kamiński i dał za niego dwadzieścia cztery dukaty, a w obozie mu siedemdziesiąt potém ofiarowano.

JW. marszałek pokazał się przedemną z czém tylko mógł i jak mógł, wynosząc swe dostatki, ale zarazem nie umiał zatrzeć początkowego wychowania, które się pod płotami folwarków odbyło;— mówiąc używał wyrazów zdradzających pochodzenie, przy stole po gburowsku sobie poczynał, i co chwila wydawał się z jakiego wyszedł gniazda. Przyjaźń z temi ichmościami co go otaczali, także nie dodawała lustru JW. marszałkowi; uważałem, że sama pani nie bardzo z niej była rada i do stołu idąc szepnęła

mi:— poczuć pan musiałeś, że nie jesteś na Wołyniu.

Myślałem to sobie i wiele innych rzeczy. Co prawda to prawda, ledwie w trzecim, czwartym pokoleniu wytrze się surowizna z ekonomczuka i dorobkowicza, że jój znać nie będzie: euchnie choćby w pałacu mieszkał, na srebro jadał i miliony liczył, a pycha i próżność są jak grzechotki, które za każdym poruszeniem oznajmują, gdzie się głupota obraca.



XLI.

R o m a n ó w.

WSPOMNIAŁEM wyżej, że chcę dać wyobrażenie o Romanowie senatora Ilińskiego, teraz to pokrótce dopełniam. Romanów jest miasteczkiem głównym, położonym wśród obszernego klucza, do czterech tysięcy dusz mającego w sobie, na granicy prawie lasów rozciągających się ku Litwie od północy, a na południe w błogięj urodzajnej ziemi, w której półowa wioska się znajduje. Jest to dawna posiadłość Ilińskich. Jan Kajetan, między rozległemi dobrami swojemi obrał Romanów na fundum, choć niezupełnie odpowiadający swemu przeznaczeniu: wpłynęły tu zapewne bliz-

kość Żytomiérza, a może i sąsiedztwo rozległych lasów pełnych grubego zwierza, dla polowania, które namiętnie lubił. Wymurował tu duży dwupiętrowy pałac, lecz w miejscu niskiem i wilgotnem, obierając ten punkt dla dostatniej wody, którą daje obficie rzeczka Leśna, do bardzo obszernego kanału przed pałacem sprowadzona. Józef August hrabia Iliński, senator, szanując miejsce przez ojca obrane, na grubych ścianach dawnego korpusu, wzniósł piątro jeszcze, dodał w półkole dwa, po sto pięćdziesiąt łokci trzy piętrowe skrzydła, cały front otoczył czterdziestu sześcią kolumnami koryneckiego porządku, i na nich spiéra się pyszny architrab ozdobiony bogactwami sztukateryami.

Przed pałacem, na wielkim kanale o którym mówiłem, znajduje się wyspa połączona promem z brzegiem, a na niej jak wzorzysty kobierzec rozsądzone są kwiaty i niskie krzewy, między którymi trzydzieści mytologicznych posągów z białego marmuru na takichże podstawach. Od północy zasłania pałac wielki las, ciągnący się daleko, od południa zaś widok odkryty: otacza go angielski ogród napełniony marmurowemi kolu-

mnami, obeliskami i różnego rodzaju ornamentami. Między temi znajduje się pomnik z granitu wzniesiony, nakształt pyramidy, trzydzieści łokci wysoki, poświęcony pamięćce Janusza hrabi Ilińskiego, generała inspektora kawaleryi polskiej, brata rodzzonego senatora, który jakem mówił poległ pod Markuszowem w roku 1792. Za ogrodem zaraz, zaczyna się wielki żwierzyniec, pełen sarn, jeleni, danieli, a w nim dęby ogromnej wielkości, które ledwie trzech ludzi objąć potrafi. Wszedłszy do pałacu jest naprzód sień dwupiętrowa wspaniała, dalej wszystkie niemal pokoje mozaikowane. Pierwsze pięć salonów od głównego wnijscia, zawierają najkosztowniejsze obrazy, pierwszych mistrzów włoskich, flamandzkich i francuzkich, w liczbie dwóchset dziewięćdziesiąt pięciu. Znajdują się tu, że wymienię tylko główne: portret księcia Oranii wielkości naturalnej przypisywany Van-Dyckowi, piękny wizerunek Piusa VI papieża, przez Battoni, rycerz, figura naturalnej wielkości Rubensa, Orfeusz sławnego Davida, wielkie widoki morskie Vernet'a, ogromny krajobraz Poussin'a, bitwa rzymska Salwatora Rosy, i wiele mniejszych roz-

miarów oryginałów, wartości znakomitęj. Po tych pokojach następują dwa wielkie salony, mające po sześćdziesiąt trzy łokcie długości, a dwadzieścia szerokości: pierwszy mozaikowany purpurowo ze złoconemi gźémsami i stiukami na stropie, ozdobiony pięciolokciowemi sześcią zwierciadłami i brązowym lustrem paryzkiéj roboty na dwieście świec (kosztował tysiąc pięćset czerwonych złotych); w nim dwa stoły malachitowe, dwa inne z lapis lazuli, piętnaście posągów mytologicznych i cztery grupy marmurowe, pochodzące z Michajłowskiego dworca, współczesnego, ale najlepszego dłuta; drugi mozaikowany zielono, zawieszony obrazami. Tu są: Samarytanka Łukasza Giordano; Trzój Królowie przy żłobie Chrystusa, Bassano; Charitas, Romana Schidone, trzy części świata Tycyana; bitwa Vouwermans'a; święty Bruno przez Lesueur'a i wiele innych. Stoją tu także cztery stoliki z mozaiki florenckiéj, pochodzące z Petit-Trianon, piękne kandelabry brązowe, dwułokciowéj wielkości, w pięknym stylu i doskonałéj roboty, wyrob francuzki, przepyszne wazy porcelanowe Sewrskiéj fabryki, a okna składają się z tafel zwierciadla-

nych z jednéj sztuki pięciołokciowych. W dwóch tych salach posadzki nadzwyczaj wytwornie wysadzane marketeryą z drzewa różnego rodzaju, mahoniu, hebanu, bukszpanu, cytryny, przez lat czterdzieści nie nie uszkodzone, zachwycają rysunkiem i wykonaniem, sufity wszędzie wspaniałą stukateryą okryte. Po salach wchodzi się do sześciu bawialnych pokojów napełnionych wielkimi zwierciadłami, których po pięć i sześć jest w każdym pokoju, a każde z nich pięciołokciowe, tu jeszcze obrazy Dominichina, Ribejry, Spagnoletto, Berghema, Schiavone i t. d. stoliki agatowe, porfirowe, kominki z rzeźbami marmurowemi, nad kominami garnitury z porcellany Sewrskiéj, kandelabry i lustra brązowe, okna wszystkie jednotaflowe, a w jednym z tych pokojów paradne łóżko mahoniowe po Ludwiku XVI z Wersalu. Wspaniałość monarchiczna wszędzie. Na górze, na pierwszym piętrze, znajdują się pokoje samego hrabiego senatora, przyozdobione małemi obrazami, Rembrandta, Teniersa, Pawła Pottera i innych malarzy; na drugiem gościnne, bardzo pięknie urządzone; na trzecim sala do przechadzki w czasie jesiennym i zimo-

wym służąca, sto dwadzieścia łokci długa i ósmią piecami ogrzewana.

Wśród tych kosztowności, które w części tylko wymieniam, jest wiele darów Cesarza Pawła I, i W. Ks. Konstantego, wiele kupionych rzeczy po zniesieniu za Cesarza Alexandra Michajłowskiego dworca, do którego były już sprowadzone z za granicy dla umeblowania sprzęty, a z nich część nabył senator.

Po rewolucyi francuzkiej i straceniu Ludwika XVI, gdy wszystkie zamki królewskie rozgrabione zostały, jako Versailles, S. Cloud, Trianon i t. d. wiele z nich ruchomości pięknych i drogich sprzedano i rozwieziono po różnych krajach, a szczególnie do Petersburga. Tu senator Iliński kupił z nich także wiele; ze sprzętów pochodzących z Francyi po Maryi Antonie, dostał mu się serwis srebrny, piętnaście tysięcy czerwonych złotych zapłacony. Obrazy także miał sposobność kupować w porze, gdy jeszcze konkurencyi o nie wielkiej nie było, a wojna rozsypywała je po świecie.

Kaplica warta szczególnej uwagi i zastanowienia: umieszczono ją w salonie osmdziesiąt łokci długim, a dwadzieścia pięć szerokim, wypełnionym obrazami z historii świętej Starego i Nowego Testamentu. W ołtarzu jest zwierciadło ogromne w koło dziesięciołokciowe, które trzydzieści tysięcy rubli kosztowało. Lustro u sufitu brązowe, także kandelabry na kolumnach marmoryzowanych. Zbiór sukni, ornatów, kap i t. p. jest tak bogaty i wspaniały, że nie jedna katedra podobnym się nie poszczyci; są aparaty biskupie, i uroczyste kapłańskie z fabryk lyońskich, monstrancya złota brylantami wielkiej ceny sadzona i t. d. Przy kaplicy rezydował kanonik, mówca wyborny, ksiądz Deszczyński i trzech księży. Muzyka pałacowa składała się ze stu ludzi na instrumentach grających, a trzydziestu śpiewaków. Obok kaplicy przejście prowadzi do apartamentów hrabiego Ilińskiego, przez bibliotekę siedemdziesiąt łokci mającą, napełnioną czterema tysiącami tomów powiększej części dzieł klasycznych, łacińskich, francuzkich, niemieckich i polskich, bardzo pięknie oprawnych i ustawionych w szafach mahoniowych do koła.

Hrabia Iliński odziedziczywszy te dobra po bracie swoim Januszu, wsparty znacznym spadkiem po stryju Nepomucenie staroście cudynowskim, a szczególnie wielkimi darami w dobrach i summach pieniężnych od Cesarza Pawła, W. Ks. Konstantego i Cesarza Alexandra I, dogadzając swemu upodobaniu w sztukach pięknych, do budowy pałacu sprowadził z zagranicy architektów, snycerzy, stolarzów, mozaistów, mularzy, stukatorów, złotników, kamieniarzy, i wzniósł ten wspaniały gmach wedle rachunków przeszło dziesięć milionów złotych kosztujący. Muzykę, którą wziął w spadku po ojcu powiększył wirtuożami, jakimi byli Lenzy, Gerke, Dobrzyński na skrzypcach. Nuder na klarynecie, Cerwentha na wioloncelli, Lande na kwartiole, Bajer na flecie, Solecki na fagocie, Weisinger na waltorni i t. d. Po tych artystach została wyborna muzyka, którą dziś jeszcze hrabia Henryk syn jego utrzymuje. Senator miał operę włoską, złożoną z aktorów sprowadzonych z Petersburga do teatru Romanowskiego, w niej odznaczali się pan Zamboni, pani Zamboni, Nercini i inni; miał balet z cudzoziemców złożony, włochów, niem-

ców i francuzów, między którymi celowali Mantovani i Wendenberg, oprócz tego z Węgier ściągnął jeszcze operę niemiecką, w niej śpiewali Zehikietanzowie ojciec z synami, Ketner z córką, Hotman z żoną i siostrą, Teydler z żoną i t. d. Liczna i bardzo wspaniała garderoba teatralna sprowadzona była z Wiednia, a wedle potrzeby uzupełniała się na miejscu.

Wkrótce potem senator uzyskawszy pozwolenie Cesarza Alexandra, założył w wspaniałym na ten cel wzniesionym gmachu, który dziś leży w gruzach, Instytut dla głuchoniemych, wznosił fabrykę sukieną na sto dwadzieścia warstatów, do której rzemieślników, maszyny, posprowadzał z Anglii. Fundował także klasztor Jezuitów, którym powierzone zostały szkoły, a przy końcu 1817 gimnazyum Romanowskie. Wojna 1812 roku zachwiała byt tych wszystkich ważnych zakładów. Jezuiti w roku 1820 zmuszeni byli opuścić państwo rossyjskie, budowy do nich należące powoli niszczyć zaczęły, a z niemi wiele innych w Romanowie, choć w tymże czasie wymurowano jeszcze wspaniały kościół i klasztor

dla PP. Wizytek, które wielkim kosztem instytuowano tu, sprowadziwszy z Litwy. Niepodo-
bieństwem się stało utrzymać to wszystko i wy-
dostać takiemu ogromowi nakładów prawie nie do
wiary, musiały więc gmachy podupaść. Pałac
jednak i attynencye jego utrzymują się do dziś
dnia w najlepszym stanie, i na stopie pańskięj.

Hrabia Henryk, syn senatora, z żoną i córką
zajmuje lewe skrzydło trzypiętrowe pałacu. Roz-
począł on swój zawód publiczny marszałkowstwem
gubernskięm wołyńskięm, w roku 1787; odtąd
chciwy nauki i widzenia obcych krajów, zwiedzał
całą Europę po kilka razy, Niemcy, Francją,
Włochy, Anglią, Węgry, zbierając i skupując
różne płody sztuki. Apartament jego składa się
z osiemnastu pokojów, równie wspaniałych jak
głównie pałacowe, z oknami zwierciadlanemi,
drzwiami z mahoni, mnóstwem bronzów, porcel-
lany i zbiorem wielkim przez hrabiego już po-
czynionym obrazów, jako Ludwika Carrache,
Van-Dycka, Rembrandta, Gaspra Netschera, Wou-
vermansa, Gonzalesa, Glaubera, Pollembourga,
Orłowskiego i t. d. Oprócz tego, muszę wymie-

nić bibliotekę znaczną ze czterech tysięcy dwóchset ksiąg złożoną, dwanaście wielkich tek rycin i rysunków, gabinet fizyczny, kosztowne zbiory mineralogiczne i numizmatyczne. Dawniej było też mnóstwo broni w Romanowie, starożytnej i wielkiej ceny, dziś jej reszta pięknie została ułożona w dwa trofea, jedno z myśliwskiej broni, drugie ze starożytniej i wschodniej. Tu jest zbroja jednego z Ilińskich z datą bardzo dawną, i pancerz blachami srebrnymi z literami tureckimi nabijany. Jest jeszcze łazienka śliczna marmurowa, osobna sala jadalna z portretami familijnymi, z których większa część pęzła Grassego, Lampiego, Pitschmana, z przepyszными kredensami pełnymi porcelany i srebro. Ale tego wszystkiego opisać niepodobna bez utrudzenia, tyle tu nagromadził gust, przepych, dostatki połączone z zamiłowaniem sztuki, dość powiedzieć, że nic równie wspaniałego w kraju nie mamy. Cały pałac składa się ze stu dwudziestu pięciu pokojów, urządzonych wytwornie i wygodnie.

Tylekroć wspomniałem o Romanowie w ciągu tych pamiętników, że pochwałam gospodarzy

powtarzać się nie będę; każdy kto był w Romanowie, przyzna, że z przyjemnością przybywszy, z żalem to miejsce opuścił— tak ujmująca grzeczność pobyt w nim uprzyjemnia.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Spis Rozdziałów

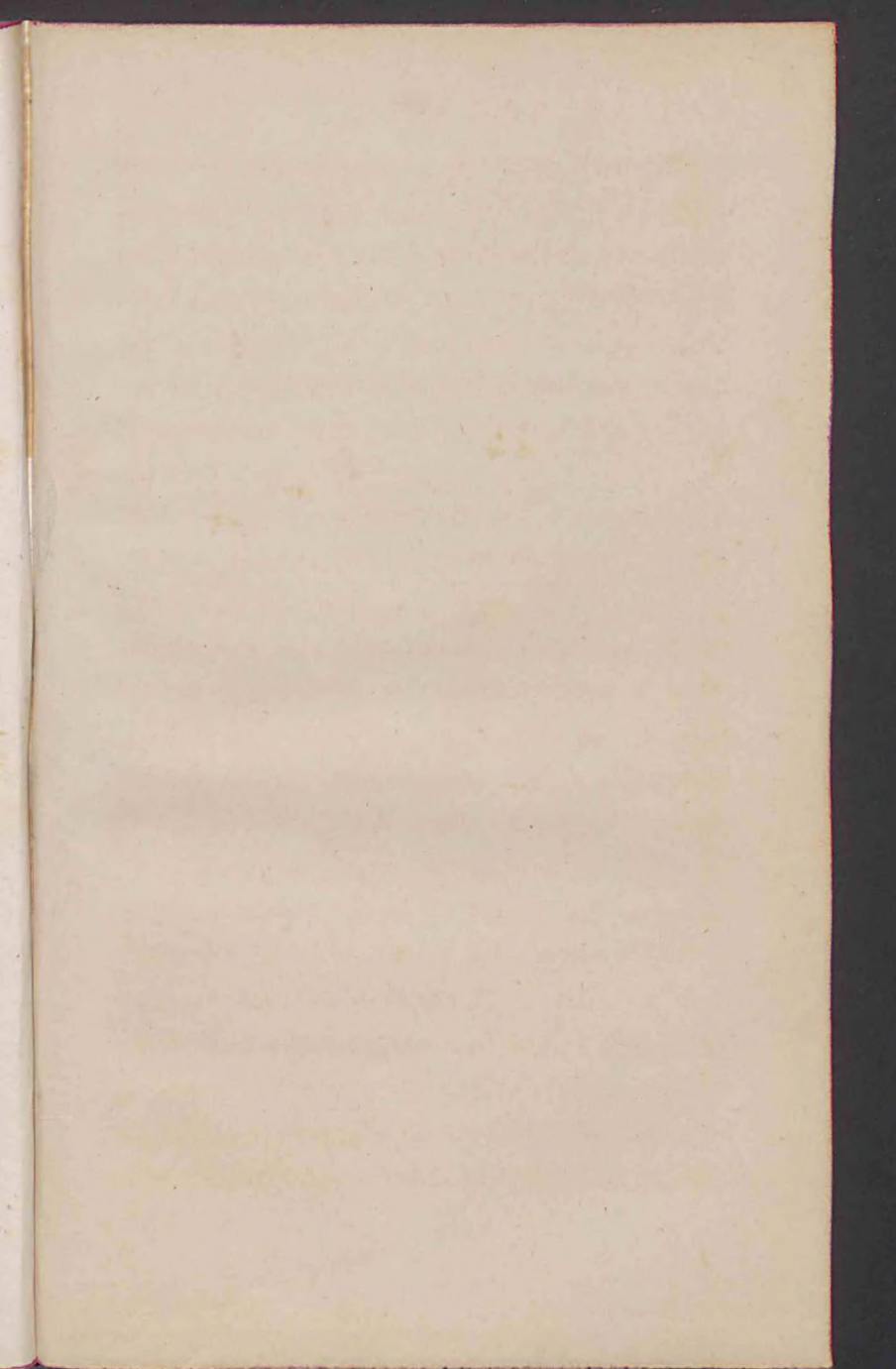
T o m u T r z e c i e g o .

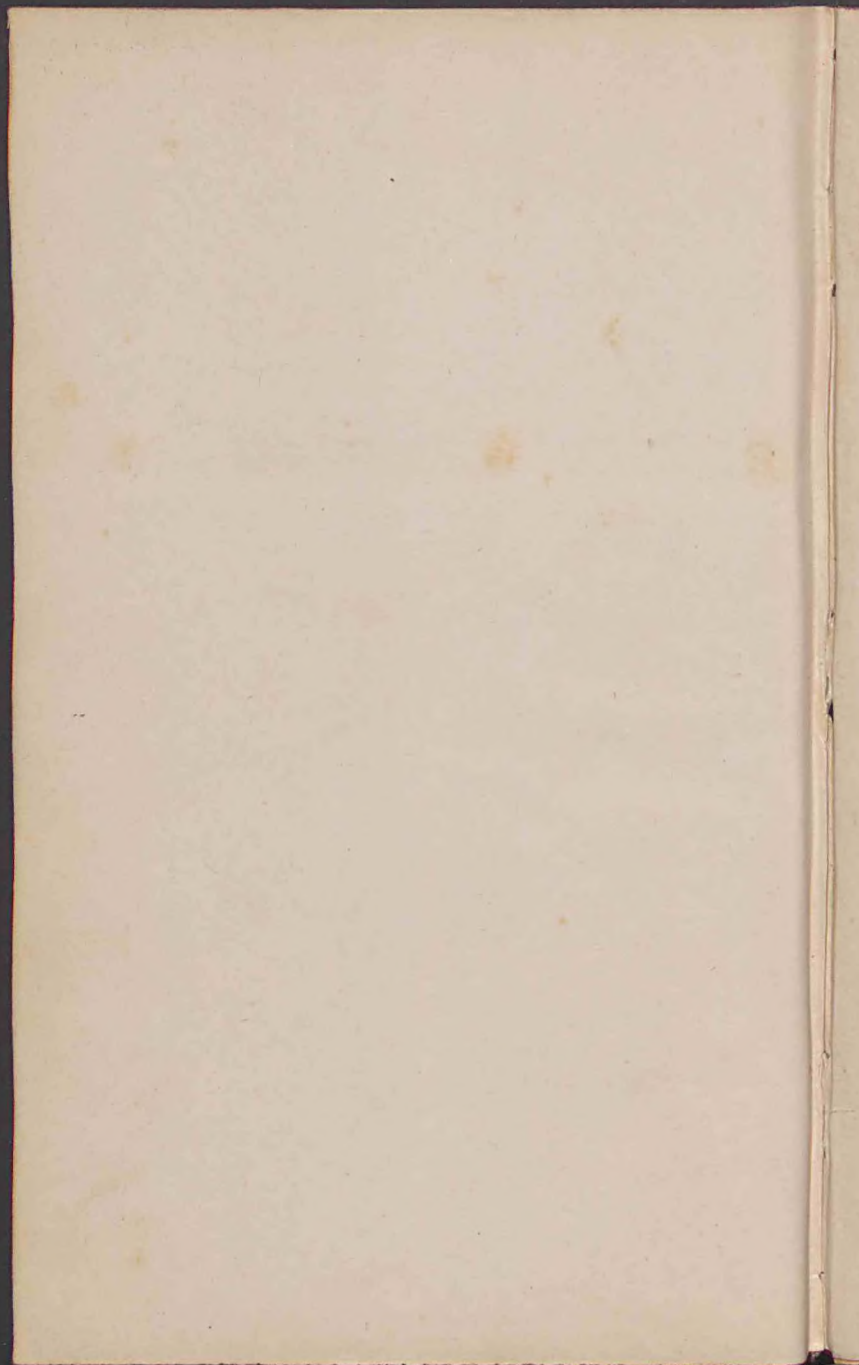


	<i>Stronica.</i>
I. Wyjątki z notat opata Ochockiego	5
II. Podróż do Smoleńska	35
III. Choloblin	44
IV. Powrót do domu	57
V. Żytomierz i Sidaczówka	60
VI. Lwów w roku 1795	63
VII. Stan Lwowa i społeczeństwa w latach 1795 i 1796	73
VIII. Powrót do domu	84
IX. Dzieje prowincjonalne	87
X. Feld-Marszałek hrabia Rumiańców	92
XI. Wołyń w roku 1797	108
XII. Ustanowienie Namiestnictwa Izasławskiego	113
XIII. Wstąpienie na tron Cesarza Pawła Igo	123
XIV. Nowa gubernija Wołyńska	127
XV. Dziejowe wiadomości	130
XVI. Ksiądz Józafat Ochocki, Opat Owrucki	132
XVII. Hrabia Działyński	137
XVIII. Książę Kondeusz	140
XIX. Dzieje Wołynia	142

XX. Bonaparte	150
XXI. Wstąpienie na tron Cesarza Alexandra Igo . . .	153
XXII. Sprawy osobiste	158
XXIII. Wybory roku 1805	180
XXIV. Komburlój	189
XXV. Księstwo Warszawskie	210
XXVI. Rok 1812	217
XXVII. Niewolnicy	226
XXVIII. Delegacya do Petersburga	231
XXIX. Rozmaitości	240
XXX. Bytność Cesarza Alexandra Igo	246
XXXI. Dalsze czynności w Żytomiέρzu	256
XXXII. Wybory 1816—1817 roku	262
XXXIII. Ciąg dalszy	271
XXXIV. Śmierć Cesarza Alexandra	280
XXXV. Andrzejkowiez gubernatorem	282
XXXVI. Śmierć Bartłomieja Giżyckiego	292
XXXVII. Wołyńskie wypadki	301
XXXVIII. Koniuszy Koronny Kozens i jego rodzina . .	303
XXXIX. Jenerał Potemkin gubernatorem	315
XL. Obrazki	321
XLI. Romanów	347







4. Pomník u dvora
1755r.

76 - 77





